



*Margaret McPhee*



*Kochanica markiza*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Londyn, kwiecień 1811 r.*

- Razeby! Spodziewałam się ciebie znacznie później! - Dłonie panny Alice Sweetly zatrzepotały, ale jej niepokój nie był spowodowany tym, że nie spodziewała się wizyty protektora. Szybko wsunęła do szuflady arkusz papieru, na którym coś pisała, zerwała się z miejsca i podbiegła do markiza, by odciągnąć jego uwagę od sekretarzyka. - Zaskoczyłeś mnie.

- Wybacz mi, Alice. Nie wiedziałem, że jesteś zajęta, i nie chciałem cię przestraszyć - odrzekł Razeby głębokim, arystokratycznym głosem.

- Nie byłam zajęta. Pisałam tylko list do przyjaciółki. - W chwilach zdenerwowania jej miękki irlandzki akcent stawał się wyraźniejszy.

Poczuła, że policzki jej płoną, i zeszywniała z napięcia w obawie, że on zacznie ją wypytywać o fikcyjny list i przyjaciółkę. Razeby jednak ufał jej i nawet nie spojrzał w stronę sekretarzyka.

- Twoja przyjaciółka ma szczęście - uśmiechnął się. Jak zwykle był w dobrym humorze. - Dokończ swój list, a ja przyniosę sobie brandy i zaczekam.

- Nie będę go teraz kończyć. - Na samą myśl, że miałyby usiąść nad kartką papieru w jego obecności, jej twarz zapłonęła jeszcze gorętszym rumieńcem. Zerknęła na swój stary, pogryziony przez mole wełniany szal i niemodną poranną suknię z wyblakłego, znoszonego muślinu, którą miała pod spodem, i zmieniła temat. - Wyglądam okropnie. Założyłam tę starą suknię tylko po to, by nie niszczyć ładnych strojów. - Wychowała się w biedzie i ciężko jej było zerwać z dawnymi przyzwyczajeniami. - Mam przygotowaną piękną jedwabną suknię na wieczór. Pójdę na górę i przebiorę się w coś przyzwoitego.

Postąpiła o krok w stronę drzwi, ale gdy Razeby otoczył ją ramieniem, znieruchomiała, ogarnięta paniką.

- Uspokój się, Alice. W tej sukni wyglądasz równie pięknie jak zawsze. - Jego oczy, ciemnobrązowe i szczerze, napotkały jej spojrzenie. Odsunął z jej policzka pasmo włosów. - A poza tym mówiłem ci chyba, że to nie suknia jest ważna, lecz kobieta, która ją nosi?

- Pochlebca - oskarżyła go z uśmiechem.

Bliskość jego silnego, męskiego ciała wzbudziła w niej dreszcz podniecenia.

- Dobrze wiesz, że to prawda. - Razeby, gdy chciał, potrafił oczarować każdego. Nie przestając się uśmiechać, przyciągnął ją do siebie. - Ale jeśli potrzebujesz nowej sukni, to ją dostaniesz.

- Nie potrzebuję nowej sukni. Mam na górze tyle sukien, że wystarczyłoby dla połowy kobiet w Londynie.

- Lubię kupować ci stroje, bo widzę, że cię to uszczęśliwia. - Ujął jej dłoń w swoją. - A chcę, żebyś była szczęśliwa, Alice.

Próbowała zgiąć palce, żeby ukryć plamy inkaustu, ale Razeby nie pozwolił jej na to. Pochylił się nad jej dłonią i potarł plamy kciukiem, a potem znów podniósł wzrok na jej twarz.

- Hmm... Zdaje się, że przydałoby ci się nowe pióro.

- Nie! - zaśmiała się. Pomyślała o drogim jej sercu srebrnym piórze, którego używała, i jej twarz znów zapłonęła rumieńcem. - Nie chcę nowego pióra. Wystarczy mi to, które mam.

- Bardzo się z tego cieszę. - Przycisnął jej poplamione atramentem palce do ust.

- Wiesz, że jestem szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa... - Urwała i po chwili dodała cicho: - I to nie z powodu rzeczy, które mi kupujesz.

Razeby odpowiedział jej dziwnym, niemal bolesnym uśmiechem. Jeszcze raz pogładził ją po policzku i popatrzył jej w oczy, Choć była jego kochanką już od sześciu miesięcy i spędzali razem niemal każdą noc, pod tym spojrzeniem znów ogarnął ją płomień namiętności, który po raz pierwszy poczuła już przy pierwszym spotkaniu w Zielonym Pokoju Theatre Royale w Covent Garden. Bliska znajomość nie przytłumiła namiętności, lecz jeszcze podniosła jej temperaturę. Całe ciało Alice pokryło się gęsią skórką.

Razeby zwrócił wzrok na okno i jego twarz przybrała poważny wyraz.

- Alice...

Nie pozwoliła mu skończyć. Delikatnie objęła jego twarz i pocałowała, pragnąc rozproszyc troski. Razeby oddał jej pocałunek. Jego usta były równie namiętne i ciepłe jak tamtego wieczoru, gdy pocałował ją po raz pierwszy - w blasku księżyca, przy drzwiach prowadzących za kulisy teatru.

Dostrzegła na jego twarzy prowokujący uśmieszek i przesunęła dłonią po jego spodniach. Oczy Razeby'ego pociemniały i pojawił się w nich charakterystyczny wyraz, który rozpałał płomień w jej ciele.

- Alice, ty kusicielko - westchnął, owiewając jej ucho ciepłym oddechem.

Przygryzła dolną wargę.

- Kuszę cię do grzechu. Może powinieneś przełożyć mnie przez kolano i dać klapsa?

- Gdybym tego nie zrobił, zaniedbałbym swoje obowiązki wobec ciebie - odrzekł przeciągle.

- A ty nigdy nie zaniedbujesz obowiązków. - Wydawało jej się, że znów dostrzegła cię w jego oczach.

Pragnąc, by zapomniał o tym, co go trapiło, podciągnęła wyżej spódnicę, ukazując kostkę okrytą pończochą.

- Ostrożnie, panienko.

- Wolę być nieostrożna, drogi panie Brundell, markizie Razeby. Ale czy nie za to właśnie mnie pan lubi? - Uniosła brwi i z uśmiechem rozpięła górne guziki gorsetu, odkrywając wzgórki piersi przysłonięte tylko cienkim materiałem koszuli.

Twarz Razeby'ego pociemniała. Oblizął usta.

- Alice, nie potrafię się oprzeć tej pokusie.

- Mam taką nadzieję... - roześmiała się, wyciągając szpilki z jasnych włosów.

Kunsztownie upięte loki rozsypały się na ramiona.

Razeby ściągnął żakiet, rzucił go na sofę i zaczął rozpinać guziki jasnej kamizelki. Na szyi miał biały krawat zawiązany w modny węzeł. Alice pociągnęła za koniec szarfy i rozwiązała krawat. Pod cienkim białym płótnem jego koszuli dostrzegła czarne włoski porastające ciało. Bryczesy z kozłej skóry nie były w stanie zamaskować jego podniecenia. Opuściła wzrok na długie, muskularne uda i błyszczące czarne buty do konnej jazdy, w tej chwili pokryte kurzem po podróży z domu przy Leicester Square. Znała ciało ukryte pod tym ubraniem, znała każdy cal złocistej skóry, każdy twardy mięsień, kształt jędrnych pośladków i szeroką pierś. Wiedziała, jak mocno bije mu serce po skończonej miłości, znała jego zapach i smak. Znała to wszystko i pragnęła go coraz bardziej. Obróciła się, wypięła pośladki i zakołysała nimi kusząco.

- Grasz ryzykownie, Alice.

- Czy mogę liczyć na to, że się ugniesz? - zapytała przez ramię.

Zbliżył się o krok, ale umknęła na drugą stronę sofy. Stali teraz naprzeciwko siebie przedzieleni sofą niczym barykadą.

- Uważaj, Alice, bo jak cię złapię...

- To co mi zrobisz? - uśmiechnęła się, unosząc brwi.

- Podciągnę ci spódnicę do góry...

- Tak? - westchnęła.

- I przelóżę cię przez kolano.

- A potem? - zapytała bez tchu.

Razeby stanął tuż przy sofie i ściszył głos do zmysłowego szeptu.

- Wiesz, Alice, że to się może skończyć tylko na jeden sposób.

- Doprawdy? A na jakiż to, milordzie?

Wyrzucił ramiona ponad oparciem sofy, ona jednak znów zrobiła unik i pobiegła do drzwi bawialni.

- Musisz się bardziej postarać, Razeby!

Dopadł ją na podeście schodów, otoczył ramionami i przyciągnął do siebie. Zachichotała, gdy ucałował szyję. Wziął ją na ręce, jakby nic nie ważyła, i nie zważając na jej piski, przerzucił sobie przez ramię i poniósł na górę.

- Razeby! - protestowała, próbując się wyrwać.

Klepnął ją w pośladek, nogą otworzył drzwi sypialni i rzucił ją na łóżko.

- Byłaś bardzo niegrzeczna - powiedział pozornie poważnym tonem. - Należy ci się kilka klapsów...

- Doprawdy? - Ze śmiechem obróciła się na brzuch i przepelzła na drugą stronę łóżka.

- Nie uciekniesz mi - rzekł surowo.

Pochwycił ją za kostkę i pociągnął w swoją stronę. Spódnica powędrowała do góry, ukazując łydki Alice w pończochach. Razeby podciągnął ją jeszcze wyżej i popatrzył na jej nagie uda i pośladki.

- Cóż za widok - mruknął, przesuwając palcem po jej biodrze.

Alice wstrzymała oddech. Materac ugiął się, gdy Razeby usiadł obok niej. Położył ją sobie na kolanach, twarzą w dół.

- Błagam o litość, lordzie Razeby - szepnęła, ale po jej ustach błakał się wyczekujący uśmiech.

- Nie mam dla ciebie ani odrobiny miłosierdzia... ani nie potrafię ci się oprzeć. - Przez chwilę gładził jej pełne pośladki, po czym wymierzył jej kilka lekkich klapsów, bardziej przypominających pieszczoty.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem. Obrócił ją w ramionach i pocałował w usta. Zarzuciła mu ręce na szyję, namiętnie oddając pocałunki. Położył ją na materacu. Pociągnęła go na siebie i wplotła palce w jego włosy.

- Alice - szepnął, gładząc ją po policzku.

W oczach Razeby'ego lśniła czułość i pożądanie.

- Kochany - odrzekła miękko.

Pocałował ją jeszcze raz, a potem ściągnął koszulę i bryczesy. Alice sięgnęła do zapięcia gorsetu.

- Pozwól, że ci pomogę. - Szarpnął gorset ruchem godnym wikinga na wojennej wyprawie i rozerwał go na całej długości.

- Cóż za niecierpliwość, milordzie! - odezwała się Alice kpiąco.

- To ty mnie doprowadzasz do takiego stanu!

- Jeszcze chwila, a przywiążesz mnie do łóżka!

Razeby spojrział na długi jedwabny sznur wiszący przy wezglowiu.

- Tę zabawę zostawimy sobie na później.

- Skoro pan nalega, lordzie Razeby...

- Nalegam, panno Sweetly. - Z gardłowym pomrukiem odsunął na bok podarte płótno, odsłaniając jej nagie ciało.

Widziała na jego twarzy napięcie. Lekko przesunął palcami po jej piersiach i nie spuszczać oczu z jej oczu, pochylił nad nimi twarz.

- Żadnej litości, Alice.

- Razeby - szepnęła.

Porzuciła ostatnie pozory oporu i wbiła palce w jego złociste, mocne ramiona, a potem objęła go nogami. Poruszali się w prastarym rytmie, dzieląc wszystko, co można było napotkać w tej podróży, i wspólnie zmierzając do jednego celu, aż w końcu Alice wykrzyknęła i cały świat roztrzaskał się na miliardy iskier spowitych w obłoki kolorowej mgły.

Potem, jak zawsze, Razeby objął ją mocno, jakby chciał chronić przed całym światem. Jego ciepły oddech owiewał jej włosy, dłoń władczo obejmowała pierś. Wtuliła się w niego, pławiąc się w cichej radości.

Ale gdy otworzyła oczy, znów dostrzegła na jego twarzy cień, który widziała już wcześniej w bawialni.

- Co się stało, Razeby? - zapytała, przesuwając palcami po cieniu zarostu na jego policzku.

Wyraźnie nie był sobą; coś było nie tak już od kilku tygodni. Miała nadzieję, że nie chodzi o to, co pisała przy biurku. Gdyby zapytał, nie wiedziałaby, co odpowiedzieć.

Zajrzał jej w oczy i przez chwilę odniosła wrażenie, że chce powiedzieć coś ważnego, ale dziwny wyraz zaraz zniknął, zastąpiony zwykłym uśmiechem, od którego całe jej ciało rozpląwało się jak płynny miód.

- Nic, co nie mogłoby jeszcze trochę poczekać - odrzekł i przycisnął jej palce do ust.

Nie uspokoił jej jednak. Po plecach Alice przebiegł dreszcz niepokoju.

- Razeby...

Przewrócił ją na plecy i znów nakrył swoim ciałem, ani na chwilę nie spuszczał oczu z jej twarzy.

- Proszę, jeszcze nie teraz - powiedział niemal modlitewnym tonem i uciszył jej protesty pocałunkami i znów wszystko zniknęło we mgle pożądania.

TLR

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ze swojego gabinetu w domu przy Leicester Square Razeby obserwował toczące się za oknem życie. Ulicą przejechał powóz oznaczony na drzwiach herbem hrabiego Misbourne. Od strony nadrzecznych błoni telepał się niemal już pusty wózek z węglem. Dwóch dżentelmenów jadących wierzchem zatrzymało się przy ogrodach, by chwilę porozmawiać. Chodniki roiły się od służących załatwiających sprawunki. Niańka wyprowadzała dziecko w wózku na spacer. Na ten widok Razeby odwrócił się od okna.

Na biurku stała karafka z ciężkiego kryształu z wygrawerowanym herbem rodowym i mottem: „Nazwisko Razeby zawsze zwycięskie”. W tej chwili to motto brzmiało jak gorzka ironia. Choć było jeszcze wcześniej, Razeby sięgnął po karafkę, nalał brandy do szklanki z podobnym grawerunkiem i podniósł ją do ust. Brandy zapiekła go w gardle i gładko spłynęła do żołądka. Wziął głęboki oddech i postawił szklankę na liście, który leżał na blacie biurka. Z krawędzi szklanki stoczyła się w dół brązowa kropla i powoli spłynęła aż na sam dół, gdzie wsiąkła w papier, zamazując słowa napisane ręką jego kuzyna Atholla, który wbrew radom rodziny i przyjaciół wstąpił do kawalerii, by walczyć przeciwko Napoleonowi. Jeszcze jedna wskazówka. Wszędzie, gdzie Razeby spojrział, widział jakieś wskazówki.

Dom był zupełnie cichy, tylko powolne tykanie zegara w kącie przypominało, że czas szybko mija. Zbyt długo pozostawiał tę sprawę własnemu biegowi; należało się nią wreszcie zająć.

Pomyślał o swojej Alice, o jej pięknych ciemnoniebieskich oczach, namiętnej naturze i gorącym sercu, i przypomniał sobie, jak wyczekiwała pokazu sztucznych ogni, który miał się odbyć wieczorem. Pomyślał o niej i o tym wszystkim, co zaszło między nimi w ciągu ostatnich miesięcy i serce ścisnęło mu się boleśnie. Jego spojrzenie powędrowało w stronę podłużnego pudełeczka obciążonego brązowym aksamitem, które leżało obok uchwytu na pióro. Na chwilę znieruchomiał. Wziął się w garść i przygotowując na to, co musiało nastąpić, wsunął pudełeczko do kieszeni.

Jednym haustem wypił resztę brandy, ale ucisk w żołądku ani kwaśny posmak w ustach nie ustąpiły.

Wieczorne niebo wyglądało jak kopuła z granatowego jedwabiu wysadzana migoczącymi diamencikami. Pomiędzy nimi świecił wąski sierp księżycy. Choć zima już minęła, wiosen-



na noc była chłodna. Z ust Alice i Razeby'ego unosiły się obłoczki pary. Wyszli z łódki i ręką w rękę poszli przez trawę w stronę ogrodów Vauxhall, Alice ciasniej owinęła się szalem. Razeby przyciągnął ją do siebie.

- Zimno ci?

- Tylko trochę.

Popatrzył na nią z dziwną czułością na twarzy, jakby chciał na zawsze wyryć ją w swojej pamięci. Uśmiechnęła się i dotknęła jego policzka.

- Dlaczego jesteś taki poważny?

Obrócił głowę tak, że jego usta otarły się o wnętrze jej dłoni.

- Miałem kiepski dzień.

- W takim razie musimy się postarać o to, żeby wieczór był przyjemny.

- Aż do ostatniej minuty - mruknął tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Potem, jakby otrząsnął się z ponurych myśli, wziął ją za rękę i poprowadził w tłum żonglerów, nożowników, tancerzy i muzyków. Spora grupa ludzi otaczała mężczyznę z lirą korbową. Na jego ramieniu siedziała małpka ubrana w kubraczek i kapelusz. Dalej stały stoły z jedzeniem, chociaż noc wydawała się zbyt chłodna na szampana i cieniutkie plasterki zimnej szynki, które serwowano gościom.

- Dobrze, że zjedliśmy w domu - zauważyła Alice.

- Ja też się cieszę. - Razeby wyciągnął z kieszeni butelkę szampana. - Nie mam kieliszków. Obawiam się, że będziemy musieli pić z butelki. Choć jest to najlepsza butelka, jaką znalazłem w twojej piwnicy.

- W twojej piwnicy - poprawiła go ze śmiechem.

Odgłos otwieranego szampana zmieszał się z wybuchami fajerwerków. Po szyjce butelki spłynęła piana. Razeby podał butelkę Alice. Podniosła ją do ust i zakrzuszyła się od nadmiaru bąbelków. Odebrał od niej butelkę i sam się napił.

Oparła się o jego pierś. Otoczył ją ramionami i razem patrzyli na fantastyczne, kolorowe rozbłyski na niebie. Tłum dokoła nich wzdychał i krzyczał z zachwytu i zdumienia. W powietrzu unosił się zapach siarki i dymu z ustawionych w pobliżu koszy z węglem.

Razeby pochylił się i pocałował ją. Smakowała trawę, truskawkami i szampanem, a także wszystkim, co najlepsze w życiu. Patrzyli na pokaz sztucznych ogni, pili szampana i całowali się, nie dbając o to, że ktoś może ich zobaczyć. Było ciemno, a poza tym znajdowali się w

ogrodach Vauxhall, które miały nieco dwuznaczną reputację. Zresztą zbyt trudno byłoby im się powstrzymać.

Gdy ostatnie rozbłyski zaczęły przygasać na czarnym niebie, Razeby wziął Alice za rękę i nie czekając końca spektaklu, ruszył w stronę łodzi, żeby wyprzedzić tłum.

W świetle płomieni migoczących w kominku sypialni przy Hart Street ciemnoblonde włosy Alice nabierały złocistoczerwonego odcienia. Razeby pochwycił kosmyk, który wysunął się spod szpilek, i przesunął go między palcami, a potem wsunął jej za ucho i pogładził ją kciukiem po policzku. Przymknęła oczy i wtuliła twarz w jego dłoń.

Zsunął z ramion granatowy żakiet i rzucił go na najbliższy fotel. Z kieszeni wypadło pudełeczko obciążone brązowym aksamitem. Zatrzymało się na dywaniku u ich stóp. Na jego widok Alice uśmiechnęła się szeroko.

- Kupiłeś mi kolejny prezent? Przecież mówiłam...

Razeby sięgnął po pudełeczko, ale nic nie odpowiedział.

- Naprawdę, Razeby, nie powinieneś tego robić.

Uśmiechnął się z przymusem i podał jej pudełeczko. Popatrzyła na nie, pogładziła palcami aksamit i po krótkim wahaniu otworzyła. W środku, na kremowej wyściółce, leżała brylantowa bransoleta. Kamienie roziskrzyły się w blasku kominka, rozświetlając cały pokój.

- Och, Razeby - westchnęła Alice i pocałowała go w policzek. - Jaka piękna! Musiała kosztować fortunę.

- Jesteś warta każdego pensa.

- Przepiękna. - Spojrzała mu w oczy i pogładziła go po twarzy. - Dziękuję.

Razeby powoli zbliżył usta do jej ust.

- Alice - wymruczał i pociągnął ją w ramiona.

Gdy raz zaczął ją całować, nie potrafił przestać, zatracił się w niej bez reszty. Przy niej zapominał o wszystkim: o odpowiedzialności, jaka spoczywała na jego barkach, o mrocznych czasach, które nadchodziły. W jej oczach widział namiętność i tęsknotę.

- Kochaj mnie, Razeby.

Nie potrafił jej odmówić. Nie potrafił przeciwstawić się sobie samemu, uczuciom, które w nim wzbudzała. Rozebrał ją w milczeniu i delikatnie położył na łóżku. Zdjął kamizelkę, koszulę i krawat, a potem rozpiął spodnie i uwolnił się z bielizny, nawet na chwilę nie odrywając od niej spojrzenia. Wziął ją z czułością i uszanowaniem, dając wszystko, co mógł. Chciał, żeby dla nich obojga pozostało to niezapomnianym przeżyciem. Otworzył się na nią do końca, nie

wstrzymując niczego, i czuł, że ona czyni to samo. Gdyby mógł, dla tej kobiety gotów byłby ściągnąć z nieba słońce i księżyc.

Ich ciała zdawały się stworzone do bliskości, stapały się w jedno, wzajemnie uzupełniając. Zawsze wędrowali razem w inne światy, ale nigdy jeszcze nie dotarli tak daleko jak tego wieczoru. Było to bardzo szczególne, wręcz bolesne doznanie, więc niepodobna do żadnej innej. Razeby miał wrażenie, że Alice odkryła warstwy jego duszy, o których istnieniu sam nie miał wcześniej pojęcia. Osiągali błogość i przekraczali granice, patrząc sobie w oczy.

Leżeli spleceni, w odblaskach płomieni pełzających po nagiej skórze ich ciał. Ich serca biły w jednym rytmie. Palce Alice delikatnie pogładziły jego ramię.

- Alice - westchnął i poczuł okropny ciężar w piersi.

- Czy masz bilety na jutrzejszy pokaz?

- Mam.

- To świetnie. - Uśmiechnęła się, ale Razeby nie odpowiedział jej uśmiechem. - Będziemy się doskonale bawić. Ellen mówi, że te konie są niezwykle. Trudno uwierzyć, do czego można je wyszkolić.

Przymknął oczy, wziął głęboki oddech i zmusił się, by wypowiedzieć te słowa:

- Nie mogę ci towarzyszyć na jutrzejszym pokazie.

- Przecież powiedziałaś, że masz bilety.

- Mam, ale jest inna uroczystość, na której muszę się pojawić.

- Co to za uroczystość?

Nastąpiła chwila milczenia.

- Bal u Almacka.

- Bale u Almacka nigdy nie przysparzały ci bólu głowy - zaśmiała się lekko. - Wszystkie te debiutantki i szacowne matrony szukające odpowiednich mężów dla swoich córek! Czyżby Devlin w końcu postanowił się ożenić?

- Nie idę tam z Devlinem, tylko z Linwoodem. - Wicehrabia Linwood przed niespełna rokiem ożenił się z najlepszą przyjaciółką Alice i jedną z najbardziej znanych aktorek Londynu, Venetią Fox.

Odsunęła się od niego i po jej twarzy poznał, że wszystko zrozumiała, jeszcze zanim wypowiedział słowa, których bardzo nie chciał wypowiadać.

- Musimy porozmawiać, Alice. Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Razeby naciągnął spodnie i usiadł na łóżku, oparty o rzeźbiony dębowy zagłówek, wyciągając przed siebie długie nogi w butach do konnej jazdy. Zimne powietrze wypełniło przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się jego ciało. Alice zadrżała i okrywając się prześcieradłem, usiadła obok, również oparta o wezgłowie. Choć wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami, poczuła chłód w sercu. Wiedziała, co Razeby za chwilę powie, a równocześnie w głębi serca miała nadzieję, że się myli i że już za chwilę będzie się śmiać ze swoich obaw i ścisającego gardło lęku.

- W takim razie mów - uśmiechnęła się, próbując zachować spokój.

- Alice, mam obowiązki wobec swojego tytułu, posiadłości i ich mieszkańców. Moją powinnością jest zachować dziedzictwo dla następnych pokoleń... by to uczynić, muszę się ożenić i spłodzić syna, który odziedziczy to wszystko po mnie. Po to mnie wychowano.

- Oczywiście. - Zawsze o tym wiedziała, obydwójce wiedzieli, ale Razeby miał się ożenić w odległej przyszłości, a nie teraz, gdy ich związek wciąż był świeży i pełen namiętności. - Jesteś młody. Chyba nie musisz się spieszyć?

Razeby odwrócił wzrok.

- Za pół roku skończę trzydzieści lat.

- Czy to jakaś szczególna data? Czy istnieje jakaś klauzula, która mówi, że w tym wieku powinieneś mieć już żonę i starać się o syna?

Jego spojrzenie przysłonił cień.

- Coś w tym rodzaju - odrzekł, nie patrząc na nią. - Atholl wraca do domu na noszach. Niewiele brakowało, a wróciłby w trumnie.

- Ten twój kuzyn, który został postrzelony w bitwie?

- Na tę chwilę to on po mnie dziedziczy, Alice.

- Zdawało mi się, że wraca do domu na rekonwalescencję.

- Owszem, ale niewiele brakowało, by nie wrócił w ogóle. To, co mu się przydarzyło, zmusiło mnie do zastanowienia. Zbyt długo zaniedbywałem swoje obowiązki. Nie mogę już tego odkładać na później. Muszę znaleźć sobie narzeczoną.

Żadne z nich się nie poruszyło. Siedzieli obok siebie, oparci o zagłówek, wciąż ze splecionymi palcami, jakby była to zwykła rozmowa - jedna z tysięcy, jakie dotychczas prowadzili. Alice udawała spokój, choć od słów Razeby'ego wirowało jej w głowie.

- To znaczy, że mnie odprawiasz - uśmiechnęła się z niedowierzaniem, w głębi duszy wciąż żywiąc nadzieję, że on zaprzeczy i że wszystko będzie tak samo jak dotychczas. Patrzyła na ciemne smugi, które jego buty do konnej jazdy pozostawiły na narzucie w kolorze kości słoniowej.

Razeby jednak nie zaprzeczył.

- Przykro mi, Alice.

Wysunęła palce spomiędzy jego palców i spojrzała na niego, ale on patrzył przed siebie, unikając jej wzroku. Zaledwie pięć minut wcześniej ich serca, ciała i oddechy splatały się ze sobą i łączyły w jedność w akcie najwyższej intymności, a teraz siedział obok i tak po prostu ją odprawiał, pomyślała z niedowierzaniem. Poczowała się, jakby uderzył ją w brzuch. Opuściła wzrok i jej spojrzenie padło na brylantową bransoletę, migoczącą iskrami jak nocne niebo. Zaśmiała się smutno.

- To dlatego kupiłeś mi tę bransoletę. Jako zapłatę.

Cisza coraz głośniejsz dzwoniła jej w uszach. Rozpięła zameczek i zsunęła bransoletę z przegubu. Brylanty zaślniły i refleksy światła przesunęły się po ścianach. Alice nie była w stanie zebrać myśli. Wciąż nie potrafiła tego zrozumieć.

- Chciałeś mi to powiedzieć już wcześniej, tamtego dnia, tak? Dlatego przyszedłeś wtedy niespodziewanie.

Znów nie zaprzeczył. Oczy miał ciemne i poważne. Zaśmiała się ironicznie, potrząsając głową, i w przyływie dławiących emocji odwróciła twarz, niezdolna powstrzymać złości i niedowierzania. Przeszył ją ból. Jak mogła być tak ślepa? Przez sześć miesięcy była szczęśliwa, wszystko wydawało się cudowne i była przekonana, że on czuje to samo. Nie mogła uwierzyć, że wszystko skończone.

- Możesz tu zostać, dopóki nie znajdziesz jakiegoś innego mieszkania. Nie ma pośpiechu.

- Jakże to miło z twojej strony.

Razeby zignorował ironię w jej głosie.

- Oczywiście, zostawię ci pewną sumę pieniędzy.

- Nie chcę twoich pieniędzy.

- To część twojego kontraktu.

- Jakże mogłam o tym zapomnieć! - Pomyślała o kawałku papieru zapisanym ozdobnym pismem i schludnie przewiązanym zieloną wstążką.

Milczenie nabrzmiewało. Przez głowę Alice przebiegały tysiące myśli, słowa tłoczyły się na końcu języka. Zaciśnęła mocno usta, nie pozwalając im się wydostać. Zeszła z łóżka, sięgnęła po stary szlafrok leżący na oparciu krzesła, narzuciła go na ramiona i zaciśnęła pasek, a potem podeszła do okna i popatrzyła na ulicę oświetloną przez latarnie. Od czasu do czasu na chodniku pojawiała się grupka przechodniów wracających z wieczornego przedstawienia w teatrze i królowe nocy w kosztownych sukniach. Wprawne oko Alice natychmiast wyłapywało je z tłumu. Ulicą przejechał powóz, a potem dżentelmen na koniu.

Razemy poruszył się. Odwróciła się i zobaczyła, że wstał. Popatrzyła na jego wysoką sylwetkę, nagą pierś i przystojną męską twarz i pomimo tego, co przed chwilą usłyszała, zdradzieckie ciało znów poczuło pożądanie.

- Alice, związki takie jak nasz nigdy nie trwają długo.

- To prawda.

- Muszę wypełnić swój obowiązek. - Usta, na których zwykle gościł ciepły uśmiech, skrzywiły się w grymasie determinacji, oczy miały nieprzenikniony wyraz. Bicie serca Alice przypominało tętent galopującego konia.

- Szkoda, że nie zastanowiłeś się nad swoimi obowiązkami pół roku temu. - Zauważył ją, gdy sztuka, w której grały obydwie z Wenetią, podbiła Londyn. Adorował ją, zwałił z nóg i w ciągu kilku tygodni od pierwszego spotkania uczynił swoją kochanką.

- Może szkoda - zgodził się.

Czuła się tak, jakby obdzierał ją ze skóry. Patrzył na nią pochmurnym, posępnym wzrokiem. Jeszcze nigdy go takim nie widziała.

- Wiem, że te słowa wydają się nic nie znaczyć, ale naprawdę jest mi przykro, Alice.

- Skoro tak twierdzisz...

Razemy przełknął.

- Dziękuję ci za wszystko. - Nie spuszczał wzroku z jej twarzy, zbliżył się o krok, jakby chciał jej dotknąć.

Cofnęła się, zatrzymując spojrzenie na długich palcach i jasnobrązowej skórze jego dłoni - dłoni, która pieściła jej usta i dotykała najbardziej intymnych miejsc nagiego ciała. Powstrzymała się z najwyższym trudem, by nie odepchnąć tej dłoni. Śmiało spojrzała mu w twarz.

Razemy znów przełknął i odwrócił wzrok, bezwładnie opuszczając rękę.

- Jeśli potrzebujesz czegoś...

- Niczego nie potrzebuję. Idź już - powiedziała z udawanym spokojem.

Zacisnęła mocniej pasek szlafroka, znów odwróciła się do okna i patrzyła na oświetloną gazowymi latarniami ulicę, chociaż nic nie widziała. Czekwała na jego wyjście, ale wciąż stał w miejscu. Usłyszała jego kroki tuż za swoimi plecami. Nie dotknął jej, ale poczuła na plecach ciepło oddechu.

- Alice - powiedział z napięciem. - Mam nadzieję, że cię nie zraniłem.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Dlaczego miałbyś mnie zranić? Nie pochlebiaj sobie, Razeby. Było miło, dopóki to trwało, ale... - Wzruszyła ramionami i przygryzła dolną wargę, próbując powstrzymać drżenie głosu.

Grdyka Razeby'ego poruszyła się w górę i w dół, ciemne oczy nie schodziły z jej twarzy.

- W każdym razie to jest coś - skinął głową. - Do widzenia, Alice.

- Do widzenia, Razeby - odrzekła zduszonym głosem.

Zmusiła się do uśmiechu i znów spojrzała w okno, jakby w tej chwili najbardziej interesował ją mroczny widok na zewnątrz.

Odwrócił się i odszedł. Widziała w szybie jego odbicie obok własnej twarzy, bladej jak u ducha. Cichy stuk zamykanych drzwi zabrzmiał w jej głowie głośno niczym wystrzał. Stała nieruchomo, z dłonią przy ustach, tłumiąc urywany oddech i wsłuchując się w odgłos jego kroków na korytarzu i na schodach. W pięć minut później usłyszała trzaśnięcie drzwi wyjściowych. Dopiero wtedy oparła się o ścianę i wybuchnęła szlochem.

Resztę nocy spędziła w niebieskim foteliku przy kominku, patrząc, jak ogień żarłocznie pochłania bryły węgla, gwałtowny jak emocje targające jej duszą. Żar płomieni nie był w stanie jej rozgrzać. Całe ciało miała zlodowaciałe, nie pomagał nawet szlafrok ani wełniany szal, którym ciasno owinęła ramiona. Powtarzała sobie, że to skutek wstrząsu i gniewu. Czowała się tak, jakby wypila dziesięć filiżanek kawy. Próbowwała położyć się na łóżku i zamknąć oczy, ale myśli pędziły jak szalone, jakby już nigdy w życiu miała nie zasnąć.

Nie pozwalała sobie jednak uronić ani jednej łzy, choć nieustannie napływały pod powieki. Wydawało jej się, że jeśli raz na to pozwoli, popłyną jak wodospad. Przełknęła kulę w gardle, ale nie zmniejszyło to ciężaru w piersiach. Powtarzała sobie, że przez cały czas chodziło tylko o przyjemność, a teraz przeżywa szok, bo Razeby odprawił ją, gdy się zaangażowała.

Oddychała powoli, patrząc w ogień i próbując się uspokoić. Przeszła już znacznie gorsze rzeczy. Pomyślała o swojej rodzinie w Irlandii, o tym, jak przyjechała do Londynu, by znaleźć pracę i pomóc im wyrwać się z głodu i desperacji. Przez jakiś czas pracowała w masce na twa-

rzy jako Miss Rouge w luksusowym burdelu pani Silver. Bardzo niewielu ludzi znało jej prawdziwą tożsamość, zaledwie kilka osób, ale Razeby wiedział. Bóg jeden wie, dlaczego mu o tym powiedziała. Teraz zaczęła tego żałować.

Spojrzała na łóżko i pośród pomiętych prześcieradeł dostrzegła błysk brylantowej bransoletki, pięknej i kosztownej. Wybuchnęła drżącym śmiechem i potrząsnęła głową. Jakaż była głupia. *Nigdy nie pokazuj po sobie, że ktoś cię zranił.* Słowa, które matka właczała w nią przez całe życie, wciąż rozbrzmiewały jej w głowie. *Ci łajdacy nie mogą odebrać ci dumy, jeśli im na to nie pozwolisz. Patrz życiu prosto w twarz, Alice, i zawsze, zawsze się uśmiechaj.*

Alice nie była błyskotliwa, nie była bystra, ale była praktyczna, pracowita i zdeterminowana, a jej duma wciąż pozostawała niezachwiana.

Odwróciła wzrok od łóżka, znów wpatrzyła się w złociste płomienie migoczące pośród żaru i zaczęła snuć plany.

TLR



## ROZDZIAŁ CZWARTY

W sali balowej Almacka kandelabry iskrzyły się od płomieni tysiąca świec. Jasnokremowe ściany obrzeżone były paskiem o barwie starego złota, niedawno odnowiony sufit pokrywała biała sztukateria z trzema misternymi różami pośrodku, a z każdej zwisał olbrzymi kryształowy kandelabr. Nad kominkiem umieszczono trzyczęściowe lustro ozdobione podobnym ornamentem. Przed nim znajdowały się świece, a dalej na ścianach rząd kinkietów, również z lustrami, rozmieszczonych w równych odstępach dokoła całej sali. Przy ścianach stały stoliki i krzesła. Muzycy na balkonie grali rzewną melodię, która prześladowała Razeby'ego.

- Nie byłem pewien, czy cię wpuszczą - powiedział, stając obok Linwooda.
- Musiałem skorzystać z protekcji.
- Cieszę się, że to zrobiłeś.

Zamilkli i powiedli wzrokiem na drugą stronę sali, na tłum debutantek w białych sukniach, chichoczących pod czujnym okiem surowych przyzwoitek w turbanach.

- Czy Alice wie, że tu jesteś? - zapytał Linwood.
- Między mną a Alice wszystko skończone. - Razeby poczuł na sobie spojrzenie przyjaciela, ale wciąż patrzył przed siebie z obojętnym wyrazem twarzy.
- Przykro mi to słyszeć.
- Mnie też jest przykro.

Ponad dźwiękami muzyki dochodził do nich szmer rozmów i dźwięczne kobiece śmiechy.

- Mogłeś ją zatrzymać, dopóki nie znajdziesz...
- Nie - przerwał mu Razeby. - Najlepsze jest czyste cięcie. - Dopiero teraz napotkał wzrok przyjaciela. Linwood uniósł brwi.

- Miałem wrażenie, że było wam dobrze razem.
- Jest nam dobrze. - Odwrócił wzrok i poprawił się ze ściśniętym gardłem: - Było. Ale ona była moją kochanką, Linwood, a teraz już czas, bym znalazł sobie żonę.

Przyjaciół spojrzeli na niego przenikliwie, jakby potrafili przejrzeć uczucia, które opanowały Razeby'ego na sam dźwięk imienia Alice. Powtarzał sobie, że postąpił słusznie. Zrobił to, co musiał zrobić i co powinien był zrobić już przed sześcioma miesiącami, zanim jeszcze Alice Sweetly pojawiła się w jego życiu i zburzyła wszystkie starannie opracowane plany. Sześć miesięcy. Nie żałował ani jednego dnia. Sześć miesięcy i...

Zmienił temat, siląc się na lekki ton.

- Widzisz, co traciłeś przez to, że nie jesteś już na rynku matrymonialnym?

Linwood uśmiechnął się. Odkąd się ożenił, uśmiechał się znacznie częściej.

- Bardziej do mnie przemawia myśl o znalezieniu małżonki podczas procesu o morderstwo - powiedział, bowiem właśnie tak poznał przed kilkoma miesiącami ukochaną żonę. - To była skandaliczna i niebezpieczna sytuacja, ale efekt okazał się wielce zadowalający. - Znow się uśmiechnął i jego twarz złagodniała. Razeby wiedział, że przyjaciel myśli w tej chwili o swojej żonie, Venetii Fox, byłej gwiazdce sceny Covent Garden i najbliższej przyjaciółce Alice. W jego umyśle znow pojawił się obraz Alice - figlarnej, o wielkim sercu, roześmianej. Przypomniawsobnie, jak stała w ich sypialni i patrzyła na niego wstrząśniętym wzrokiem, gdy jej powiedział, że już po wszystkim. I znow poczuł ściskanie w gardle. Odepchnął od siebie ten obraz i skupił uwagę na stadku debutantek w białych sukniach. Pod koniec sezonu jedna z nich miała stać się jego żoną, zająć miejsce w jego łóżku i nosić jego dziecko. Na tę myśl poczuł odrętwienie, ale wiedział, że musi się tak stać. Miał już za sobą szaleństwa młodości. Alice zaspokoila wszystkie jego pragnienia, a teraz należało zacisnąć zęby i wypełnić obowiązek, nim będzie za późno.

- Którą z tych debutantek zamierzasz poprosić do tańca? - zapytał Linwood.

- Pierwszą z brzegu - odrzekł Razeby z uśmiechem, który jednak nie sięgnął oczu.

Odstawił kieliszek z szampanem na srebrną tacę przechodzącego lokaja i ruszył przez salę.

To był długi dzień i choć Alice prawie nie spała w nocy, wciąż nie czuła zmęczenia. Odbyla wyczerpującą podróż przez połowę Londynu, ale ta wycieczka warta była wysiłku. U jej stóp leżała teraz duża torba podróżna.

- Czy mam pani pomóc? - Pokojówka niepewnie zatrzymała się w drzwiach, jakby obawiała się wejść do sypialni.

Policzki miała zaróżowione z zażenowania i widać było, że czuje się nieswojo. Alice zauważyła, że dziewczyna najpierw spojrzała na torbę, a dopiero potem na nią. Wszyscy służący już wiedzieli, choć była pewna, że Razeby nic im nie powiedział. Dwie siostry Alice pracowały jako służące w Dublinie, stąd wiedziała, że służba zawsze orientuje się w takich sprawach.

- Nie, dziękuję ci, Mary. Sama się tym zajmę. Ale poproś Hestona, żeby wezwał mi do-  
rozkę.

- Tak, proszę pani. - Dziewczyna dygnęła i odbiegła, by podzielić się nowinami z resztą służby.

Alice przejrzała całą garderobę i wybrała bardzo niewiele sukien - tylko te, które przywiozła ze sobą, gdy zamieszkała w tym domu. Kosztowne jedwabne stroje i dodatki, które kupił jej Razeby, zostały w szafie. Szybko zebrała resztę swoich rzeczy. Nie było ich wiele. Wolała podróżować bez bagażu.

Podeszła do szafy, by ją zamknąć, i zatrzymała się nagle, gdy jej wzrok przyciągnęła suknia wisząca na samym końcu rzędu. Zawahała się i przygryzła usta. Powinna zostawić ją w szafie wraz ze wszystkimi pozostałymi, ale nie była w stanie tego zrobić. Bez zastanowienia zdjęła szmaragdową kreację z wieszaka, zwinęła ją i włożyła do torby.

Ze wszystkich prezentów, które otrzymała od Razeby'ego, wzięła tylko jeden. Otworzyła pokrywę podłużnego pudełka z wiśniowego drewna i zerknęła do środka, by się upewnić, że znajduje się tam grawerowane srebrne pióro. Nie dotykając go, szybko zamknęła pudełko i wsunęła je do torby razem z grzebieniem ze skorupy żółwia i resztą przyborów toaletowych.

Zamknęła torbę, narzuciła na ramiona czarny aksamitny płaszcz i po raz ostatni rozejrzała się po pokoju. Popatrzyła na toaletkę z lustrem, szafę, fotele i stolik, na którym stała waza z kości słoniowej z więdnącymi ciemnoróżowymi różami. Kwiaty pochyliły głowy, płatki zaczęły już opadać, ale w powietrzu wciąż unosił się słodki zapach. Na krótką chwilę zatrzymała spojrzenie na łóżku, które dzieliła z Razebym, a potem z torbą w ręku zeszła po schodach do dorożki, która już czekała na ulicy.

Dorożkarz popędził konia i pojechali w stronę zachodzącego słońca. Alice wpatrywała się we wspaniałe, różowe od wieczornej zorzy niebo, nie wypuszczając rączek torby z dłoni i z determinacją zaciskając usta.

Ani razu nie odwróciła się, by spojrzeć na dom.

Razeby stracił już rachubę. Nie miał pojęcia, z iloma kobietami zdążył zatańczyć. Wszystkie wydawały mu się takie same. Rozmawiał z nimi uprzejmie i zachowywał się tak, jak należało się zachowywać, ale wciąż nie mógł przestać myśleć o scenie, która poprzedniego wieczoru miała miejsce w sypialni Alice.

Lepiej niż większość przedstawicielek jej płci znała wszystkie gry, które mężczyźni prowadzili z kobietami. Nie miała złudzeń; żadne z nich ich nie miało. A jednak... *Nie chcę twoich pieniędzy, Razeby.* Wciąż słyszał w głowie te słowa i czuł przy tym dziwny niepokój. Zamierzał

zerwać z nią szybko i zdecydowanie. To był jedyny sposób, najlepszy dla nich obojga, tak jak powiedział Linwoodowi. W teorii wszystko wydawało się proste, w praktyce wcale takie nie było. Stwierdził ze smutkiem, że gorzej nie mógł zakończyć ich znajomości.

Alice była dla niego dobra. Nie przypominała żadnej kobiety, jaką znał wcześniej. To chyba wyjaśniało, dlaczego od wczorajszego wieczoru gnębiło go poczucie winy. Powinien teraz sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku, i zapewnić jej jakąś przyszłość. Bez względu na to, co ona sama mówiła, powinien zwiększyć kwotę przeznaczoną na jej utrzymanie ponad to, co prawnik zapisał w umowie.

Odprowadził pannę Thomson do matki i skłonił się. *Nie możesz mnie zranić, Razeby.* Nie był pewien, czy jej wierzy. Ta myśl niepokoiła go. Wyrzuty sumienia stawały się coraz trudniejsze do zniesienia, choć wszystko, co jej powiedział, było prawdą. Takie związki nigdy nie trwały długo. Nie mógł jednak przestać się zastanawiać, co się z nią dzieje.

- Wychodzisz tak wcześnie? - zdziwił się Linwood.

- Muszę w te rzeczy wdrażać się powoli - skłamał Razeby. - Ile debiutantek można znieść w ciągu jednego wieczoru?

- Nie masz ochoty wybrać się do White'a, żeby odzyskać formę?

- Innym razem.

Przez szpary w okiennicach przebijało światło. Dom na Hart Street wyglądał równie przyjaźnie i zapraszająco jak zawsze. Zastanawiał się, czy popełnił błąd, przychodząc tutaj, ale musiał się upewnić, że wszystko w porządku z Alice.

- Jak to wyjechała? - zdumiał się.

Zostawił ją tu wczesnym rankiem. Od ich rozmowy nie minęły jeszcze nawet dwadzieścia cztery godziny.

W oczach lokaja błysnął niepokój. Dopiero po chwili służący przypomniał sobie, jak powinien się zachowywać i jego twarz znów przybrała zwykły obojętny wyraz.

- Panna Sweetly wyszła z domu na cały dzień, milordzie. Wróciła dopiero wieczorem i spakowała podróżną torbę.

Serce Razeby'ego zaczęło bić niespokojnie.

- Czy zostawiła jakąś wiadomość?

- Nie zostawiła żadnej wiadomości, milordzie. - Coś we wzroku starszego mężczyzny sprawiło, że Razeby poczuł się jak ostatni łajdak. Po chwili lokaj dodał jeszcze: - Powiedziała tylko, że już tu nie wróci.

- A czy powiedziała, dokąd się wybiera, albo przynajmniej, w którym kierunku? - Razeby w głębi serca wiedział, jaką odpowiedź usłyszy, ale mimo wszystko zapytał w nadziei, że się myli.

- Nie, milordzie. Niczego takiego nie powiedziała.

- Ale chyba podała jakieś wskazówki Johnowi Coachmanowi?

- Panna Sweetly nie wyjechała stąd pańskim powozem.

Razeby zrozumiał, co to miało oznaczać. Nie chciała, by ją znalazł, i szczerze mówiąc, nie mógł jej za to winić. Odesłał lokaja i wszedł po schodach do sypialni. Wszystko wyglądało tu tak samo jak zawsze, jakby ostatni wieczór był tylko sennym koszmarem. W kinkietach po obu stronach kominka płonęły świece i ich blask odbijał się w lustrach. Róże, które przyniósł jej niecały tydzień temu, wciąż stały w wazonie. Na kominku płonął niewielki ogień. Pokój wydawał się przytulny i ciepły, wciąż przesycony jej zapachem i wrażeniem obecności.

Kasetka z biżuterią nadal stała na toaletce. Otworzył wieczko i zobaczył wszystkie precjoza, które jej podarował, schludnie poukładane w przegródkach. Zajrzał do szafy i zauważył, że wyjęto stąd zaledwie kilka sukien. Barwne stroje od madame Boisseron, które jej kupił, wciąż wisiały na swoich miejscach, a niżej stały pantofle, równo poustawiane w parach. Pod wpływem impulsu otworzył drugą, identyczną szafę, która należała do niego, i zobaczył wszystkie swoje ubrania nietknięte, w takim stanie, w jakim je zostawił.

Zamknął drzwi i obrzucił wzrokiem cały pokój. Niczego nie brakowało oprócz...

Znieruchomiał, gdy jego spojrzenie padło na narzutę w kolorze kości słoniowej, równo rozeslaną na łóżku. Na samym środku leżało pudełeczko obciążnięte brązowym aksamitem. Było otwarte, a w środku, na kremowej wyściółce, lśniła brylantowa bransoleta.

Zacisnął zęby. Alice zniknęła, a on nie miał pojęcia, gdzie się podziała. Nie zabrała niczego, co od niego dostała. Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć.

- Przyjechałam, gdy tylko dostałam twoją wiadomość. - Najbliższa przyjaciółka i mentorka Alice, kobieta, która uwolniła ją od życia w przybytku pani Silver i wprowadziła w zawód aktorki, Venetia Fox, obecnie wicehrabim Linwood, podała płaszcz nowej pokojówce Alice i poszła za nią do bawialni nowego domu przy Mercer Street.

- Chyba rzuciłaś wszystko i przyjechałaś od razu? Wysłałam chłopca z wiadomością za ledwie pół godziny temu.

- Jesteś moją przyjaciółką, Alice. Co twoim zdaniem powinnam zrobić? - Na twarzy Venetii odbijała się troska. Alice poczuła się winna.

- Nie chciałam cię zmartwić, Venetio. Zamierzałam tylko powiadomić cię, gdzie jestem.

- Cieszę się, że to zrobiłaś, bo naprawdę się martwiłam. - Venetia usiadła na sofie i wzięła Alice za rękę. - Co się stało?

- Dostałam odprawę - wyjaśniła Alice ze swobodnym uśmiechem. - Powiedział, że już pora, by poszukał sobie żony.

- Och, Alice, tak mi przykro!

- Niepotrzebnie. Któregoś dnia musiało się to zdarzyć. Jestem aktorką, a on markizem, nie mogło być inaczej. - Zaśmiała się lekko i wzruszyła ramionami. - Poza tym byłam już nim zmęczona i sama miałam ochotę na zmianę. - Te słowa wypłynęły z jej ust zupełnie swobodnie, Venetia jednak nie wydawała się przekonana.

- Żadne z was nie mogło przewidzieć tego, co stało się z Athollem. Przypuszczam, że właśnie dlatego Razeby zaczął patrzeć na wszystko inaczej.

- Atholl był doskonałą wymówką dla nas obojga. - A raczej pretekstem dla Razeby'ego. Alice teraz już wiedziała, czym miał zaprzątniętą głowę przez ostatnie miesiące. Niepotrzebnie się o niego martwiła. - Nasz czas już się kończył.

- Bardzo szybko wyprowadziłaś się z Hart Street.

- Kuj żelazo, póki gorące - uśmiechnęła się Alice. - Już się pozbierałam. Jak ci się podobają nowe pokoje? Miałam to mieszkanie na oku już od pewnego czasu. - Jej uśmiech stał się szerszy. - Ładne i blisko stąd do teatru, a czynsz nie jest zbyt wysoki.

- Bardzo ładne, ale nie przyszłam tu po to, żeby oglądać pokoje, Alice - rzekła Venetia ostrożnie.

- Sama mnie ostrzegałaś, żebym się z nim nie wiązała, pamiętasz?

Venetia nie odpowiedziała, ale w jej oczach pojawiło się wyraźne współczucie. Alice natychmiast zareagowała na to przyływem złości. Nie chciała, by ktokolwiek się nad nią litował, nawet Venetia.

- Mówiłaś mi, że lepiej zarabiać własne pieniądze niż zdawać się na łaskę jakiegokolwiek mężczyzny.

- A czy zdałaś się na jego łaskę, Alice? - zapytała Venetia cicho.

- Oczywiście, że nie. Nie jestem aż tak głupia. Obydwoje wiedzieliśmy, na czym polega ten układ. Z moją przeszłością jakże mogłabym o tym nie wiedzieć? - Uśmiechnęła się lekko, jakby to nic nie znaczyło. - Przecież nie zerwałam zupełnie z teatrem. Od czasu do czasu pojawiałam się na scenie i dzięki temu Kemble zgodził się znów mnie przyjąć na pełny etat.

- Bardzo się cieszę. - Alice nie była pewna, czy Venetia ma na myśli przyjęcie do teatru, czy jej stosunek do Razeby'ego. - Ale władza nie opiera się tylko na pieniądzach.

Do pewnego stopnia zdaję sobie sprawę, jak wyglądał wasz związek. To było jasne już na samym początku.

- Wydaje ci się, Venetio. - Alice zaśmiała się lekko. - Łączył mnie z Razebym obustronnie korzystny kontrakt i nic więcej. Doskonała zabawa i oczywiście pieniądze, mnóstwo pieniędzy.

- Wydawało mi się, że jest w tym o wiele więcej.

- Jestem dobrą aktorką. Co mogę powiedzieć? Dobrze mnie wyszkoliłaś.

- To prawda - zgodziła się Venetia. - Jesteś bardzo dobrą aktorką. - W tych słowach nie było żadnego drugiego dna i Alice nie miała pojęcia, dlaczego wywołały rumieniec na jej policzkach.

Zegar na kominku tykał w stałym, uspokajającym rytmie. Alice naląła herbaty do cienkich porcelanowych filiżanek, które, podobnie jak meble i wszystko inne, należały do wyposażenia mieszkania. Dodała do filiżanek po kostce cukru i po kilka kropel śmietanki, a potem podała jedną z nich Venetii.

- Wygląda na to, że masz wszystko pod kontrolą, Alice.

- Bo tak jest.

- Jeśli mogę ci w czymkolwiek pomóc...

Przyjaciółka spojrzała na stół, gdzie leżał zwinięty arkusz kremowego papieru, owiązany czerwoną wstążką.

- Owszem, jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić, Venetio, skoro już tu jesteś. Kemble przysłał mi kontrakt. Zamierzałam do ciebie zajrzeć, ale czekałam na spokojniejszą chwilę. - Sięgnęła po dokument i rozłożyła go na stole.

- Wiesz przecież, że możesz do mnie wpaść, kiedy tylko zechcesz. - Obydwie jednak wiedziały, że to nieprawda.

- Venetio, poruszamy się teraz w innych światach. Nie jesteś już aktorką, tylko wicehraminą. Lepiej, żeby mnie nie widziano w twoim domu. W towarzystwie opinia jest wszystkim. Zaczynasz już być akceptowana, radzisz sobie dobrze, a ja nie chcę tego zniszczyć.

- Niczego nie zniszczysz. Jesteś wcieleniem dyskrecji.

- Staram się, jak mogę - zaśmiała się Alice. - Ale szczerze mówiąc, staram się tylko wtedy, gdy chodzi o ciebie.

- Cieszę się, że nie tracisz ducha - uśmiechnęła się Venetia.

- Dlaczego miałabym go tracić? Rzeby należy już do przeszłości. Przede mną leży tylko przyszłość, a ta wygląda dobrze. Zamierzam poświęcić się pracy w teatrze. Traktuję to bardzo poważnie. Trzeba iść naprzód, prawda? - To było kolejne motto jej matki. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić, Alice jednak była bardzo zdeterminowana.

- Tak - zgodziła się Venetia.

Sięgnęła po dokument, zsunęła z niego czerwoną wstążkę i przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w słowa kontraktu.

- Czy wszystko tam jest w porządku?

- Na to wygląda. Masz mocną pozycję, Alice, twój powrót na scenę zagwarantuje pełną widownię. Mogłabyś się domagać od Kemble'a wyższej pensji.

Alice jednak potrząsnęła głową.

- Zadowala mnie to, co mi zaproponował. Po prostu chcę zacząć.

- Jesteś pewna?

- Tak, choć muszę wyznać, że perspektywa grania tylu głównych ról napęnia mnie tremą.

- Doskonale sobie poradzisz. Będziesz świetna, wiem o tym.

- Mam taką nadzieję. - Alice przygryzła usta i jej policzki zaróżowiły się na ten komplement.

- Czy Kemble powiedział ci, jakie spektakle planuje?

- Aż do lata. Dzięki Bogu nie ma tu nic nowego, nic, czego bym nie grała wcześniej.

Venetia napotkała jej spojrzenie.

- Jeśli pojawi się jakaś nowa rola do odczytania, przyjdź do mnie.

- Dobrze - skinęła głową Alice.

Popatrzyły na siebie. Wiązała je nie tylko ta jedna tajemnica, lecz wspólna wrażliwość, przyjaźń i bardzo podobna przeszłość.



Alice wzięła głęboki oddech.

- Podpisz.

Venetia skinęła głową. Odsunęła na bok tacę z kawą, wyjęła z podstawki zwykle czarne pióro, które również należało do wyposażenia domu, i zanurzyła je w kałamarzu, a potem bardzo starannie napisała na dole kontraktu *Alice Sweetly* i rozsypała piasek na mokrym jeszcze podpisie.

- Zrobione.

Obydwie wiedziały, że Venetia nie mówi tylko o podpisaniu kontraktu. Powrót na scenę oznaczał odkreślenie grubą kreską wszystkiego, co wcześniej łączyło ją z Razeby, zakończenie tego rozdziału i początek następnego. Miała szczęście, że mogła to zrobić, a jeszcze większe, że Venetia była jej przyjaciółką. Wiedziała o tym, toteż uśmiechnęła się i podniosła głowę.

- Tak. Dziękuję, Venetio.

- Przyjdę na twój pierwszy spektakl.

- Będę cię wypatrywać na widowni - uśmiechnęła się.

Podeszły do drzwi. Po głowie Alice krążyła pewna myśl. Nie miała ochoty o tym wspominać, ale wiedziała, że gdy Venetia wyjdzie, będzie za późno, a musiała mieć pewność. W ostatniej chwili dotknęła ramienia przyjaciółki i powiedziała cicho:

- Gdyby Razeby pytał, choć zapewne nie zapyta, nie powiesz mu, gdzie teraz mieszkam, prawda?

Venetia popatrzyła jej w oczy z lekkim wahaniem i Alice natychmiast pożałowała tych słów.

- Możesz być pewna, Alice, że niczego mu nie powiem.

Nie było żadnych oskarżeń, zaprzeczeń ani wyznań, tylko atmosfera zrozumienia i pożegnania.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

W gabinecie miejskiego domu Razeby'ego Collins odpowiadał na pytania, które przed chwilą mu zadano.

- Dwie służące, żadnego służącego. Oprócz tego nikt.

- Dziękuję, panie Collins. - Razeby przesunął po lśniącym, mahoniowym blacie biurka schludny stosik banknotów.

Chudy mężczyzna o przenikliwym wzroku wsunął pieniądze do kieszeni, nie licząc ich. Już nie po raz pierwszy strażnik miejski wykonywał dla Razeby'ego niewielkie zlecenie na boku, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa miał to być ostatni raz, pomyślał Razeby z wisielczym humorem.

- Dowiedziałem się tego w jeden dzień, milordzie. - Collins nie skomentował w żaden inny sposób informacji, które właśnie przekazał lordowi, choć zapewne zdawał sobie sprawę z ich znaczenia - był na to wystarczająco bystry i właśnie dlatego Razeby korzystał z jego usług. - Życzę panu dobrego dnia, milordzie. - Skłonił się lekko i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi gabinetu.

Razeby nie poruszył się. Patrzył na drzwi niewidzącym spojrzeniem. Człowiek miał swój obowiązek, swój los i honor. Przed żadną z tych rzeczy nie mógł uciec, choćby najbardziej chciał. Ta świadomość w ostatnich dniach ani na chwilę nie opuszczała go. Kilka tysięcy funtów pokryje jego zobowiązania wobec Alice. Spłaci wszystkie należności i ich rozstanie stanie się ostateczne, a wtedy może uda mu się przestać o niej myśleć i skupić na zadaniu, które go czekało. Musi znaleźć żonę i spłodzić dziedzica.

Opuścił wzrok na biurko i popatrzył na skrawek papieru przyniesiony przez Collinsa. Wpatrywał się weń przez dłuższą chwilę, choć słowa zapisane na papierze zdążyły już mocno wryć mu się w pamięć. W jego życiu nie było miejsca na sentymenty i słabości. Musiał zrobić to, co miał do zrobienia. Wiedział o tym, ale mimo wszystko starannie złożył papier i wsunął do kieszeni kamizelki, a potem zadzwonił po lokaja i wyszedł, by się przygotować na wieczorne przyjęcie.

Od dnia wizyty Venetii Alice bez reszty poświęciła się życiu teatralnemu. Ciężko pracowała, przygotowując się na premierę w Theatre Royal w Covent Garden. Czasu nie było wiele, a stało przed nią wielkie wyzwanie. Wstawiała wcześniej i kładła się późno, zupełnie wyczerpa-

na. Kochała teatr, zapach politory i kurzu, który można było poczuć tylko na wielkiej scenie. Teatr dawał jej cel, na którym mogła się skupić.

Każdy dzień przynosił nowe wyzwania. Przypominała sobie sztuki i role, przebiegała w myślach linijki tekstu, który po raz ostatni słyszała przed rokiem. Wystarczyło bowiem, że usłyszała coś raz, a zapamiętywała to na zawsze. Był to jej wyjątkowy talent, za który czuła szczerą wdzięczność do losu.

Każdy dzień spędzała w teatrze, na próbach w towarzystwie pana Kemble'a i innych aktorów. Obawiała się, że jej umiejętności okażą się nieco zakurzone, ale wszystko wracało do niej z taką łatwością, jakby po raz ostatni grała główną rolę zaledwie wczoraj. Nawet lęk podszyty podnieceniem, jakby spacerowała po ostrzu noża, pomagał jej w skupieniu. Nie miała czasu na rozmyślania o Razeby.

Właśnie wychodziła na poranną próbę, gdy pokojówka przyniosła list.

- Chłopiec właśnie to przyniósł, proszę pani.

Wzięła list ze srebrnej tacy, zastanawiając się, kto go napisał. Tylko Kemble i Venetia znali jej nowy adres. Kemble'a widziała osobiście każdego dnia, a Venetia wiedziała, że nie powinna do niej pisać. Obróciła list w rękach i nie otwierając go, poczuła, kto go przysłał.

- Powiedz mu, żeby zaczekał, Meg.

Gruba pieczęć z czerwonego wosku nosiła herb, który Alice знаła aż zbyt dobrze. Jej puls nienaturalnie przyspieszył. Przełknęła ślinę, rozdarta między pragnieniem, by nie otwierać tego listu, a potrzebą, by się dowiedzieć, co się w nim kryje. Oblizwała usta i złamała pieczęć. W środku był czek podpisany nazwiskiem Razeby'ego, na sumę, której nie potrafiła odczytać, i nic poza tym - tylko znany jej dobrze podpis, śmiało nakreślony czarnym atramentem.

Razeby.

To była odprawa, jaką mężczyźni zwykle wypłacali swoim utrzymankom, duża suma, która pozwalała im przetrwać, dopóki nie znajdą następnego sponsora, albo nawet utrzymać się do końca życia. Alice jednak wiedziała, że w jej życiu nie będzie następnego sponsora i że potrafi utrzymać się sama. Venetia miała rację. Zbyt późno uświadomiła sobie, przed czym ostrzegła ją przyjaciółka.

Opuściła wzrok. Nie widziała nigdy tak dużej sumy na czeku. Zdrowy rozsądek i zmysł praktyczny podpowiadały, że powinna zanieść ten czek do banku jeszcze tego samego dnia i zaoszczędzić tę sumę. Z pieniędzmi należało postępować ostrożnie. Przyszłość nie niosła ze sobą żadnych gwarancji, a życie bez pieniędzy bywało bardzo ciężkie. Któż mógł o tym wie-

dzieć lepiej niż Alice? Ale gdy uświadomiła sobie, co by to oznaczało, nie potrafiła się na to zdobyć.

Złożyła papier, wsunęła czek do środka i rozgrzała woskową pieczęć. Herb Razeby'ego rozpląnął się od ciepła. Po chwili wosk zastygł. List znów był zapieczętowany - tym razem gładką czerwoną kropłą. Zniosła go chłopakowi, który czekał w holu. Poznała go; widywała go wcześniej w domu Razeby'ego przy Leicester Square. On również ją poznał, choć nic nie powiedział. Jeśli nawet znał zawartość listu, w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać.

- Bądź tak miły i zwróć to lordowi Razeby'emu.

- Naturalnie, panno Sweetly. Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość?

- Tylko tę, która jest w środku - uśmiechnęła się.

Chłopak skłonił się i wyszedł. Alice patrzyła za nim. Razeby potrzebował niecałego tygodnia, by ją znaleźć. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy to Venetia podała mu adres, ale w głębi serca była pewna, że przyjaciółka nigdy nie złamałaby danego słowa. Razeby był markizem, człowiekiem obdarzonym władzą, pieniędzmi i kontaktami, którymi widocznie się posługiwał.

Ale mógł sobie zatrzymać swoje pieniądze, powiedziała w duchu. Nie miała zamiaru przyjąć ani pensa.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Razeby sprawdzał wszystkie pozycje w księgach rachunkowych posiadłości. To zadanie pozwalało mu utrzymać umysł z dala od spraw, o których nie chciał myśleć.

Podniósł pióro, by wpisać liczbę do kolumny na dole strony i przekonał się, że kałamarz jest pusty. Otworzył górną szufladę biurka, gdzie znajdowała się pełna butelka, zobaczył tam czek, który dla niej wypisał, i wpatrzył się weń nieruchomym spojrzeniem. Cztery tysiące funtów, dwa razy tyle, na ile opiewał kontrakt, a ona odesłała go, jakby ją obraził. Niektórzy mężczyźni zapewne uznaliby, że jest to sposób na wyciągnięcie jeszcze większej sumy, ale Razeby czuł, że nie w tym rzecz. Było w tym geście coś ostatecznego, raczej zamknięcie niż otwarcie negocjacji, i nie czuł się z tym dobrze. Wolałby, by poprosiła o trzykrotnie wyższą sumę. Wtedy przynajmniej nie musiałby się o nią martwić.

Znów przypomniał sobie kosztowne suknie, które wciąż wisiały w szafie przy Hart Street, biżuterię spoczywającą w kasetce, brylantową bransoletę porzuconą na łóżku i ogarnął go znajomy niepokój, wrażenie, że odrzuca coś wyjątkowego. Stłumił te uczucia, powtarzając sobie, że zrobił wszystko, co było w jego mocy. Musieli wieść życie osobno. Jej decyzje nie były już jego sprawą. Wyjął atrament, odwrócił wzrok od czeku i zamknął szufladę.

Dokończył wpis i zamknął księgi, gdy lokaj zapowiedział wizytę Linwooda.

- Czyżbyśmy umawiali się na przejażdżkę? - zdziwił się Razeby.

Linwood potrząsnął głową.

- Nie dzisiaj. Przyszedłem zapytać, czy wybierasz się po południu do parlamentu.

- Owszem.

- Ma się odbyć debata nad okólnikiem Wellesleya-Pole'a.

- Sprawa irlandzka. - Razeby usłyszał w głowie miękki szept Alice, w którym pobrzmiwał irlandzki akcent.

- Podobno zamierzają zwrócić uwagę na fakt, że nie jesteś w tej sprawie obiektywny.

Z powodu Alice. Linwood nie musiał mówić tego głośno.

- Czy wiedzą, że ona nie jest już moją kochanką?

- Z pewnością tak, ale mimo wszystko użyją tego argumentu przeciwko tobie. Ten temat wzbudza żywe emocje. Lepiej bądź na to przygotowany.

- Dobrze - mruknął Razeby. - Usiądź. Napijesz się brandy?

- Trochę na to za wcześnie.

Było wcześniej, ale Razeby czuł, że przydałaby mu się kropla alkoholu.

- W takim razie kawy?

Linwood skinął głową.

Rozmawiali o koniach i innych nieistotnych sprawach. Dopiero gdy podano im kawę, mocną i gorzką, Razeby nie był w stanie powstrzymać się dłużej i w końcu zadał to pytanie. Usprawiedliwiał się przed sobą, że jest to zupełnie naturalne. Każdy przyzwoity dżentelmen zapytałby o to samo, choć może nie odczuwałby aż tak silnego wewnętrznego przymusu.

- Czy słyszałeś coś o Alice? - zapytał, omijając wzrokiem twarz Linwooda.

- Ma grać lady Makbet w Theatre Royal w Covent Garden. Dziś wieczorem jest premiera - odrzekł Linwood. - Kemble zapowiada ten spektakl jako wielkie wydarzenie. Bilety są już wyprzedane. W całym teatrze nie znajdzie się ani jedno wolne krzesło.

- Czytałem o tym w gazetach. - Razeby urwał na chwilę. - Czy Venetia widziała się z nią?

Linwood spokojnie popijał kawę.

- Sądzę, że tak. Przyjaźnią się, podobnie jak my dwaj.

Cisza, która zapadła, była bardzo wymowna. Razeby zastanawiał się, jak daleko może się posunąć, nie wzbudzając podejrzeń przyjaciela.

- Jak ona się miewa?

- Zdaje się, że całkiem nieźle.

Razeby skinął głową i odchrząknął. Znowu nastąpiła chwila niezręcznego milczenia.

- Gdybyś usłyszał, że czegoś potrzebuje...

- Nie martw się, Razeby - powiedział Linwood cicho. - W takim razie natychmiast dam ci znać.

- Dziękuję ci. - Razeby odetchnął z ulgą.

Ktoś zastukał do drzwi garderoby, którą niegdyś Alice dzieliła z Venetią. Zanim poznała Razeby'ego.

- Za pięć minut kurtyna idzie w górę, panno Sweetly.

- Dziękuję.

To był wieczór premiery, wielki powrót Alice na deski teatru: Dłonie miała wilgotne ze zdenerwowania, żołądek wywijął koziołki na myśl, że za chwilę wyjdzie na scenę i znajdzie się przed pełną widownią. Zawsze się tak czuła, ale było łatwiej, gdy Venetia grała główne role i

Alice nie ściągała na siebie całej uwagi. A potem, gdy od czasu do czasu pojawiała się na scenie, na widowni siedział Razeby. Sama jego obecność, swobodne zachowanie i uśmiech, nieograniczona wiara w nią i to, jak przed spektaklem lekko masował jej wrażliwe miejsce z tyłu głowy, zmniejszało jej napięcie i rozwiewało zdenerwowanie.

Ale tego wieczoru Razeby'ego nie było w teatrze. Siedziała sama w garderobie, patrząc w lustrze na swoją umalowaną twarz, jasno oświetloną płomieniem świec, i powtarzała sobie, że wygląda na silną i zdeterminowaną.

Wzięła głęboki oddech. Poradzi sobie. Wleje w tę rolę wszystkie uczucia, których nie żywiła do Razeby'ego. Strategia była bardzo prosta.

Jeszcze jeden głęboki oddech. Alice podniosła się i wyszła z garderoby na korytarz prowadzący za kulisy.

Panna Sweetly na scenę. Pięć, cztery, trzy, dwa. - Głos odliczał każdy jej krok. - Jeden.

Wyszła na scenę i znalazła się przed pełną widownią. Jej wzrok nieświadomie powędrował w stronę łoża Razeby'ego. Była pusta. Poczowała ulgę i przesunęła spojrzenie na łożę Linwooda. Obok markiza siedziała Venetia. Przyszła tu, tak jak obiecała.

Alice uśmiechnęła się i gdy otworzyła usta, nie była już Alice, lecz lady Makbet.

Na kominku tykał zegar. Promienie słońca wpadające do gabinetu rozszczepiały się w kryształkach kinkietów po obu stronach lustra, rzucając na ściany malutkie tęcze. Gdzieś w głębi domu cicho otwierały się i zamykały drzwi.

Nic z tego jednak nie docierało do Razeby'ego. Stał pochylony nad biurkiem, wpatrując się w leżącą na blacie gazetę, a dokładniej w artykuł o kobiecie, która wróciła na scenę i szturmem podbiła Covent Garden. Londyn padł na kolana z zachwytu. Artykuł wynosił pod niebiosa wczorajszą premierę, w której Alice grała główną rolę. Razeby wędrował wzrokiem w dół za drukowaną kolumną, wchłaniając każde słowo.

*Po rozstaniu z pewnym lordem R. talent aktorski panny Sweetly rozkwitł w pełni i nabrał nowej głębi. Siła emocji i realizm jej gry zahipnotyzowały widownię, która okrzykami domagała się bisów.*

Razeby zawsze zdawał sobie sprawę z rozmiaru jej talentu scenicznego i szczerze cieszył go jej sukces, ale pod radością kryło się cierpienie.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi i kamerdyner wprowadził prawnika.

- Milordzie, przyszedł pan Ernst z firmy Ernst, Spottiswoode and Farmer.

Razeby Jeszcze na chwilę zatrzymał wzrok na wydrukowanych słowach, a potem złożył gazetę i odsunął ją na bok.

- Posłał pan po mnie, lordzie Razeby, żebym przejrzał stan pańskiego majątku i nieruchomości.

Razeby odsunął od siebie myśli o Alice i skupił się na tym, co miał do zrobienia.

- Proszę usiąść, panie Ernst.

Alice zmywała makijaż sceniczny po piątym spektaklu, gdy Sara, również aktorka i kochanka wicehrabiego Fallingham, wsunęła głowę w drzwi.

- Hawick pytał, czy wybierzesz się z nami jutro na spotkanie w Hyde Parku przy promenadzie w porze, kiedy pojawiają się tam wszyscy. Rozmawiałam już z Kemble'em, nie ma nic przeciwko temu. Będę ja i kilka innych aktorek, Hawick, Monteith, Frew, no i oczywiście Fallingham. Nie dlatego, by mi nie ufał - uśmiechnęła się ironicznie.

Kontrakt Alice wymagał, by pokazywała się z elitą towarzyską. Teraz, gdy sztuka była już na afiszu, nie miała żadnego powodu, by unikać takich okazji.

- Nie musisz się o nic martwić, Alice - dodała Sara. - Razeby'ego nie będzie. Sprawdziłam.

Alice poczuła, że krew w jej żyłach zastyga.

- Sprawdziłaś? - powtórzyła cicho.

- Sądziłam, że jeszcze przez jakiś czas nie będziesz miała ochoty go widywać.

To była prawda, ale Alice wiedziała, że nie może tego pozostawić bez komentarza.

- Dlaczego?

- Bo minęło dopiero kilka tygodni, odkąd... - Speszona Sara odwróciła wzrok.

- Odkąd dostałam od niego odprawę - dokończyła Alice z uśmiechem. - Możesz powiedzieć to głośno. Nie mam nic przeciwko temu. - Dobrze wiedziała, że cokolwiek powie Sarze, w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin będzie o tym wiedział cały teatr.

- Myślałam, że ty i on... że to, co was łączyło... że byłaś w nim zadurzona.

Alice obawiała się, że wszyscy tak myślą. Zaśmiała się lekceważąco.

- Nie bądź głupia. To był tylko kontrakt, nic więcej.

- Ale patrzyliście na siebie w taki sposób... Gdyby Fallingham tak na mnie patrzył... - Sara pomachała ręką przed twarzą, jakby na samą myśl policzki zaczynały jej płonąć.



- Dobrze się ze sobą czuliśmy. - Alice wzruszyła ramionami, jakby nie było w tym nic szczególnego. - Ale takie rzeczy nigdy nie trwają długo. - Powtórzyła słowa, które Razeby wypowiedział do niej tamtego wieczoru w sypialni.

- Czy rozstaliście się w przyjaźni? - Sara nie potrafiła powstrzymać ciekawości.

Wydawała się zdziwiona i Alice zaczęła się zastanawiać, co opowiadali o niej plotkarze, zważywszy, że mieli bardzo niewiele faktów, na których mogli się oprzeć.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale owszem, rozstaliśmy się w przyjaźni.

- Sądziłyśmy, że jesteś przygnębiona. Nie widywano cię w mieście.

- Byłam zajęta. Dajcie mi trochę czasu. Od premiery nie minął nawet tydzień.

- No tak - zgodziła się Sara.

- I w żadnym stopniu nie jestem przygnębiona - uśmiechnęła się.

Sara odpowiedziała jej uśmiechem. Wydawała się przekonana.

- To znaczy, że przyjdiesz jutro?

- Z największą przyjemnością.

Drzwi garderoby zamknęły się. Alice wzięła głęboki oddech. Nic by jej nie przyszło z unikania takich okazji. Uniki byłyby równoznaczne z przyznaniem, że rozstanie z Razeby nie było jej obojętne, że czuje się zraniona i że nie jest w stanie przebywać w jego towarzystwie, a zamierzała udowodnić całemu Londynowi, że to nieprawda.

Musiała żyć dalej własnym życiem. A jeśli Razeby znowu pojawi się na jej drodze - trudno, nie sprawi jej to żadnej różnicy.

Panna Pritchard przechadzała się po Hyde Parku u boku Razeby'ego, bez reszty skupiona na innych spacerowiczach, którzy na nich patrzyli. Idąca za nimi w towarzystwie młodszej córki pani Pritchard rozwodziła się szeroko nad zaletami odpowiedniego doboru w małżeństwie i przedstawiała rozbudowane drzewo genealogiczne rodziny.

Pritchardowie byli bogaci i mieli wielostronne powiązania. Byłby to odpowiedni związek dla Razeby'ego, który jednak nie był pewien, czy potrafiłby wytrzymać nieustanne przechwałki pani Pritchard, a także jej młodszej wersji, z którą w dodatku musiałby sypiać. Nie powinno to być trudne dla takiego mężczyzny jak on - sypiał już w życiu z wieloma kobietami - ale na tę myśl pozostawał zupełnie obojętny. Wpatrywał się w zamglony horyzont parku, próbując o tym nie myśleć.

Poprzednim razem był w Hyde Parku z Alice. Nie chciała wtedy skorzystać z powozu i upierała się, by poszli pieszo. Nic jej nie obchodziło, czy ktoś ją zobaczy przy jego ramieniu,

czy nie. Interesowały ją tylko najprostsze rzeczy: światło słońca, świeże powietrze, śpiew ptaków i zielone pączki na drzewach. Skarby dla oczu - tak nazywała naturę, sztukę i wszystko, na co lubiła patrzeć. Gdy brał ją za rękę i widział jej uśmiech...

Westchnął. Jego serce nabrzmiało emocjami.

Poczuł, że dłoń panny Pritchard, oparta na jego ramieniu, sztywnieje. Pani Pritchard wciąż coś mówiła, ale teraz słyszał w jej głosie coraz większą arogancję, poczucie wyższości i niechęć. Dopiero po chwili zauważył, co było powodem tej zmiany. Przed nimi, za zakrętem ścieżki, znajdowała się niewielka grupa mężczyzn i kobiet, którzy korzystali ze świeżego powietrza i z okazji, by pokazać się w parku w porze, gdy pojawiała się tam całe towarzystwo. Ale nie była to byle jaka grupa. Mężczyźni należeli do najwyższych sfer towarzystwa, a wśród kobiet uwagę Razeby'ego przyciągnęła tylko jedna. Była piękna i promienna, zdawała się emanować życiem i radością. Słyszał wesołe rozmowy, śmiech, wyczuwał w atmosferze flirt.

Alice w jasnożółtej spacerowej sukni, kremowym spencerku i rękawiczkach szła u boku Hawicka, słuchając czegoś, co opowiadał książkę. Na głowie miała nasunięty pod zawadiackim kątem mały stylowy kapelusik, którego wcześniej u niej nie widział. Jasnozłote kosmyki wysuwały się z wysoko upiętych włosów i wiły miękko dokoła szyi. Fryzura była świeża i prosta. Razeby wielokrotnie widział, jak Alice zwijała włosy i upinała je jednym ruchem ręki. Lubił je rozpinąć i wsuwać palce w te długie jedwabiste pasma. Potem brał ją w ramiona i całował.

Wydawała się swobodna i pewna siebie, a jednak w jej zachowaniu dostrzegał lekką nieśmiałość, która zawsze go intrygowała. Słuchała Hawicka ze spuszczonym wzrokiem, ale na jej ustach igrał uśmiech. Na jej widok Razeby poczuł emocje, których nie chciał czuć teraz, gdy już było po wszystkim i gdy zdecydował się wypełnić swój obowiązek. Serce zabiło mu mocniej, krew w żyłach przyspieszyła. Miał wrażenie, że tonie.

Obok niego szła panna Pritchard, a z tyłu jej matka i siostra. Uświadomił sobie, co będzie musiał za chwilę zrobić, co musiałby zrobić każdy dżentelmen na jego miejscu, i na tę myśl poczuł zimny dreszcz. Alice była wcześniej jego kochanką. Kobieta, która szła obok niego, mogła się stać jego żoną. Powinność. Wydawało się, że jego serce wybija rytmicznie to słowo. Po-win-ność. Po-win-ność. Po-win-ność.

Odwrócił wzrok od Alice i nieruchomo wpatrzył się w inną stronę, udając, że jej nie widzi. Tego wymagały zasady obowiązujące w towarzystwie. Jakby była zupełnie obca, jakby nie była to kobieta, którą kochał każdej nocy przez ostatnie sześć miesięcy. Dostrzegał ją jednak kątem oka - niewyraźną, kremowożółtą plamę, a obok niej wyższą i ciemniejszą plamę Hawic-

ka. Słyszał szelest jedwabnych spódnic, jej miękki akcent, wyczuwał delikatny zapach perfum i jego serce biło coraz szybciej. Czuł jej obecność tak wyraźnie, jakby patrzył na nią wprost. Odliczał każdy krok, który prowadził go w jej stronę. Wiedział, że muszą się minąć, że jest już zbyt późno, by się cofnąć. Żadne z nich nie mogło tego zrobić.

Zobaczył, że uwaga Alice jest w pełni skupiona na Hawicku, jakby w ogóle nie zauważyła Razeby'ego. Ignorowała go, tak jak on ignorował ją. Powinien się z tego cieszyć, ale zbliżając się w pełnym słońcu do jej grupki, czuł coś zupełnie innego.

Z każdym krokiem była coraz bliżej. Dwa metry. Była tak blisko, że niemal słyszał jej oddech, gdy roześmiała się z żartu Hawicka.

Cztery kroki. Obraz wyostrzył się i nabrał głębi. Żdźbła trawy falowały leniwie w lekkim wietrze. Rzęsy Alice poruszyły się miękko jak skrzydła motyla. Usłyszał odgłos jej oddechu.

Dwa kroki. Poczł bicie jej serca.

Jeden krok.

Razeby zatrzymał spojrzenie na Alice i w tej samej chwili ona również podniosła wzrok. Zdawało się, że czas się zatrzymał. Razeby poczuł się tak, jakby byli w tym parku zupełnie sami. Wspomnienia z ostatnich sześciu miesięcy stanęły przed nim jasno i wyraźnie. W tej chwili istniała dla niego tylko ta kobieta i to, co działo się z nim samym. Miał wrażenie, że tonie w ciemnym błękitcie jej oczu. Nie byłby w stanie odwrócić wzroku, nawet gdyby od tego miała zależeć cała jego przyszłość.

Ale ta chwila szybko minęła i Alice zaczęła się od niego oddalać, razem z Hawickiem i pozostałymi towarzyszami.

Razeby szedł dalej, ani na chwilę nie tracąc rytmu, jakby nic się nie zdarzyło. Nikt niczego nie zauważył, wszystko było takie samo jak wcześniej: palce panny Pritchard nadal spoczywały sztywno na jego ramieniu, pani Pritchard wciąż rozwodziła się nad swoimi przodkami, a jej młodsza córka wtrącała od czasu do czasu przemądrzałe komentarze. Ale Razeby nie był już taki sam. Coś się zdarzyło przed chwilą i siła tego zdarzenia wstrząsnęła nim bardziej, niż chciał przed sobą przyznać. Stało się coś, czego sam nie rozumiał.

Ani jedno słowo z tego, co mówił Hawick, nie docierało do Alice. Słyszała tylko dudnienie własnej krwi w uszach i czuła drżenie całego ciała. Szła przed siebie ze spuszczonego wzrokiem, jakby czuła się onieśmielona przez Hawicka, tymczasem chciała po prostu ukryć burzę emocji, która szalała w jej duszy. Widziała Razeby'ego i jego towarzystwo - bogatą i piękną młodą kobietę, zaborczo uwieszoną u jego ramienia, oraz dwie inne, zapewne jej matkę i sio-

strę, kroczące dumnie z tyłu. Zauważyła ich, ledwie wyszli zza zakrętu, i przygotowała się wewnętrznie na to spotkanie. Wiedziała, że Razeby musi ją zignorować. Ona sama również nie miała wyboru - musiała uczynić to samo. I prawie jej się udało, pomimo szaleńczego bicia serca, pomimo wrażenia, że brakuje jej powietrza w płucach, pomimo ucisku w piersi - gdyby nie ta ostatnia chwila, gdy wydawało jej się, że Razeby szepnął jej imię. Odgłos jego oddechu wzbudził w niej dreszcz. Zareagowała bez zastanowienia, instynktownie odpowiedziała na to wezwanie. Podniosła wzrok i zobaczyła utkwione w nią ciepłe, brązowe oczy, wpatrzone równie intensywnie jak zawsze; jakby to, co istniało między nimi, nie było wcale zakończone, lecz jeszcze przybrało na sile.

Serce wciąż biło jej jak szalone. Hawick przysunął się odrobinę bliżej.

- Czy mogę liczyć na pani obecność, panno Sweetly?

Wzięła się w garść, próbując opanować wstrząs. Gdy podniosła wzrok na twarz Hawicka, była już zupełnie opanowana. Uśmiechnęła się do niego, choć nie miała pojęcia, czego dotyczy zaproszenie.

- O ile będę akurat wolna. Muszę sprawdzić w terminarzu - odrzekła jak absolutna profesjonalistka.

Venetia, jej nauczycielka, byłaby z niej dumna.

Hawick również się uśmiechnął. W jego oczach pojawił się wyraz zainteresowania, który sprawił, że Alice ogarnął chłód, choć wiosenne słońce świeciło jasno. Ukryła to uczucie, podobnie jak wszystkie pozostałe.

Szli dalej przez park. Hawick znów zaczął coś opowiadać, ale Alice nie słuchała. Myślała o Razeby i o tym, dlaczego tak się poczuła, gdy zobaczyła go po raz pierwszy od rozstania.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tej nocy Razeby śnił o Alice. Wszystko było tak jak wcześniej.

- Razeby - szepnęła z miękkim celtyckim akcentem. Pogładził jej palce oparte na jego policzku. - Razeby.

- Alice - odszepnął poprzez mrok. - Alice - powtórzył i przycisnął ją do siebie, szczęśliwy, że go odnalazła, że ocaliła go przed tą okropną rzeczą, która miała nadejść, choć we śnie nie mógł sobie przypomnieć, co mu groziło.

Poranne słońce zaświeciło mu w oczy. Obudził się i wrócił do rzeczywistości. Całe ciało miał napięte, a Alice nie było w jego ramionach. Podniecenie natychmiast opadło, szczęście i spokój ze snu uleciały w zderzeniu z twardą, zimną rzeczywistością. Był sam i wiedział, że to okropne, mroczne zagrożenie jest coraz bliżej.

Słońce wychodziło nieśmiało zza szarej chmury i wślizgiwało się do sypialni przez szparę między zasłonami. Odrzucił kołdrę i usiadł na brzegu łóżka. Zimne powietrze owiało jego nagą skórę. Chłód pomógł mu odpędzić myśli o Alice i ostatnie echa snu.

Zegar wydzwonił dziewiątą. Do drzwi zastukał lokaj, a za nim nadeszła pokojówka z dzbankiem gorącej wody oraz sekretarz z terminarzem. Razeby wiedział, że dzień ma wypełniony różnymi spotkaniami. Odsunął od siebie wspomnienia snu, tak jak wcześniej odsunął to, co zdarzyło się poprzedniego dnia w Hyde Parku - poczucie winy, pożądanie, pragnienie - cokolwiek to było. Nie potrafił, a może nie chciał tego inaczej nazwać.

Tylko nie panna Pritchard, pomyślał. Ale tego wieczoru zaproszony był na kolację do pani Padstow. Miało tam być obecnych dwadzieścia młodych i przyzwoitych kobiet z szanowanych rodzin. Następnego popołudnia wybierał się na piknik dla debiutantek zorganizowany przez lady Jersey, a potem czekał go bal u Almacka i następny u lady Routledge. Był pewien, że na którymś z tych spotkań znajdzie żonę.

Przeciągnął dłonią po włosach, wziął głęboki oddech i przygotował się na spotkanie z nadchodzącym dniem.

Tego wieczoru Alice zeszła ze sceny przy hucznym aplauzie. Trzykrotnie wywoływano ją przed kurtynę i widownia wciąż gwizdała, domagając się więcej. Kwiaty, które jej przysłano, ledwie mieściły się w garderobie i powietrze było przesycone ich zapachem. Były tu róże, lilie i rozmaite inne gatunki, których nie знаła. Do każdego bukietu dołączony był list lub bilecik zapieczętowany czerwonym woskiem, w którym odcisnięto herb lub monogram nadawcy. Prze-

biegła je wzrokiem, szukając jednej konkretnej pieczęci. Nie potrafiła się przed tym powstrzymać. Od poprzedniego dnia, gdy spotkała go w Hyde Parku, przez cały czas o nim myślała, choć nie miała pojęcia dlaczego.

Zdała sobie sprawę z tego, co robi, westchnęła ze znużeniem, odwróciła wzrok od kwiatów i zajęła się ścieraniem makijażu, a potem przebrała się w rdzawą wieczorową jedwabną suknię, która wisiała na parawanie.

Ktoś zastukał do drzwi garderoby i usłyszała głos pomocnika teatralnego.

- Za pięć minut proszę się pojawić w Zielonym Pokoju, panno Sweetly. Pan Kemble prosił, by pani przekazać, że mają się dzisiaj pojawić książę Hawick i książę Monteith.

- Dobrze, Billy. Zaraz będę. - Zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Bez grubej warstwy pudru na twarzy wydawała się blada. Znów pomyślała o tej chwili w Hyde Parku.

- Nie bądź głupia, Alice Flannigan, tylko ci się wydaje - szepnęła do siebie, używając swojego rodzowego nazwiska, a nie scenicznego pseudonimu. - Uśmiechnij się i przejdź przez to, dziewczyno. Życie nie stoi w miejscu. Jeśli masz szczęście, idziesz dalej. On nie jest tego wart. - Wtarła w policzki odrobinę różu i wsunęła niesforny kosmyk włosów na miejsce, a potem wzięła głęboki oddech, uniosła głowę i z szerokim uśmiechem poszła zabawiać dżentelmenów w Zielonym Pokoju tak, jak tego wymagał jej kontrakt.

- Razeby! - wykrzyknął wicehrabia Bullford, podchodząc do Razeby'ego, który napełniał talerz przekąskami na pikniku debiutantek. - Tak myślałem, że ciotka Harriet namówi cię do przyjścia tutaj.

Markiz skinął mu głową. Pogoda wciąż była ładna i świeciło słońce, choć wiosenny dzień nie należał do ciepłych. Drzewa w tym zakątku parku dawały nieco ochrony przed wiatrem, jednak wstążki przy kapeluszach i muślinowe spódnice dam lekko trzepotały. Bullford zdjął z półmiska idealnie ukształtowany pasztecik.

- Ja też nie byłem w stanie się wykręcić. Ojciec uparł się, żebym przyprowadził ze sobą znajomych. Chyba mieli za dużo dam, a za mało mężczyzn.

Razeby ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Udało ci się kogoś przekonać?

- To nie było łatwe, mówię ci, stary. - Na samą myśl o wysiłkach, jakich to wymagało, Bullford głęboko westchnął. - Zrewanżowanie się za te przysługi zajmie mi całe lata.

Razeby uśmiechnął się. Zbliżyło się do nich kilku mężczyzn: Fallingham, Devlin, Monteith i inni, wszyscy z kieliszkami szampana w rękach.

- Jak idą poszukiwania żony, Razeby? - zapytał Devlin.

Markiz natychmiast zeszywniał.

- Nie najgorzej.

- Znalazłeś już jakąś? - dopytywał się Fallingham.

- Jeszcze nie. - Twarz Razeby'ego pozostawała obojętna.

- Ostatnio wydajesz się jakiś nieswój - zauważył Monteith.

Razeby uśmiechnął się na tę ironiczną uwagę.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak sądzisz.

- Utrata wolności, ślub, żona, pokoje dzieciinne - wzdrygnął się Devlin.

Pozostali wybuchnęli śmiechem.

- Chyba nie żałujesz, że zrezygnowałeś z usług uroczej panny Sweetly? - dodał Monteith.

Sięgnął po butelkę szampana z tacy przechodzącego obok lokaja i napełnił wszystkie kieliszki. Słowa, wypowiedziane nonszalanckim tonem, dotknęły żywego nerwu w duszy Razeby'ego. Z trudem powstrzymał się, by nie syknąć i nie zacisnąć zębów.

- Absolutnie nie - odrzekł gładko, wytrzymując spojrzenie Monteitha.

- Nie rozumiem dlaczego - prychnął tamten. - Wszyscy uważają, że oszalałeś, pozbywając się klejnotu, do którego wzdycha cały Londyn.

Razeby musiał użyć całej siły woli, by nie zacisnąć zębów i nie zwinąć dłoni w pięści.

- Mogłeś ją zatrzymać - dodał Devlin. - Ja bym tak zrobił na twoim miejscu.

- Każdy z nas by tak zrobił - dodał Monteith.

- Ale ja nie jestem tobą. - A Alice zasługiwała na kogoś znacznie lepszego.

- Właściwie dlaczego jej nie zatrzymałeś? - zapytał Fallingham, odsuwając kieliszek od ust.

Pozostali patrzyli na Razeby'ego z wyczekiwaniem i spekulacją w oczach.

- Naprawdę musicie o to pytać? - mruknął, próbując uniknąć bezpośredniej odpowiedzi.

- Powinieneś znowu ją ściągnąć do swojego łóżka - wzruszył ramionami Fallingham.

Razeby zazgrzytał zębami.

- Powiniennem znaleźć sobie żonę.

- Jedno nie wyklucza drugiego - zauważył Monteith.

- Dla mnie tak - odparł Razeby bez cienia zwykłej uprzejmości.

Uśmiechnął się, ale jego wzrok pozostał twardy. Zauważył spojrzenia, które przyjaciele wymienili między sobą, ale nic go to nie obchodziło.

Niezręczną chwilę przerwała matka Bullforda, lady Willaston, która podeszła do mężczyzn.

- Wybaczcie mi, panowie, że przeszkadzam wam w pogawędce, ale lordzie Razeby, panna Frome za chwilę zasłabnie z wyczerpania, jeśli będzie musiała dłużej czekać na talerz z jedzeniem, który obiecał jej pan przynieść już jakiś czas temu.

- Najpokorniej przepraszam. - Razeby skinął głową. - Wybaczcie mi, panowie. - Sięgnął na stół po talerz i ruszył w stronę panny Frome.

W dzień po pikniku debiutantek Alice przyjmowała gości w niewielkiej bawialni swojego nowego mieszkania. Ellen i Tilly były jej dawnymi przyjaciółkami. Pracowały jako Miss Vert i Miss Rose w miejscu, które plamiło przeszłość Alice, w osławionym przybytku rozkoszy dla dżentelmenów z towarzystwa - w Domu Tęczowych Uciech pani Silver, gdzie każda z kurtyzan ubrana była w inny kolor, a wszystkie ukrywały swoją tożsamość pod weneckimi maskami.

- Nieźle stanęłaś na nogi, Alice - powiedziała Tilly, rozglądając się po pomieszczeniu utrzymanym w ciepłej, żółtej tonacji. Popatrzyła na złożone kryształowe kandelabry i lustra. - Razeby musiał ci zostawić niezłą odprawę.

Alice z uśmiechem postawiła przed nimi herbatę.

- Oczywiście, że tak.

- Ile ci się udało od niego wyciągnąć? Mam nadzieję, że sporą sumkę i do tego jeszcze ładną biżuterię - powiedziała Ellen.

Alice pomyślała o diamentowej bransoletce i znów poczuła chłód.

- Nie mogę o tym mówić - odrzekła z uśmiechem.

Nie mogła powiedzieć im prawdy. Wszyscy wiedzieli, jak wyglądają tego rodzaju układy. Powinna wycisnąć z niego jak najwięcej. Każda kochanka robiła to samo ze swoim protektorem.

- Czy dopilnowałaś, żeby wypełnił warunki kontraktu? - zapytała Ellen.

- Naturalnie. - Alice jednak nie miała pojęcia, co zawierał kontrakt spisany między nią a Razebym.

Nigdy nie otworzyła dokumentu; wciąż leżał, związany zieloną wstążką, w szufladzie biurka przy Hart Street. Pamiętała dzień, gdy Razeby przyniósł jej ten kontrakt. Nie chciała go przyjąć, dopóki nie zmienił czerwonej wstążki, jaką zwykle przewiązywano tego rodzaju do-



kumenty, na inną. Natychmiast więc posłał po zieloną wstążkę i osobiście, na jej oczach, owiązał dokument.

- Nie pozwól, żeby ten łajdak się z tego wykpił - ostrzegła ją Ellen.

Razeby jednak nie próbował się z niczego wykpić - wręcz przeciwnie - ale jego hojność zwiększała tylko gniew Alice.

- Bez obaw! Mam dobrą głowę do interesów - stwierdziła z jeszcze szerszym uśmiechem, myśląc o pieniądzach, które Razeby jej dawał, gdy jeszcze byli razem. Tylko niewielką ich część wydała na przyjemności i błahostki. Sporą sumę wysyłała regularnie matce w Irlandii, resztę zaoszczędziła.

- I masz głowę na karku, gdy chodzi o mężczyzn - uśmiechnęła się Tilly. - Dobrze sobie poradziłaś z Razeby.

- Owszem - przyznała Alice, tłumiąc dziwny niepokój, który ogarnął ją przy tych słowach.

- Jesteś bystrą dziewczyną. - Tilly przelała nieco herbaty z filiżanki na spodek i piła ją wytwornie, jak prawdziwa dama.

- Nie da się ukryć - odrzekła Alice tonem, od którego wszystkie wybuchnęły śmiechem.

- Dziękuję, panie Brompton. Wrócimy do tej rozmowy później, po pańskim powrocie. - Razeby odesłał swojego ochmistrza i zwrócił się do Linwooda, który stał przy kominku i patrzył na portret jego ojca wiszący na ścianie.

- Mogłem przyjść innym razem, gdy nie będziesz zajęty - powiedział Linwood. - Nie wiedziałem, że wezwałeś do siebie Bromptona z rodzinnej posiadłości.

- Trzeba w końcu uporządkować wszystkie sprawy... - Razeby odwrócił wzrok i po chwili dokończył: - ...przed ślubem. - W ciszy, która zapadła, słychać było tylko tykanie zegara.

- Jesteś jakiś nieswój, Razeby.

- Perspektywa wejścia w pułapkę tak robi z mężczyznami - odrzekł lekko. - Sam powinienś o tym wiedzieć.

Napotkał spojrzenie Linwooda. W ciemnych oczach tamtego nie było ani odrobiny humoru.

- Nic o tym nie wiem - odrzekł. - Ale ty, zdaje się, wiesz wszystko z góry.

Razeby odwrócił się i nalał im obydwu brandy.

- Nie w tym rzecz. To coś innego. Coś się w tobie zmieniło - powiedział Linwood, nie spuszczać z niego przenikliwego spojrzenia.

Markiz wybuchnął śmiechem i odwrócił twarz.

- Na starość stajesz się poetą i uciekasz w krainę fantazji, Linwood. Czyżbyś ostatnio przebywał w towarzystwie Byrona?

- Nie - odrzekł Linwood rzeczowo i znów zapadła cisza.

Razeby wzruszył ramionami, ale nie próbował więcej zaprzeczać.

- Może już czas na zmianę. Prędzej czy później mężczyzna musi stanąć twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem.

- Owszem, ale to nie musi tak wyglądać.

- Wierz mi, że musi - westchnął Razeby i uśmiechnął się ponuro.

- Krążą plotki o tobie i Hart Street.

- Zawsze krążą jakieś plotki - odrzekł krótko, nie chcąc roztrząsać tego tematu.

- A Alice?

- Już ci mówiłem, że z Alice wszystko skończone. - Jego głos brzmiał szorstko i obronnie. Linwood wiedział, że nie powinien dłużej naciskać.

W drodze do Zielonego Pokoju Alice zajrzała do garderoby, którą Sara dzieliła z dwiema innymi aktorkami.

- Och, Alice, jeszcze nie jestem gotowa. Nie mogę dać sobie rady z włosami. Przez tę przeklętą perukę zniszczyły mi się wszystkie loki. Popatrz tylko, jak to wygląda - jęknęła Sara.

- Zostaw to tak, jak jest - poradziła jedna z jej koleżanek - bo wszystkie się spóźnimy i wtedy Kemble będzie miał nam coś do powiedzenia.

- Idźcie pierwsze, żeby Kemble był zadowolony. Ja pomogę Sarze ułożyć włosy - zaproponowała Alice.

Dziewczyny wybiegły z garderoby, a Alice rozsunęła szeroko łokcie, oparła dłonie na biodrach i spojrzała na siedzącą przed lustrem Sarę. Po trzech godzinach noszenia ciężkiej peruki jej włosy były zupełnie proste.

- Masz szczęście, że mam dobrą rękę do włosów, które nie chcą się wić. Popatrz tylko. - Zgarnęła włosy Sary w koński ogon, skręciła je, szybko obróciła dłoń i przypięła węzeł trzema szpilkami.

- Alice, jesteś cudowna!

- Owszem. - Uśmiechnęła się Alice i podeszła do drzwi. - A teraz chodź, dziewczyno.

- Zanim pójdziemy... - Sara położyła dłoń na jej ramieniu. - Ten wieczór u Drydena, o którym mówiłam ci w zeszłym tygodniu...

- Chyba nie został odwołany?

- Nie. - Sara pokręciła głową z uśmiechem, ale w jej oczach pojawił się niepokój. - Tylko że... rozmawiałam o tym wczoraj wieczorem z Fallinghamem. Zdaje się, że zaprosił Razeby'ego.

Razeby. Na sam dźwięk tego nazwiska serce Alice przestało na chwilę bić. Sara spojrzała na nią przepaszająco.

- Przykro mi.

- Dlaczego jest ci przykro? - uśmiechnęła się Alice. - Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia, czy Razeby tam będzie, czy nie. Mówiłam ci już, że rozstaliśmy się w przyjaźni.

- Naprawdę?

- Naprawdę - zapewniła ją Alice.

- Mam nadzieję, bo jeśli nie, to powstanie krępująca sytuacja.

- Nie musisz się o to martwić. Mówię zupełnie szczerze - odrzekła z absolutną pewnością w głosie, w pełni wykorzystując swoje talenty aktorskie.

Sara uśmiechnęła się z ulgą.

- Chodź już. - Alice wsunęła dłoń pod jej ramię. - Kemble będzie się zastanawiał, gdzie jesteśmy. Musisz go zachwycić swoją nową fryzurą.

Zachichotały i obydwie poszły w stronę Zielonego Pokoju, gdzie miały olśniewać, błyszczyć, flirtować i czarować. Alice jednak nawet na chwilę nie potrafiła zapomnieć, że następnego dnia będzie musiała spędzić wieczór na grach w towarzystwie Razeby'ego.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Pałac Gier Drydena kipiał życiem. Był to luksusowy budynek konkurujący z Watierem i miejscami na każdy gust i każdą kieszeń. Mówiono, że w kandelabrze w największej sali pośród szklanych kryształków wiszą prawdziwe diamenty. Można tu było wejść tylko na zaproszenie, a stawki należały do najwyższych w Londynie.

Sala była przestronna, o ścianach pokrytych śliwkową tapetą ze wzorem z prawdziwego złota. Czarno-złotą posadzkę wyłożono włoskim marmurem. Rolety na oknach miały te same barwy. Nie było tu męskiej służby; napoje przynosiły dżentelmenom piękne dziewczyny w liberii. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się kontuar, gdzie bez względu na porę dnia można tu było zamówić wszelkiego rodzaju napoje, a po przeciwnej stronie znajdował się olbrzymi komin z czarnego marmuru. Ściany obwieszono kosztownymi dziełami sztuki przedstawiającymi kobiety o rubensowskich kształtach i przedziwne egzotyczne pejzaże. Nie było tu jednak ani jednego zegara.

Pośrodku sali biła fontanna wypełniona szampanem. Napełniano w niej kieliszki, które następnie roznoszono gościom. W jednym kącie stał stół do gry w fardo, w drugim kasyno, a pomiędzy nimi stoliki do blackjacka, pikiety i gry w kości. W najdalszym kącie stał stół do wista przygotowany dla starszych dżentelmenów i nielicznych dam, które odważały się przekroczyć progi tego przybytku. Kobiety z półświatka to była zupełnie inna historia.

Alice i Sara patrzyły na mężczyzn siedzących przy stoliku do blackjacka. Razeby'ego nie było. Alice poczuła dziwną mieszankę ulgi i rozczarowania.

- Czy panie będą dzisiaj grały? - zapytał Monteith.

- Ja mam tylko przynosić szczęście - odrzekła Sara.

Stała tuż za krzesłem, na którym siedział Fallingham, i intymnym gestem oparła się na jego ramieniu. Wicehrabia podniósł jej dłoń do ust i ucałował. Ten publiczny wyraz uczucia natychmiast przywiódł Alice na myśl Razeby'ego. Poczula się nieswojo i uśmiech zastygł na jej ustach.

- Mam przecucie, panowie, że szczęście mnie dziś nie opuści bez względu na to, co wydarzy się przy tym stoliku - rzekł Fallingham żartobliwie.

Sara uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Monteith i kilku pozostałych popatrzyli na nich znacząco. Alice odwróciła wzrok.

- A pani, panno Sweetly? - Monteith uniósł brwi. - Który z nas okaże się takim szczęściarzem, by zyskać pani wsparcie w grze? - W jego oczach, podobnie jak w oczach Frew i kilku innych, odbijało się zainteresowanie i nadzieja. Alice wiedziała, jakie są konsekwencje kibicowania dżentelmenowi w grze, i nie zamierzała tego robić, choć bardzo pragnęła udowodnić, że Razeby nic już dla niej nie znaczy. Flirt to co innego - podniecająca iluzja, ale tylko iluzja. Nie mogła jednak pozwolić, by którykolwiek z nich rzeczywiście jej dotknął.

- Och, ja przynoszę szczęście sobie samej - odrzekła gładko. - Będę dzisiaj grała, wasza wysokość.

Zauważyła poruszenie i podniecenie przy stoliku. Ten pomysł najwyraźniej spodobał się panom. Monteith uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Czy chce pani, żeby któryś z nas odświeżył pani pamięć i przypomniał zasady? - zapytał delikatnie. Wiedziała, co miał na myśli: sugerował, że nie ma pojęcia, jak się gra w karty.

- Nie, wasza wysokość, dziękuję. Wydaje mi się, że znam zasady.

Panowie uśmiechnęli się do niej z pobłażaniem, ale Alice rzeczywiście doskonale znała grę. Razeby nauczył ją, jak zwiększać swoje szanse wygranej w blackjacka. Trzeba było liczyć i zapamiętywać karty. Często w to grali, nie na pieniądze, ale na fanty, zrzucając kolejne części garderoby. Zawsze powtarzał, że dzięki doskonałej pamięci Alice ma naturalny talent do tej gry. Po raz ostatni grali zaledwie przed trzema tygodniami. Skończyło się to tak, że kochali się na stole w jadalni na porzrzucanych kartach. Na to wspomnienie serce na moment przestało jej bić, a policzki okryły się rumieńcem.

Odepchnęła od siebie wspomnienia i usiadła obok Fallinghama. Krupier w czarno-złotej liberii siedział po drugiej stronie stolika, mając po obu stronach puste miejsca. Jedno z nich nie byłoby puste, gdyby Razeby się pojawił. Alice poczuła lekką irytację z powodu jego nieobecności. Chciała, by przekonał się naocznie, jak niewiele ją obchodzi.

- Podczas gry obowiązują wszystkie zasady tego domu. Czy jesteście gotowi, by zacząć, panowie oraz pani, panno Sweetly? - Krupier uśmiechnął się do niej uprzejmie. Wszyscy pokiwali głowami. - W takim razie zaczynamy.

Alice nie spuszczała oczu z jego dłoni. Rozdał wszystkim po jednej karcie, kończąc na sobie, a potem jeszcze po jednej.

- Mam nadzieję, panowie, że się nie spóźniłem?

Na dźwięk gładkiego, aksamitnego głosu przeszył ją dreszcz. Znała ten głos aż zbyt dobrze. Serce na chwilę przestało jej bić, po czym znów ruszyło w przyspieszonym tempie. Do-

piero po chwili podniosła na niego wzrok i w tej samej chwili on spojrzał na nią. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy i poczuli przyjemny dreszczyk napięcia. Zaraz jednak Razeby skłonił się gładko.

- Panno Sweetly.

- Lordzie Razeby - odrzekła uprzejmie, jak gdyby nigdy nic.

Wszystkie oczy przy stoliku utkwione były nie w kartach, lecz w nich dwojgu. Alice jednak była doskonałą aktorką. Odetchnęła głęboko, uspokoiła się i zdobyła na uśmiech.

- Panna Sweetly zdecydowała się dziś zagrać - rzekł Monteith niepotrzebnie, przekazując subtelną wiadomość, jakby sądził, że Alice jej nie zrozumie.

Oczy Alice i Razeby'ego znów się spotkały. Przypomniała sobie, po co tu przyszła, i rzuciła mu uśmiech, który tylko on był w stanie właściwie odczytać.

Znał ją dobrze i przyjął wyzwanie, siadając na krześle naprzeciwko niej.

- Mam nadzieję, że przyszedł pan tu z dobrze wypchanymi kieszeniami, lordzie Razeby - powiedziała.

Wszyscy mężczyźni wybuchnęli śmiechem, Razeby jednak zrozumiał jej uwagę.

- Nie jestem pewien, czy są wystarczająco wypchane - odpowiedział. - Może powinniśmy obniżyć stawkę ze względu na pannę Sweetly.

Mężczyźni przy stoliku zrozumieli go opacznie i wyrazili zgodę, sądząc, że chodzi o to, by Alice nie musiała rezygnować z gry po kilku pierwszych rozdaniach.

- Boi się pan? - Uniosła brwi i wytrzymała jego spojrzenie.

- Niepokoję się jedynie o panią, panno Sweetly.

Uśmiechnęła się ze szczerym rozbawieniem i dopiero teraz odwróciła. Położyła żeton na zielonym suknie. Bullford spojrzał na stawkę i pochylił się do niej z wyraźnym niepokojem.

- Panno Sweetly, czy pani już kiedyś w to grała?

- Raz czy dwa. Przyznaję jednak, że zwykle nie grywałam na pieniądze - odrzekła lekkim tonem, nie mogąc się oprzeć, by nie rzucić przelotnego spojrzenia w stronę Razeby'ego.

Wpatrywał się w nią intensywnym wzrokiem. Zapewne on również przypominał sobie te chwile, kiedy grali nie na pieniądze.

Bullford ściszył nieco głos.

- Gdy chodzi o blackjacka, Razeby ma opinię rekina. Może nie wspominał pani o tym.

Uśmiechnęła się do niego zalotnie, świadoma, że Razeby na nich patrzy.

- Dziękuję za ostrzeżenie, milordzie - szepnęła konspiracyjnie, pochylając się w jego stronę. Podniosła wzrok na Razeby'ego i dodała: - Podobno cieszy się pan dobrą reputacją w tej grze.

- Niczego takiego nie twierdzę - odrzekł cicho.

Zachowywał się bardzo spokojnie, ale spojrzenie miał bystre i przenikliwe,

- Jeśli nie ma pan ochoty grać, lordzie Razeby... - Tymi samymi słowami prowokowała go setki razy wcześniej.

- Mam ochotę zagrać, panno Sweetly. - Jego oczy nieco pociemniały.

On również użył tych samych słów co zawsze. Miała wrażenie, że odgrywają sztukę, której tekst znany jest tylko im obojgu. Napięcie między nimi narastało. Spojrzenie Razeby'ego pobiegło w stronę krupiera.

- Proszę rozdać.

Dostał dwie karty i jeszcze raz spojrział Alice w oczy.

- Mam nadzieję, panno Sweetly, że pani wie, co robi.

- Wiem doskonale, lordzie Razeby - odrzekła łagodnie. - Nie musi się pan o mnie martwić.

- W takim razie grajmy!

Odpowiedziała mu szczerym uśmiechem.

Po piętnastu rozdaniach w grze pozostały tylko cztery osoby: Monteith, Devlin, Razeby i Alice. Sterta żetonów leżąca przed Alice była odrobinę wyższa niż ta, która leżała przed Razeby'm. Otaczał ich zwarty tłumek graczy, którzy odeszli od innych stolików, by popatrzeć.

Krupier rozdał karty po raz szesnasty. Alice, choć przez cały czas śmiała się, żartowała i udawała szampański nastrój, obserwowała karty bardzo uważnie. Pamiętała, kto co dostał, co wyszło już z talii, a co jeszcze w niej pozostało. Nie sprawiało jej to żadnej trudności, potrafiła bowiem zapamiętać kolejność trzech talii jednocześnie.

Razeby obrócił w palcach żeton.

- Pięćdziesiąt funtów. - Położył na środku stolika stosik złożony z dziesięciu żetonów. Alice przełknęła, zdumiona wysokością stawki.

Monteith popatrzył na trzy żetony, które jeszcze mu pozostały, i potrząsnął głową.

- Dla mnie za wysoko. Pasuję.

Wszystkie oczy zatrzymały się na Alice. Zachowała spokój. Odchyliła się na oparcie krzesła i napotkała spojrzenie ciepłych, brązowych oczu Razeby'ego.

- Pięćdziesiąt funtów - uśmiechnęła się i odliczyła dziesięć żetonów ze swojej kupki.

- Nie przestraszyłeś jej, Razeby - zaśmiał się Monteith.

Alice nie pozwalała sobie myśleć o sumach, na jakie grali. Te pieniądze wystarczyłyby biedakowi na całe życie. Gdyby jej matka wiedziała, ile pieniędzy można stracić przy takim stoliku! Odsunęła jednak tę myśl od siebie i skupiła się. Pieniądze czy ubrania, wszystko sprowadzało się do tego samego: trzeba było po prostu zachować spokój.

Razeby nawet nie mrugnął powieką. Jego twarz pozostawała zupełnie obojętna, błąkał się po niej tylko cień uśmiechu.

Devlin wyrównał stawkę. Odkryli karty. Devlin stracił swoje żetony i musiał wycofać się z gry. Przy siedemnastym rozdaniu w grze pozostała tylko Alice, Razeby i krupier. Znów dostali po dwie karty. Tym razem to Alice wyznaczała wysokość stawki. Napotkała spojrzenie Razeby'ego i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Każde z nich znało mocne i słabe punkty drugiego. Była to próba nerwów.

*Nigdy nie okazuj, jak bardzo cię zranili. Uśmiechnęła się, gdy te słowa znów zabrzmiały w jej głowie. Cierpienie może cię tylko wzmocnić.* Wytrzymała jego spojrzenie równie śmiało jak tamtego pierwszego wieczoru w Zielonym Pokoju, zanim zaczęła należeć do niego, a on do niej.

- Dwieście funtów - powiedziała i przesunęła wszystkie swoje żetony na środek stołu.

Przez tłumek przebiegł szmer zdumienia.

- Boże drogi! - wymamrotał Fallingham. Bullford wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło.

W całej sali panowało napięcie. Wszyscy czekali na to, co zdarzy się za chwilę, i patrzyli na Razeby'ego. On zaś znów spojrzał jej w oczy.

- Jak sobie pani życzy, panno Sweetly - mruknął i przesunął na środek stołu wszystkie swoje żetony.

Nikt się nie odezwał. Nie było słyhać nawet brzęku szkła. Dziewczęta roznoszące szampana zatrzymały się w miejscu, patrząc na to, co się dzieje. Ciszę przerwał głos krupiera.

- Lordzie Razeby?

Razeby spojrzał na swoje karty.

- Zostaję - rzekł z uśmiechem.

- Panno Sweetly?

Alice sięgnęła po swoje karty.



- Dobieram.

Krupier dał jej trzecią kartę.

- Dobieram jeszcze raz.

Dostała czwartą kartę.

- I jeszcze raz, jeśli pan pozwoli, sir.

Szmer dokoła nich stał się głośniejszy. Krupier spojrział na Razeby'ego.

- Lordzie Razeby, proszę pokazać karty.

Wszystkie szyje wyciągnęły się do przodu. Razeby wyłożył karty na stół.

- Królowa kier, król kier. Dwadzieścia - oznajmił krupier.

Alice dostrzegła w tym układzie kart ironię i zastanawiała się, czy Razeby również to zauważył. Jego spojrzenie było tak wieloznaczne, że nie mogła być tego pewna.

- Panno Sweetly, proszę pokazać karty.

Wszyscy patrzyli z napięciem, gdy Alice wykladała na zielone sukno pięć kart: asa kier, dwójkę kier, trójkę pik, pięć karo i królową karo.

- Trik z pięciu kart - oznajmił krupier.

Dokoła nich rozległ się gwar podnieconych głosów, a potem zapadło milczenie, gdy krupier odwracał własne karty: dziesiątkę i siódmkę. Dołożył jeszcze jedną z talii: była to szóstka trefl.

- Fura. - Zgarnął karty jednym gładkim ruchem ręki. - Panna Sweetly wygrała.

- Gratulacje, panno Sweetly. - Razeby, wielkoduszny w porażce, zatrzymał na niej ciemne spojrzenie.

- Dziękuję, lordzie Razeby - odrzekła niewinnie.

- Alice, nie mogę uwierzyć w twoje szczęście! - wykrzyknęła Sara, ściskając ją. Mężczyźni z entuzjazmem stłoczyli się dokoła.

- Coś takiego, panno Sweetly! - promieniał Bullford.

- Gratuluję, panno Sweetly. - Devlin potrząsał jej dłonią.

- Dobra robota. - Teraz przyszła kolej na Frew. - Miała pani dobrą passę. Prawie jak Razeby.

Uśmiechnęła się. Markiz wiedział równie dobrze jak ona, że aby wygrać w blackjacka, samo szczęście nie wystarczy.

- Wydaje mi się, że musiała pani grywać w tę grę dość często, panno Sweetly - rzekł Hawick przy jej ramieniu.

- Możliwe - przyznała i jej wzrok znów na ułamek sekundy zatrzymał się na Rzebym. -  
Ale jeszcze nigdy nie grałam publicznie.

- Musimy kiedyś zagrać razem - zaproponował Hawick.

Zauważyła, że Rzeby przymrużył oczy i mięśnie jego policzków napięły się.

- Chętnie, wasza wysokość. - Uśmiechnęła się przewrotnie i odeszła od stolika w towarzystwie Hawicka.

TLR

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Poranek był jasny, powietrze w Hyde Parku świeże i pełne wiosennych obietnic. Razeby czuł zapach konia i skórzanej uprząży zmieszany ze świeżą wonią ziemi i liści okrytych rosą. Twarz ogrzewało mu poranne słońce.

- Wydaje się, że dzisiaj jesteś już w lepszym nastroju - zauważył jadący obok Linwood.
- Poranek jest ładny, a ja wybrałem się na przejażdżkę z przyjacielem - uśmiechnął się

Razeby.

Linwood wciąż wpatrywał się przed siebie.

- Podobno Alice była wczoraj u Drydena.
- Wiadomości szybko się rozchodzą.
- Przecież to Londyn.

Markiz roześmiał się.

- Podobno ograła cały wasz stół.  
- To prawda - przyznał.  
- I dorównała ci umiejętnościami. Umiejętności Alice znacznie przewyższały jego własne. Była bardzo pilną uczennicą. Razeby przypomniał sobie wiele długich, ciemnych, zimowych wieczorów, kiedy dzielili się sekretami.

- To dziwne - zauważył Linwood.
- Doprawdy? - zapytał Razeby niewinnie.
- Któż mógł wiedzieć, że tak dobrze gra w blackjacka?
- No właśnie, któż? - Razeby nie zamierzał wyjawiać prawdy.
- Nie czujecie się niezręcznie w swoim towarzystwie?
- Nie.

To nie niezręczność pojawiała się między nimi, lecz pożądanie, napięcie i podniecenie. Alice flirtowała z nim podobnie jak z innymi, lekko i żartobliwie, tak jak zawsze, ale wyczuwał w jej zachowaniu jakieś nowe odcienie. Czuł, że wycofała się poza jego zasięg, że może na nią patrzeć, ale nie może jej dotknąć, i nie potrafił przestać o niej myśleć.

- To był bardzo miły wieczór - stwierdził, ale to była tylko część prawdy; nie czuł takiego podniecenia od dnia, gdy spotkał ją w Hyde Parku.

- Cieszę się, że rozstaliście się w przyjaźni.

Pozory jednak potrafią mylić. Razeby sam nie do końca rozumiał to, co działo się między nim a Alice, ale z pewnością nie była to przyjaźń. Coś znacznie silniejszego, potężniejszego, głębokiego i złożonego.

- To nieistotne, jak się rozstaliśmy.

- W takim razie z pewnością nie zainteresuje cię informacja, na którym z wieczorów ma się pojawić panna Sweetly.

- Tego nie powiedziałem - odrzekł Razeby cicho i podniósł wzrok na przyjaciela. Spojrzenie, które wymienili, było wymowniejsze od słów.

- Będzie w przyszłym tygodniu u White'a. Na rozdaniu nagród.

- Czy to pewne? - Na samą tę myśl serce Razeby'ego zaczęło bić szybciej.

- Mój ojciec jest w komitecie. Alice jest ulubienicą Covent Garden. Teatr ledwie ciągnął, a teraz wyprzedają wszystkie bilety na spektakle, w których ona ma się pojawić na scenie. White jest pewien, że podbije szturmem wszystkich członków komitetu. Zaproponowali już Kemble'owi i teatrowi sporą sumę za jej obecność.

Razeby skinął głową.

- Dziękuję za ostrzeżenie, przyjacielu.

Alice czekała w niewielkim przedpokoju przed salą bankietową Klubu Dżentelmenów White'a na St. James's Street. Była zdenerwowana, dłonie miała wilgotne i ścisnęła ją w żołądku - z pewnością nie dlatego, że miała wręczyć kilka nagród sztywnym, bogatym dżentelmenom. Kemble ostrzegł ją wcześniej, że Razeby będzie tu obecny i że on również ma otrzymać jedną z nich. Sam fakt, że Kemble uznał za stosowne to zrobić, był kolejnym powodem, dla którego nie mogła odrzucić dzisiejszego zaproszenia.

Gdyby nic jej wcześniej nie łączyło z Razeby, przyjęłaby tę propozycję bez wahania, uznając ją za dobrą promocję siebie i teatru. Ponadto było to doskonale płatne, toteż i tak ją przyjęła. Nie mogła pozwolić, by Razeby dyktował jej warunki. Musiała żyć dalej i dążyć do sukcesu. Miała kolejną okazję, by mu pokazać, że nic już dla niej nie znaczy - utrzymać mu nieco nosa. Uśmiechnęła się na tę myśl. Była dobrą aktorką, zarabiała pieniądze i Razeby naprawdę nie był jej potrzebny do szczęścia. Uśmiechnęła się raz jeszcze i wzięła głęboki oddech.

Mężczyźni siedzieli dokoła stołu w sali bankietowej. Zjedli już kolację i mieli przed sobą szklanki z portem. Palili cygaretki i częstowali się tabaką. Pan Ragget, właściciel klubu, pojawił się osobiście, by powitać gości.

- A teraz, panowie, przejdźmy do celu naszego spotkania - dorocznej ceremonii rozdania nagród za zasługi z ostatniego roku, które w naszym klubie uznaliśmy za godne wyróżnienia - zasługi dla naszej społeczności dżentelmenów, dla naszego miasta Londynu za wspieranie dobroczynności i sztuki, a także za sprawy mniej poważnej natury. - Wszyscy obecni uśmiechnęli się, myśląc o tym, co za chwilę powie. - Nagroda dla członka naszego klubu, który wygrał najwięcej zakładów, oraz dla tego, który wygrał ich najmniej. Dla tego, który wypił najwięcej butelek portweinu i ustał na nogach, a także dla tego, który pobił rekord i najdłużej spał w bawialni.

W tym momencie oczy wszystkich zwróciły się na starego lorda Soamesa.

- Mów głośniej, młody człowieku, bo nie słyszę ani słowa - odezwał się Soames donośnie.

Przy stole rozległy się śmiechy, bowiem Ragget już dawno skończył sześćdziesiątkę.

- Co roku zapraszamy kogoś wyjątkowego, by wręczył nagrody naszym dżentelmenom, i teraz też nie będzie inaczej. Zapewniam was, panowie, że nie poczujecie się rozczarowani. Proszę złożyć ręce do oklasków i powitać - prosto ze sceny Theatre Royal w Covent Garden.

Razeby wiedział, co za chwilę nastąpi, ale poczuł dreszcz oczekiwania.

- Zachwycającą pannę Alice Sweetly - dokończył Ragget.

Dżentelmeni podnieśli się z miejsc i powitali aplauzem wchodzącą Alice. Miała na sobie tę samą suknię z jasnozielonego jedwabiu, w której widział ją już setki razy. Suknia podkreślała jej urodę. Gorset wycięty był nisko, ale nie nieprzyzwoicie nisko, i zapięty z przodu na rząd perłowych guziczków, które Razeby rozpiął niegdyś z wielką wprawą. Światło padające z kandelabru rzucało złociste refleksy na jej jasne włosy. Nie goniła za modą i nie próbowała ich kręcić i upinać do góry. Wielokrotnie słyszał od niej, że jej włosy opierają się wszelkim próbom kręcenia, choćby najmocniej zawiązywała na nich papiloty i zostawiała je na długo. Jak zwykle więc, włosy miała upięte w zwykły węzeł. Wiedział, że wieczorem wyjmie z nich szpilki i pozwoli, by długie, proste i jedwabiste, opadły jej na plecy. Z trudem odepchnął od siebie ten obraz.

Ragget zapowiadał kolejne nagrody, wyczytując przy każdej nazwisko, a potem podawał Alice srebrny puchar, ona zaś wręczała go zwycięzcy i całowała każdego z nich w policzek. Razeby poczuł ekscytację, ale próbował nie zwracać na to uwagi, powtarzając sobie, że to tylko nagroda, a Alice była tylko jego kochanką, nic poza tym, i wszystko między nimi było już

skończone. Następnego ranka miał zabrać pannę Longley na przejażdżkę odkrytym powozem. Robił to, co należało zrobić. Powinien po prostu się oświadczyć i przyspieszyć bieg rzeczy.

- Markiz Razeby!

Głos Raggeta przywołał go do rzeczywistości. Podniósł się i ruszył w stronę Alice, nie odrywając od niej wzroku. Opanowana i promienna, jak zwykle emanowała paradoksalną mieszanką nieśmiałości i pewności siebie, którą zachwyciła go od pierwszego spotkania. Gdy do niej podchodził, patrzyła na niego spokojnie, ale pod jej opanowaniem czaił się żartobliwy uśmiech.

- Gratulacje, lordzie Razeby - powiedziała słodkim, miękkim głosem, który zabrzmiał w jego uszach jak płynny miód.

- Panno Sweetly - odrzekł uprzejmie i na jego ustach również pojawił się cień uśmiechu.

Podąła mu srebrny puchar. Czubki jej palców znalazły się tak blisko jego palców, że miał wrażenie, jakby je pogładziła, choć w gruncie rzeczy nie dotknęli się. Poczł znajomy zapach i serce znów zaczęło bić mu szybciej, a w głowie pojawiły się wspomnienia, których nie potrafił powstrzymać.

Alice w jego ramionach. Alice naga pod nim na łóżku.

Popatrzyła na niego prowokująco. Zrozumiał, że jego również ma zamiar pocałować, tak jak wszystkich pozostałych, i bardzo tego pragnął, choć patrzyła na nich połowa członków klubu White'a. Uniosła twarz i nie spuszczając oczu z jego oczu, uśmiechnęła się, jakby potrafiła przeniknąć jego myśli. Poczł ciepły oddech na policzku i szybkie muśnięcie miękkich ust. Znał to wszystko i tęsknił za tym. Zacisnął palce na pucharze.

- Panno Sweetly - powiedział niskim, ochrypłym głosem.

Ona również się uśmiechnęła. Dzielili ten moment, jak wiele innych momentów wcześniej, jakby byli tu zupełnie sami i nic innego nie miało znaczenia.

Najwyższym wysiłkiem woli Razeby odwrócił się od niej i podziękował wszystkim zgromadzonym, a potem wrócił na miejsce. Nie spuszczał z Alice oczu aż do ostatniej chwili, gdy wyszła z sali, lekko kołysząc biodrami.

Znów się uśmiechnął i poczul ciepło w sercu.

- Wczoraj wieczorem Razeby znów był u Almacka - powiedziała Sara dwa dni później, siedząc w saloniku Alice i omijając gospodynię wzrokiem.

Te słowa powinny ją ucieszyć, oznaczały bowiem, że wszyscy wierzą, iż Razeby jest jej obojętny. Poczł się jednak tak, jakby jakaś dłoń mocno zacisnęła się wokół jej serca.

- Doprawdy? - zapytała spokojnie, nalewając herbatę.

Nie miała ochoty słuchać o tym, jak Razeby radzi sobie w poszukiwaniu żony, jednak jakaś część jej duszy pragnęła usłyszeć każdy szczegół. Nie zapytała o nic więcej, ale Sara i tak udzieliła jej obszernych wyjaśnień.

- Tańczył z panną Penny, panną Lewis i lady Persephoną Hollingsworth. - Sara odliczała imiona na palcach. - A także z panną Jamison i dwukrotnie - urwała dla wzmocnienia efektu - z córką admirała Favershama, która jest chyba najlepszą partią w tym sezonie.

- Czy Fallingham też tam był i czy to on przedstawił ci listę partnerek Razeby'ego? - zapytała słodko Ellen, po czym z niewinną miną skupiła się na picciu herbaty. Alice jednak natychmiast przejrzała jej intencje i nie była pewna, czy powinno ją to martwić, czy cieszyć.

- Tak, ale tylko dlatego, że wszyscy jego przyjaciele też tam byli. On nie szuka żony. Jeszcze długo nie będzie próbował się ustatkować. - W tonie Sary przebijała obronna nuta.

- Masz taką nadzieję - wymamrotała Tilly pod nosem.

- Co powiedziałaś? - zareagowała Sara ostrym tonem. - Nie dosłyszałam.

- Nic nie mówiłam. Odbiło mi się. Po herbacie zwykle mi się odbija. - Tilly rzuciła uśmiech w stronę Alice, która potrząsnęła głową, powściągając wesołość.

- Podobno panna Faversham zagięła na niego parol?

- Nie ma najmniejszych szans - stwierdziła Tilly.

- Przecież to dziedziczka - odparowała Sara.

- To się dobrze dla niej składa - palnęła Ellen. - Bo plecy ma szerokie jak koń i twarz też jak koń.

Tilly zachichotała.

- Musiałby być ślepy, żeby ją wybrać - dodała Ellen.

- Liczy się pochodzenie i pieniądze - zaprotestowała Sara.

- To zupełnie jak u konia - nie ustępowała Tilly, wciąż chichocząc.

- Wystarczy już, dziewczęta - przerwała im Alice, ale gdy przyjaciółki wreszcie wyszły i pokojówki zaczęły zbierać naczynia, ona wciąż miała przed oczami obraz Razeby'ego, który tańczył z tymi wszystkimi kobietami. Jedna z nich miała zostać jego żoną. Ellen i Tilly droczyły się z nią, ale rozumiała, dlaczego to robiły - próbowały ją chronić, sądząc, że wciąż cierpi po rozstaniu z Razeby. Pragnęła im udowodnić za wszelką cenę, że nigdy nie traktowała tego związku poważnie.

Znów przypomniła sobie, jak stał przed nią u White'a i spojrzenie ciemnobrązowych oczu przeszywało ją na wylot. Znów poczuła jego zapach i dotyk szorstkiego policzka na wargach i wbrew wszystkiemu musiała się uśmiechnąć. Wiedziała, że stąpa po cienkim lodzie, po ostrzu noża, jakby przez cały czas stała na scenie teatru. Nie chcąc go unikać, stwarzała pokusę dla niego, a być może i dla siebie; pokazywała mu, co stracił, ale nie potrafiła tak po prostu odwrócić się do niego plecami. Najwyraźniej musiała się postarać jeszcze bardziej.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Razeby i Linwood stali przy szklanych drzwiach dusznej sali balowej lady Hadley, które prowadziły do ogrodu na tyłach domu, ciesząc się powiewem chłodnego powietrza.

- Jak idą poszukiwania? - zapytał Linwood.

- Nie najgorzej.

- Almack, swaty, pikniki, bale... Jesteś bardzo zajęty. - Linwood urwał na chwilę. - A jednak wydaje mi się, że nie przeprowadziłeś nawet wstępnej selekcji.

Razeby pociągnął łyk szampana.

- Nie chcę sobie zamykać żadnych drzwi. Na razie.

Linwood skinął głową ze zrozumieniem.

- Według zakładów u White'a faworytką jest panna Faversham.

Nie odpowiedział,

- A tuż za nią lady Esme Fraser.

- Są lepsze partie dla Razebych.

Linwood podniósł kieliszek i przyjrzał się zawartości pod światło.

- Może tak, ale zdaje się, że wynajdujesz powody, by odrzucić każdą napotkaną kobietę.

Razeby zacisnął usta.

- Nonsens.

- Szczerze mówiąc, wygląda to tak, jakbyś nie miał serca do tych poszukiwań, Razeby.

Serca?

Razeby znów przypomniawszy sobie Alice u White'a, wyraz jej oczu, pieszczotę oddechu i lekkie muśnięcie ust, a także wieczór w kasynie Drydena i chwilę w Hyde Parku... I serce przestało mu bić. Wiedział jednak, że nie może sobie pozwolić na te uczucia.



- A co ma do tego serce? - rzekł ponuro. - Chodzi o połączenie majątków i wpływów, o pieniądze i władzę, o zabezpieczenie przyszłości. To obowiązek, przyjacielu, wszyscy o tym wiemy.

- A Alice?

- Alice nie ma z tym nic wspólnego - odrzekł zbyt szybko. - Między nami wszystko skończone. - Miał nadzieję, że jeśli wciąż będzie to powtarzał, w końcu sam w to uwierzy.

- Wciąż tak mówisz - rzekł Linwood. - Ale gdy patrzyłem na was u White'a, nic nie wydawało się skończone.

- Mylisz się.

Linwood nie oponował.

- Obydwoje jesteście dorośli i rozumiemy, że tak musi być.

Wciąż milczał.

- Do diabła, Linwood. Przecież wciąż poruszamy się w tych samych kręgach. Czego się spodziewasz? Mamy udawać, że się nie dostrzegamy? Alice nie jest taka. Ja też nie.

- Na to wygląda. - Linwood nieznacznie uniósł brwi. - Ale jutro nie wybierasz się do Almacka.

- Na litość boską, w końcu jestem sponsorem instytucji dobroczynnej! Nie mogę opuścić ich balu. Tak się nieszczęśliwie składa, że to wypada tego samego wieczoru co bal u Almacka.

- Bardzo nieszczęśliwie - zgodził się Linwood.

Jego twarz jak zwykle nie wyrażała niczego, Razeby jednak doskonale wiedział, co myśli jego przyjaciel. Problem polegał na tym, że Linwood bynajmniej się nie mylił.

- Jesteś pewna, Alice? - zapytała Venetia, odkładając wachlarz na toaletkę w sypialni przyjaciółki.

Alice wsunęła ostatnią spinkę we włosy, odwróciła się od lustra i spojrzała na Venetię.

- Frew mnie zaprosił. To bal zorganizowany przez towarzystwo na rzecz pomocy bezdomnym i pokrzywdzonym przez los w Londynie. Bardzo szczytny cel.

- Wiesz przecież, że Razeby jest ich mecenasem.

- Oczywiście, że wiem.

- I że z tego powodu na pewno będzie tam dzisiaj.

- To nie może mnie powstrzymać. Gdybym unikała wszystkich miejsc, gdzie Razeby może się pojawić, nie mogłabym wyjść zupełnie nigdzie.

- Alice.

Alice próbowała się zdobyć na niewinny wyraz twarzy.

- Przecież to prawda.

- Nie musisz tego robić.

- Owszem, Venetio, muszę - stwierdziła stanowczo, spoglądając przyjaciółce prosto w oczy. - Jeśli będę go unikać, po Londynie zaczną krążyć plotki. Nie mogę się odwrócić od żadnej z tych okazji.

- Chcesz udowodnić całemu światu, że on cię nie zranił?

Chciała udowodnić to sobie i jemu. O to tylko chodziło.

- A może chcesz go ukarać, pokazując mu, co stracił - ciągnęła Venetia.

- Może jedno i drugie. Nie obawiam się spotkań z nim.

Venetia napotkała jej spojrzenie.

- Ty niczego się nie obawiasz. Słyszałam, że wygrałaś z nim u Drydena.

- Wygrałam ze wszystkimi - powiedziała Alice ostrożnie.

- W blackjacka - zauważyła Venetia. - To ulubiona gra Razeby'ego.

- No i co? - Alice wzruszyła ramionami, wiedziała jednak, że Venetia zdaje sobie sprawę, jakie znaczenie ta gra miała dla nich dwojga.

- Igrasz z ogniem.

- Obydwoje zawsze igraliśmy z ogniem.

- W takich grach nie wszystko da się przewidzieć. - Ostrzeżenie Venetii było subtelne, ale wyraźne.

- Możliwe, ale czasami trzeba grać, nie można się wycofać ze względu na dumę. - Ich spojrzenia znów się spotkały. - Żyję własnym życiem, Venetio, i nie pozwolę, żeby Razeby mi w tym przeszkodził... A jeśli przy okazji uda mi się sprawić, że poczuje trochę żalu, to cóż w tym złego?

- O ile wiesz, co robisz, Alice.

- Wierz mi, że wiem. Flirtuję z nim tak samo jak z pozostałymi, ale to nic nie znaczy. Może zacznę flirtować z innymi nieco bardziej, żeby go zdenerwować. - Uśmiechnęła się i szybko pocałowała Venetię w policzek.

- Alice, jesteś niepoprawna!

Zaśmiała się.

- Powiem ci to teraz, bo na balu już nie będzie okazji. Baw się dobrze i tańcz z Linwoodem, aż zakręci ci się w głowie. Cel tego balu jest naprawdę szczytny. Gdyby wiele lat temu podobna instytucja istniała w Dublinie, oszczędziłoby to mojej matce wiele kłopotu. Bezdomność z trzynastką dzieci do wykarmienia nie jest szczególnie zabawna.

- Mam nadzieję, Alice, że ty również będziesz się dobrze bawić.

- Och, z pewnością. Nie musisz się o to martwić.

- Dasz sobie radę z Frew?

- Umiem sobie z nim poradzić. Dostanie kilka tańców i nic więcej.

Obydwie roześmiały się, doskonale wiedząc, że Alice potrafi o siebie zadbać.

Sala balowa była zatłoczona. Alice zauważyła Venetię i Linwooda, którzy rozmawiali z lordem i lady Misbourne. Venetia również ją dostrzegła, ale nie mogła tego w żaden sposób okazać. Dobre towarzystwo i półświatek, dwa zupełnie różne kręgi, choć znajdowały się w tej samej sali, zaledwie o kilka metrów od siebie.

Alice miała na sobie nową suknię od madame Boisseron. Suknia kosztowała majątek. Alice zazwyczaj nie wydawała tak wiele pieniędzy na stroje, ale kupiła ją wraz z kilkoma innymi za pieniądze wygrane w karty. Suknia była z gładkiego jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Gorset ze złocistego jedwabiu, choć sugestywnie wycięty i dopasowany, nie ukazywał ani kawałeczka piersi. Krawcowa twierdziła, że żaden mężczyzna nie będzie w stanie oderwać od niej oczu, i sądząc po reakcji Frew, była to trafna prognoza.

Malutkie złote rękawki otaczały jej obnażone ramiona. Nie miała na szyi żadnej biżuterii ani wstążki, żadnej bransolety ani pierścionka, ale madame Boisseron miała rację, twierdząc, że tę suknię trzeba nosić właśnie tak, bez żadnych dodatkowych ozdób. Alice zgodziła się z tym od pierwszej chwili, gdy spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Teraz znalazła kolejne potwierdzenie w spojrzeniach, jakimi obrzucali ją wszyscy obecni dżentelmeni, a także w wyrazie twarzy Venetii, która uniosła brwi i ukradkiem posłała jej uśmiech.

Razemy tańczył z jakąś bardzo przyzwoitą młodą damą. Alice powtarzała sobie, że to nie ma znaczenia. Każdy mężczyzna o podobnej pozycji w końcu musiał uczynić to samo: ożenić się i spłodzić dziedzica. Zignorowała uczucie zazdrości i skierowała myśli na przyjemniejsze tematy. Spojrzała na Frew, który wyraźnie uważał się za niezmiernie przystojnego mężczyznę, dar Boga dla wszystkich kobiet, i powstrzymała chichot. Zupełnie jej nie poruszał.

- Wygląda pani dzisiaj wyjątkowo pięknie, panno Sweetly - powiedział.

- Pochlebia mi pan, panie Frew.

- Mam na imię Edmund. - Zajrzał jej głęboko w oczy z uśmiechem, który w najlepszym razie wydawał się wymuszony, a w najgorszym wyglądał tak, jakby Frew dostał światłowstrętu.

- To bardzo ciekawe imię - uśmiechnęła się Alice. Razeby zapewne wybuchnąłby śmiechem na taką odpowiedź, Frew wydawał się tylko nieco zirytowany. Nie chcąc drażnić go dłużej, z rezygnacją zaakceptowała perspektywę spędzenia bardzo nudnego wieczoru w jego towarzystwie. - Co to za wiersz recytował pan wczoraj wieczorem w Zielonym Pokoju?

- Napisałem go dla pani, panno Sweetly. - Frew znów zaczął recytować kwieciste wersy. Wordsworth mógł spać spokojnie. Już po dwóch wersach Alice była pewna, że nie uda jej się zachować powagi, jeśli Frew jeszcze raz wspomni o długich mieczach i okrytych rosą dziewczynkach.

W połowie tańca wziął ją za rękę i obrócił. Czekwała na tę chwilę i znów spojrzała w stronę Razeby'ego, przywołując go myślami. On również podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Popatrzył na jej suknię i całą postać, a potem znów na twarz. Uśmiechnęła się lekko uśmiechem, który pytał: I jak ci się podoba? W jego oczach natychmiast błysnęło jawne zainteresowanie. Alice uniosła brwi, doskonale zdając sobie sprawę, jakie wrażenie to na nim wywrze, i znów zwróciła się w stronę Frew. Zbliżyła usta do jego ucha, pozwalając, by objął ją nieco mocniej, niż wymagały tego zasady przyzwoitości, i szepnęła:

- Proszę powtórzyć jeszcze raz tę ostatnią linijkę. Pańskie słowa są niezwykle.

Frew nadał się z dumy i pewien, że tego wieczoru szczęście go nie opuści, posłusznie powtórzył wers. Alice znów spojrzała na Razeby'ego i zauważyła jego nachmurzony wyraz twarzy. Gdy jednak popatrzyła z przyganą, natychmiast przybrał wyraz niewinności. Alice nie dała się nabrać.

Wtedy skłonił lekko głowę, a potem figury tańca poprowadziły ich w dwóch różnych kierunkach i Alice nie widziała go więcej. Była rozczarowana, ale nie tak jak jej towarzysz, któremu udało się tylko ucałować jej dłoń, gdy odwiózł ją do domu.

Tego wieczoru, leżąc w łóżku, nie myślała o Frew i jego okropnej poezji, lecz o Razeby'm. Nikt nie mógł jej zarzucić, że próbuje go unikać - nie po tym, co stało się u Drydena, u White'a oraz dzisiaj wieczoru. Uśmiechnęła się, myśląc, że jej plan się powiódł. Sprawiała jej przyjemność gra, którą prowadzili; była podniecająca i nieco ryzykowna. W głębi duszy znów usłyszała ostrzeżenie Venetii i musiała przyznać, że było w nim wiele słuszności. Ra-

zeby wciąż ją pociągał w sposób, w jaki nie pociągał jej żaden inny mężczyzna, a to było niebezpieczne. Venetia miała rację, Alice powinna zachować ostrożność w jego obecności.

- Wiesz przecież, Razeby, że będziesz bardzo mile widziany, ale czy naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł? - zapytał Linwood w kilka dni później.

Był wieczór. Siedzieli w bawialni Linwooda. Gospodarz wstał i nalał brandy do dwóch szklaneczek.

- Mężczyzna ma prawo do wolnego wieczoru - oznajmił Razeby, przyjmując jedną ze szklanek. Wiedział, że Linwood ma rację. To był najgorszy pomysł na świecie, żeby pójść do teatru i zobaczyć Alice na scenie. Wiedział o tym, a jednak siedział tu, w bawialni, i proponował to głośno. - Poza tym chciałbym zobaczyć tę sztukę.

Linwood sceptycznie uniósł brwi.

- Raczej chciałbyś zobaczyć pannę Alice Sweetly.

- Możliwe - zgodził się Razeby. - O żadnej innej aktorce tyle się nie mówi w Londynie. Jej reputacja na scenie przewyższa reputację Venetii i pani Siddons. Może chciałbym po prostu zobaczyć, jak rozwinął się jej talent.

- Po części była to prawda, ale tylko po części.

Linwood w każdym razie nie wydawał się przekonany.

- Twoja obecność nie przejdzie niezauważona.

- Dlatego że Alice była kiedyś moją kochanką? Czy z tego powodu mam już nigdy nie przestąpić progu Theatre Royale?

- Nikt tego nie mówi. Ale podobno przeprowadziłeś czyste cięcie?

- Było czyste. Alice rozumie sytuację równie dobrze jak ja. Nic nas już nie łączy oprócz uprzejmości. - Dobrze wiedział, że kłamie. Łączyło ich coś więcej niż tylko uprzejmość - coś, co zmuszało go teraz, by pójść do teatru i ją zobaczyć. - Nie sądz, że nie zdaję sobie sprawy z tego, co robię. Jutro wybieram się do Almacka. - Nie było nic złego w tym, że chciał ją zobaczyć. Dopił brandy i spojrział w okno. - Nim ten sezon się skończy, znajdę sobie żonę. Muszę. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Rozumiem, że wszystko już skończone między tobą a Alice, ale czy przyszło ci do głowy, że jeśli chodzi o szukanie żony, to zawsze jest następny sezon? - zapytał Linwood.

Razeby uśmiechnął się i spojrział mu w oczy.

- Nie, przyjacielu - odrzekł cicho.

Linwood popatrzył na jego twarz, jakby szukał na niej wyjaśnienia, Razeby jednak wytrzymał jego wzrok i nie powiedział nic więcej. W końcu wicehrabia lekko skłonił głowę, uznał swoją porażkę i przestał naciskać. Znow sięgnął po karafkę z brandy.

- Cóż. W takim razie, Razeby, wygląda na to, że spędzisz ten wieczór w towarzystwie starego przyjaciela.

Alice znow wyszła na scenę przy pełnej widowni. Nigdy nie miała z tym kłopotu. Odgradzała się wówczas w myślach od prawdziwego życia i bez reszty wcielała się w odgrywaną rolę. Było to niemal tak podniecające jak rozgrywki, które prowadziła z Razebym, ale o wiele bezpieczniejsze.

Jego łoża była pusta, tak jak każdego wieczoru, ale gdy spojrzała w stronę łoży Venetii, zauważyła, że obok jej przyjaciółki i Linwooda był tam ktoś jeszcze. Serce jej zamarło, gdy zdała sobie sprawę, że to Razeby. Odwróciła wzrok, nie pozwalając się rozproszyć.

Powiedziała sobie, że to nic nie znaczy, ale serce biło jej szybciej. Po prostu przyszedł zobaczyć spektakl, powtarzała sobie. Jednak po tym, co zdarzyło się u Drydena i White'a oraz na balu dobroczynnym wiedziała, że tak nie jest. Jego obecność oznaczała coś więcej - wołała jednak nie dociekać co dokładnie.

Z pewnością nie przyjdzie do Zielonego Pokoju. Nie ośmieli się. Była tego pewna, ale ledwie przekroczyła próg, zaczęła go szukać wzrokiem.

Ośmielił się.

- Panno Sweetly. - Skłonił się przed nią.

- Lordzie Razeby - odrzekła, dygając, z dreszczem radosnego podniecenia.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, który wypłynął jej na usta. Wyczuwała, że uwaga wszystkich skupiona jest na nich, że wszyscy zerkają na nich ukradkiem i nasłuchują. Nie mogła teraz odejść.

- Mam nadzieję, milordzie, że podobała się panu sztuka.

- Bardziej, niż mogłem sobie to wcześniej wyobrazić.

- W takim razie może brakuje panu wyobraźni?

- Przeciwnie, panno Sweetly. Mam bardzo rozwiniętą wyobraźnię. Często słyszałem z tego powodu komplementy. - Jego spojrzenie było bardzo wymowne. Nieraz schlebiała mu z tego powodu, gdy byli w łóżku. Znow pojawiło się między nimi śmiałe, niebezpieczne napięcie.

cie. - Pani talent aktorski rozkwitł i stał się jeszcze bardziej elektryzujący. - Uśmiechnął się Razeby.

Alice odpowiedziała uśmiechem.

- Hm. Chyba to już gdzieś słyszałam, a twierdzi pan, że ma pan tak bogatą wyobraźnię.

Razeby uniósł brwi.

- Wolałaby pani, żeby komplementy, którymi panią obdarzam, były bardziej oryginalne?

- Wolałabym, żeby były szczere - odparowała.

Pochylił się w jej stronę i ściszył głos.

- Jeśli mam mówić szczerze, panno Sweetly, to jest pani cudowna.

Te same słowa wypowiedział do niej w tym samym Zielonym Pokoju w poprzednim życiu. Te same słowa szeptał w sypialni, gdy zabierał ją do domu po rzadkich spektaklach, w których występowała. Zdawało się, że świat dokoła nich się poruszył.

- A pan jak zwykle jest pochlebcą - odrzekła cicho, patrząc mu w oczy.

- Nigdy nie byłem pochlebcą, Alice - szepnął jeszcze ciszej.

Jego uśmiech był taki jak kiedyś. Patrzyli sobie w oczy. Wydawało się, że czas się zatrzymał i że cały świat dokoła zniknął. Słyszała bicie jego serca. Wiąż między nimi była równie mocna jak zawsze.

- Ach, Razeby - rozległ się głos Hawicka. - Jak idą poszukiwania żony?

Te słowa zniszczyły nastrój chwili. Obydwoje musieli wrócić do rzeczywistości.

- Całkiem dobrze, dziękuję - odrzekł z uprzejmym uśmiechem, który jednak nie sięgał oczu.

- Była pani zachwycająca jak zawsze, panno Sweetly. - Hawick ucałował jej dłoń.

- Jest pan dla mnie zbyt miły, wasza książęca mość - odrzekła swobodnie, choć wciąż czuła wzburzenie.

- Państwo wybaczą, że ich opuszczę. Zawsze do usług, panno Sweetly. - Razeby skłonił się i odszedł.

Alice wiedziała, że igra z ogniem, ale nie potrafiła zawrócić z tej ścieżki. Nie była w stanie odejść, by zachować dumę. Poza tym miała wielką ochotę wciąż go widywać. Poczowała irytację, gdy sobie to uświadomiła i następnego dnia, próbując się oderwać od myśli o nim, wybrała się na zakupy w towarzystwie przyjaciółek.

Szły we cztery przez Bond Street, obładowane paczkami i pudełkami. Alice dała się im przekonać i kupiła zbyt wiele zbędnych rzeczy. Musiała jednak przyznać, że dzięki temu po-

czuła się lepiej, choć paczki ciągle wysuwały jej się z rąk, a nowe, stylowe buty były niewygodne.

Wyszły właśnie z salonu modystki, gdy Sara zapytała:

- Mówiłaś chyba, Alice, że zabrałaś z Hart Street wszystko, co się dało?

- O co ci chodzi? - Alice spojrzała na przyjaciółkę i poczuła nagłą panikę. Czyżby Razeby powiedział komuś o tym, co zostawiła w jego mieszkaniu?

Ellen przeszła Sarę lodowatym spojrzeniem.

- Widziałam to spojrzenie, Ellen - zauważyła Alice.

- Boże drogi, Saro, ależ ty masz długi język!

- O co ci chodzi? - Sara wydawała się urażona. - Przecież Razeby już jej nie interesuje.

- Mimo wszystko - mruknęła Ellen.

- O czym nie chcecie mi powiedzieć? - zaniepokoiła się Alice.

Odpowiedziało jej milczenie.

- No już, mówcie!

- Razeby zatrzymał ten dom - powiedziała Ellen w końcu.

- To niemożliwe - wymamrotała Alice.

- To prawda - upierała się Sara. - Widziano go tam.

- Po cóż miałyby to robić? - zdziwiła się Alice, nieświadomie zwalnając.

Sara uniosła brwi, otworzyła szeroko oczy i rzuciła jej spojrzenie, od którego policzki Alice zarumieniły się z zażenowania. W końcu odezwała się Tilly.

- Chodzą plotki, że on nie szuka żony, Alice, tylko nowej kochanki. Myślałyśmy, że już je słyszałaś.

Te słowa były jak cios prosto w serce. Odwróciła spojrzenie.

- Nie wszystkie plotki są prawdziwe.

Przyjaciółki popatrzyły na nią tak, że natychmiast pożałowała tych słów.

- Pojawia się tam późnym wieczorem, wychodzi wcześniej rano. Nie trzeba być geniuszem, żeby wyciągnąć odpowiednie wnioski - stwierdziła Sara.

- Wiesz, jacy są mężczyźni. - Tilly poklepała ją po ramieniu w geście pocieszenia.

- Wiem. - A jednak sądziła, że Razeby jest inny, nawet teraz, po tym wszystkim, co się zdarzyło. To nie mogła być prawda. Uczynił to, co uczynił, ze względu na obowiązek.

- Zawsze chodzi tylko o to, co mają w spodniach. - Uśmiechnęła się Ellen.

- To prawda - zgodziła się Alice, próbując ukryć wzburzenie.



- Ale chyba nie zostawiłaś tam niczego? - nalegała Sara.

Uśmiech Alice stał się szerszy.

- Owszem, zostawiłam jedną rzecz. - W gruncie rzeczy zostawiła o wiele więcej, nie tylko diamentową bransoletę i kosztowne suknie.

- Chyba nie chciałabyś, żeby coś, co należy do ciebie, wpadło w ręce jakiejś innej kobiety?

Tilly i Ellen pokiwały głowami. Alice wybuchnęła śmiechem.

- Nie ma takiego zagrożenia.

- Cieszę się, że to słyszę. - Tilly wsunęła ramię pod jej ramię.

- Chodźcie. - Uśmiechnęła się Ellen. - Potrzebuję nowych pończoch, a Benjamin Preece wyprzedaje jedwabne pończochy z prawdziwego chińskiego jedwabiu po siedem szylingów i sześć pensów za parę.

- Mnie również przydałyby się pończochy - powiedziała Alice. - A potem możemy pójść na herbatę.

- Jak prawdziwe damy! - Ellen uniosła brwi, naśladowując akcent wyższych sfer. Wszystkie cztery wybuchnęły chichotem jak młode dziewczyny.

- W takim razie chodźmy do Preece'a - rzekła Alice i wciąż trzymając Tilly pod ramię, ruszyła w stronę składu towarów.

Przez następne dni myślała, że Razeby zatrzymał dom na Hart Street, nie przestawała jej dręczyć. Nie mogła o tym zapomnieć i skupić się na roli. Wieczorami grała, a potem w Zielonym Pokoju czarowała mężczyzn z taką samokontrolą, że Venetia byłaby z niej dumna. Nie potrafiła jednak przestać o tym myśleć wieczorem, gdy kładła się spać.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Istniały na tym świecie znacznie ładniejsze kobiety, takie, przy których ona wydawała się zupełnie zwyczajna. Wciągnęła brzuch, dokładnie obejrzała zęby i potarła palcem leciutkie piegi, które pojawiły się na nosie. Może rzeczywiście po prostu się nią zmęczył? Może kłamał i wprowadził ją w błąd, bo zabrakło mu odwagi, by powiedzieć prawdę.

Potrząsnęła głową. Nie była w stanie w to uwierzyć. Razeby był znacznie uczciwszy niż inni mężczyźni, których znała. A plotki to tylko plotki, powiedziała sobie. Czasami bywają zupełnie bezpodstawne.

Ale w każdej plotce kryje się ziarno prawdy. Ta myśl nie dawała jej spokoju. Z drugiej strony, co to za różnica?

A jednak była różnica; Alice wiedziała o tym, choć starała się udawać, że nie. Wiedziała też, że musi sama dotrzeć do prawdy.

Następnego dnia wstała znacznie wcześniej niż zazwyczaj.

- Czy mam wezwać dorożkę, panno Sweetly? - zapytała Rosie, najmłodsza z pokojówek.

Alice potrząsnęła głową.

- Jest ładna pogoda. Mam ochotę na spacer.

- Pójdę tylko po płaszcz, proszę pani. O tej porze jest jeszcze trochę chłodno.

- Nie zwracaj tym sobie głowy, Rosie. Muszę pomyśleć nad tekstem. Pójdę sama.

- Doskonale, proszę pani. - Pokojówka dygnęła i otworzyła przed nią drzwi.

Było jeszcze wcześnie. Na ulicach panował spokój. Chodnik był wilgotny od deszczu, który spadł nad ranem. Pokojówka miała rację, powietrze wciąż było chłodne, ale słońce już wzeszło i świeciło jasno.

Szła powoli, wdychając świeże, wilgotne powietrze. Dokoła niej Londyn budził się do życia. Wozy wypełnione zwierzętami i warzywami jechały ze wsi na targ. Dojarki prowadziły krowy na powrozach. Jakaś wieśniaczka wiodła za sobą stadko gęsi, wciąż ubranych w buty, by ich nogi nie starły się po przebyciu wielu mil.

Alice szła przez Mercer Street, a potem przez Long Acre. Dotarła do Banbury Court i w końcu znalazła się na Hart Street. Szła, jakby była to każda inna ulica, udając, że w ogóle nie patrzy na dom, w którym mieszkała z Razeby, i trzymając się przeciwnej strony. Ale jej kroki zwalniały coraz bardziej, a serce biło coraz szybciej. W końcu zatrzymała spojrzenie na budynku, który przez pół roku był jej domem. Wyglądał zupełnie tak samo jak wtedy, gdy go opuściła. Miała wrażenie, że mogłaby znów tam wejść i cofnąć czas. Z drugiej strony, meble i całe wyposażenie należało do domu w chwili, gdy Razeby go wynajął, podobnie jak w jej nowym mieszkaniu przy Mercer Street.

To nie oznaczało, że dom nie zmienił najemcy. To były tylko plotki, a ona niepotrzebnie tu przyszła. Ale w chwili, gdy to pomyślała, lśniące czarne drzwi domu otworzyły się i serce Alice zamarło na myśl, że ktoś może ją tu zobaczyć. Szybko schowała się za drzewo i mocno wpijając palce w pokryty szorstką korą pień, patrzyła, jak z domu wychodzi wysoki, ciemnowłosy, przystojny mężczyzna, którego znała aż nazbyt dobrze.

Wstrzymała oddech. Nie uśmiechał się; na poważnej twarzy nie było ani śladu zwykłego dobrego humoru. Szybko poszedł w przeciwnym kierunku, nie oglądając się za siebie ani razu.

Serce wciąż dudniło jej głośno. Była wstrząśnięta, a w głowie rozbrzmiewały jej słowa Tilly: *krążą plotki, że on nie szuka żony, Alice, tylko nowej kochanki*. I zapewne już ją znalazł, bo dlaczego w innym razie miałby spędzać tu noc? Popatrzyła na okna. Wszystkie żaluzje i zasłony były odsunięte, ale nie zauważyła żadnego ruchu, żadnej kobiecej twarzy.

Zaczekała, aż zniknął za rogiem, a potem wyszła z za drzewa i ruszyła z powrotem w stronę Mercer Street.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Razeby znów był u Almacka i po raz kolejny przechodził przez tę samą rutynę - wszystko po to, by osiągnąć cel zupełnie przeciwny jego pragnieniom. Na domiar złego pojawili się tu także jego przyjaciele. Jedynie obecność Linwooda mu nie przeszkadzała, bo ten, pomimo wszelkich zaprzeczeń Razeby'ego, domyślał się prawdy i po części był w stanie go zrozumieć.

- Przyszliśmy, żeby wesprzeć cię, stary, w tych poszukiwaniach - rozpromienił się Bullford.

- Jak to miło z waszej strony - mruknął Razeby z ironią, której jednak tamten w ogóle nie zauważył.

- Nie mogliśmy przecież zostawić przyjaciela w potrzebie. Domyślamy się, że ci ciężko, więc chcieliśmy ci podać pomocną dłoń - dodał Fallingham, popijając szampana.

- Ciężko? - Razeby uniósł brwi.

- Bardzo wolno posuwasz się do przodu - wyjaśnił Devlin, nieświadomie zbliżając się do prawdy.

Razeby uśmiechnął się.

- Po prostu jestem wybredny.

- Wybredny? Dobrze sobie! - parsknął Monteith. - Muszę to zapamiętać. Przyda mi się na chwilę, kiedy sam będę musiał wsunąć głowę w pętlę proboszcza.

- A nad czym tu wybrzydzać? - Wzruszył ramionami Fallingham. - Należy wziąć pod uwagę tylko trzy kryteria: czy jest dobrze skoligacona, czy ma dobry posag i jak szeroko potrafi rozłożyć nogi.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem - wszyscy z wyjątkiem Razeby'ego i Linwooda. Razeby popatrzył na swoich przyjaciół. Była to grupa najbardziej bezczelnych dżentelmenów z całego towarzystwa.

- Po jednym spojrzeniu na was przyzwoitki nie pozwolą mi nawet podejść do swoich podopiecznych.

- Zawsze możemy zająć się przyzwoitkami - odrzekł Monteith. - Starsze, bardziej doświadczone kobiety mają swoje zalety.

- Jest w tym sporo prawdy - zgodził się Devlin. - Słyszałem historyjkę o wdowie, pani Alcock, która...

- Wszyscy słyszeliśmy historyjkę o pani Alcock. A jeśli ją tu powtórzysz, to wyrzucą nas stąd i co wtedy pocznie Razeby? - przerwał mu Bullford.

- Odczepcie się wszyscy - rzekł Razeby żartobliwym tonem, choć mówił poważnie. - Za chwilę lady Jersey was zauważy.

- Oto ludzka wdzięczność - mruknął Monteith. Razeby odpowiedział mu ironicznym uśmiechem.

- Wiesz, gdzie nas znaleźć w razie czego. - Fallingham dopił zawartość swojej szklanki jednym haustem i pomachał ręką na pożegnanie. Odeszli wszyscy oprócz Devlina i Linwooda. Razeby napotkał spojrzenie Devlina.

- Naprawdę słyszałem już tę historię o pani Alcock.

- Chciałem z tobą porozmawiać - wyjaśnił Devlin. - Na bardzo delikatny temat.

Razeby spojrzał podejrzliwie. Miał złe przeczucia.

- Zazwyczaj nie lubisz się chwalić - powiedział, ciekaw, co tamten odpowie.

- Chciałem tylko upewnić się co do sytuacji między tobą a panną Sweetly.

Serce Razeby'ego zabiło szybciej.

- Devlin, szukam żony. To chyba wszystko wyjaśnia? - powiedział, z trudem zachowując opanowanie.

- Przyszło mi do głowy, że może jeszcze coś was łączy.

- Nic nas nie łączy - odrzekł krótko.

- Cieszę się, że to słyszę.

Spojrzenie Razeby'ego stało się ostrzejsze, ale Devlin chyba tego nie zauważył.

- Chodzi o to, Razeby... - odchrząknął. - Chciałem cię o coś zapytać. Skoro ty i Alice nie jesteście już razem, to chciałbym ją gdzieś zaprosić. Nie masz nic przeciwko temu?

- Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu? - odrzekł Razeby sucho, ale poczuł na plecach zimny dreszcz.

- Dziękuję ci, stary - skinął głową Devlin. - Chyba dołączę do tamtych.

- Lepiej to zrób - powiedział Razeby głosem, w którym czaiło się ostrzeżenie.

Popatrzył za oddalającym się Devlinem i zacisnął mocno zęby. Dopiero gdy tamten zniknął za drzwiami, przeniósł wzrok na Linwooda. Wymienili spojrzenia.

- Pamiętaj, że już nic do niej nie czujesz - powiedział Linwood cicho.

- Pamiętam - odrzekł Razeby ponuro. - Nic innego nie robię, tylko wciąż sobie o tym przypominam.

Alice zsunęła z głowy kaptur, gdy lokaj Linwooda wprowadził ją do przedpokoju przy salonie Venetii. Przyjaciółka natychmiast wybiegła z bawialni, by ją powitać.

- Mam nadzieję, że nie masz żadnego gościa? - zapytała Alice, zaglądając ostrożnie przez szparę w drzwiach.

- Nie. Linwood wyszedł, a ja piszę listy. - Nie wspomniała, dokąd Francis poszedł. Nie musiała. Obydwie wiedziały, że tego wieczoru u Almacka odbywał się bal i że Linwood poszedł tam z Razebym.

- Czy coś się stało? - zapytała Venetia z troską.

Alice poczuła wyrzuty sumienia.

- Nic - skłamała. - Chciałam tylko porozmawiać.

- Chodź. Wolę pogawędkę niż stertę listów w interesach.

Venetia posłała pokojówkę po herbatę i rogaliki z dżemem. Bawialnia była przytulna, zaciągnięte zasłony w oknach odgradzały pokój od ciemności na zewnątrz. Piły herbatę i jadły rogaliki, chociaż Alice zupełnie nie była głodna. Ta scena bardzo przypominała jej inne zimowe wieczory, gdy oboje z Razebym podpiekali rogaliki nad ogniem i smarowali je grubo masłem, które spływało im na brody i palce, a potem przytulali się do siebie pod pledem. Odsunęła od siebie te wspomnienia.

Rozmawiały o teatrze, o tym, że Venetia tęskni za sceną, o aktualnie wystawianych sztukach, o Kemble'u i wspólnych znajomych. Plotkowały i śmiały się.

- A skoro już mowa o plotkach... - powiedziała Alice. Jej głos nawet we własnych uszach zabrzmiał sztywno. - Zastanawiałam się... - Zawahała się, a potem wzięła głęboki oddech i zadała pytanie, które ją tu przyprowadziło: - Czy słyszałaś jakieś plotki na temat Razeby'ego?

- Jakie plotki?

- O Hart Street. - Alice przełknęła ślinę. - Podobno zatrzymał ten dom.

- Nie słyszałam nic o tym.

Alice popatrzyła na przyjaciółkę, zastanawiając się, czy tamta mówi prawdę, czy tylko chce oszczędzić jej bólu.

- Ale jeśli go zatrzymał, to chyba istnieje jakieś rozsądne wytłumaczenie?

- To prawda, że go zatrzymał - mruknęła Alice i zarumieniła się, gdy uświadomiła sobie, jak wiele jej słowa zdradzały.

Venetia jednak nie zadawała żadnych pytań.

- Bez względu na to, jakie Razeby miał powody, bardzo wątpię, by znali je plotkarze.

- Powiedziałaś przecież, że nie słyszałaś o nim żadnych plotek.

- Bo nie słyszałam, Alice. Ale mogę sobie wyobrazić, co mówią. - Venetia uniosła brwi.

- Wiem, co ci przychodzi do głowy.

- Doprawdy? - Alice popatrzyła jej prosto w oczy.

- Czy naprawdę sądzisz, że interesuje go następna kochanka? - zapytała Venetia cicho.

- Nie. Może. - Alice przymknęła oczy i potrząsnęła głową. - Nie wiem już, co mam myśleć, Venetio.

- Nie wiem, co poczyna Razeby, ale moim zdaniem możesz być pewna, że nie chodzi o to.

- Zapewne masz rację. - Alice westchnęła. - Nie powinno mnie to w ogóle obchodzić, nawet jeśli każdego wieczoru gości tam inną kobietę. Chodzi tylko o dumę. - Duma jednak stanowiła zaledwie część jej problemu.

Venetia skinęła głową ze zrozumieniem.

- Lepiej już pójdę.

- Może zostaniesz i napijemy się jeszcze herbaty? Alice potrząsnęła głową.

- Dziękuję, Venetio.

Obydwie wiedziały, że nie dziękowała za herbatę.

Alice próbowała wyrzucić Razeby'ego z myśli i zająć się własnym życiem. Myśl, że znów go zobaczy, niepokoiła ją, bo miała wrażenie, że coś się w niej zmieniło, i tym bardziej ważne było, by zachowywała się tak samo jak zwykle. Ale musiała znów go zobaczyć i stało się to zaledwie w dwa dni po rozmowie z Venetią.

W salonie pani Forbes odbywał się wieczór muzyczny. Całe pomieszczenie zastawiały krzesła ustawione w rzędy. Część dżentelmenów stała przy tylnej ścianie, a niektórzy również przy bocznych. Forbes był osobistym przyjacielem Kemble'a. Był majątny, choć nie nadzwyczajnie bogaty i nikt nie wiedział, jakim sposobem udało mu się ściągnąć do siebie na wieczór Angelicę Catalani, słynną sopranistkę. Mówiono o niej, że ma bardzo trudny charakter i jedynie najbogatszych ludzi w kraju stać na to, by pokryć jej gażę, ale gdy otworzyła usta i zaśpiewała, wydobywał się z nich najpiękniejszy dźwięk na świecie. Miała głos kryształowo czysty. Ten głos przywodził Alice myśli o pięknu i doskonałości.

Alice przyszła tu z Kemble'em i jego siostrą, słynną aktorką dramatyczną Sarah Siddons. Siedzieli pośrodku sali, dzięki czemu dobrze widzieli madame Catalani i mogli bez zakłóceń cieszyć uszy muzyką. Alice bardzo się starała skupić uwagę tylko na śpiewaczce i nie zważać na to, że Razeby siedzi z tyłu sali obok panny Althrope, jego towarzyszką na ten wieczór.

Na kolanach Alice leżał otwarty program koncertu, ładnie i schludnie wydrukowany. Zanim muzyka zaczęła rozbrzmiewać, udawała, że go czyta. Rozmawiała też z Kemble'em i panią Siddons; tak jak przypuszczała, Kemble nie potrafił się powstrzymać przed omówieniem każdego z zapowiedzianych utworów. Alice słuchała z uśmiechem i od czasu do czasu wtrącała kilka słów, świadoma, że Razeby ją widzi i obserwuje każdą jej reakcję. Chciała sprawiać wrażenie, że doskonale się bawi bez niego. Pomyślała, że będzie łatwiej, gdy już madame Catalani zacznie śpiewać; będzie musiała tylko siedzieć i sprawiać wrażenie pogrążonej w muzyce. Ale sprawy się skomplikowały.

Głos madame Catalani był tak nieziemski i melodyjny, że wzbudził w Alice falę emocji. Emocje były niebezpieczne, a szczególnie emocje tego rodzaju, jakie teraz wzbierały w jej piersi. Odwróciła wzrok od śpiewaczki, szukając czegoś, na czym mogłaby się skupić, ale widziała tylko ściany pomalowane na modny czerwony kolor.

Czerwony! Dobry Boże, że też nie mógł to być jakiś inny kolor!

Rozległ się aplauz. Kemble zerknął na nią, bijąc brawo ze wszystkich sił i kiwając głową z uśmiechem. Alice również zmusiła się do uśmiechu i zaklaskała w dłonie. Po chwili madame Catalani znów zaczęła śpiewać. Tym razem była to pieśń tak piękna, że przebiła wszelkie mury obronne, którymi Alice próbowała się otoczyć. Znów zaczęła myśleć o rzeczach, o których nie chciała myśleć: o uczuciach i udawaniu, o Razeby.

Opuściła wzrok na program, który leżał na kolanach. Piękny głos wciąż śpiewał. Emocje wzbierały w niej z coraz większą siłą. Świadomość, że Razeby siedzi za nią w towarzystwie

innej kobiety, przeszywała ją jak ostrze sztyletu. Może zresztą sprawił to głos śpiewaczki, muzyka i te czerwone ściany. Wszystko zdawało się na nią napierać i dusić. W końcu odniosła wrażenie, że nie zniesie tego ani chwili dłużej. Pochyliła się w stronę Kemble'a i szepnęła mu do ucha:

- Proszę mi wybaczyć, panie Kemble, muszę wyjść na chwilę. Zaraz wrócę.

Kemble skinął głową, nie odwracając wzroku od madame Catalani. Alice precyzyjnie się do wyjścia, starając się to zrobić jak najbardziej niepostrzeżenie.

W przeciwieństwie do wszystkich obecnych, Razeby nie skupiał uwagi na madame Catalani, lecz patrzył na Alice. Widział jej wyjście, a w chwilę potem ten stary satyr Quigley wysunął się w ślad za nią. Nikt tego nie zauważył. Madame Catalani wciąż śpiewała. Widownia wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana.

Razeby szepnął kilka słów do panny Althrope i wyszedł za nimi.

Hol był pusty. Nie było widać żadnego lokaja ani pokojówki. Po chwili usłyszał ciche kroki na schodach i poszedł w ich stronę. Stał na szczycie schodów i zobaczył plecy Quigleya w czarnym żakiecie, znikające na końcu korytarza za drzwiami oznaczonymi jako garderoba kobiet. Razeby przymrużył oczy i również ruszył korytarzem.

Alice nie miała potrzeby korzystać z urządzeń, które znajdowały się za parawanami. Głos madame Catalani dochodził nawet tutaj, ale tu przynajmniej była sama, a ściany pomalowane były nie na czerwony, lecz na chłodny jasnoszary kolor. Tu mogła wreszcie odetchnąć swobodnie. Przez okno widziała czyste błękitne niebo oświetlone popołudniowym słońcem. Słońce jednak świeciło od frontowej strony domu, a pokój położony był na tyłach i panował tu chłód. W kominku nie płonął ogień. Alice była z tego zadowolona. To tylko ta aria, powtarzała sobie, te czerwone ściany i zaduch panujący na dole. Kilka chwil w garderobie powinno jej wystarczyć, by odzyskać równowagę umysłu.

Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i usłyszała kroki za drzwiami. Pochyliła się nad spódnicą, by ją wygładzić. Drzwi za jej plecami otworzyły się. Nawet nie spojrzała na odbicie w dużym lustrze, tylko spuściła wzrok i odwróciła się do wyjścia.

- Ależ, moja droga panno Sweetly, nie ma powodu tak się spieszyć.

Na widok tego łajdaka, pana Quigleya, zatrzymała się jak wryta.

- Pan Quigley! Cóż pan tu robi, na litość boską? To jest garderoba dla dam!

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ale chciałem z panią porozmawiać na osobności, a bardzo trudno jest znaleźć panią samą.



- Wybaczy pan, ale muszę już iść. Pan Kemble i pani Siddons czekają na mnie na dole.

- Chyba pani nie sądzi, że w to uwierzę. Pan Kemble i pani Siddons, a także wszyscy pozostali w salonie są tak pochłonięci śpiewem madame Catalani, że jeszcze przez jakiś czas nie zauważą pani nieobecności, a ja nie potrzebuję wiele czasu. - Obliznął usta i po całym ciele Alice przebiegł dreszcz odrazy. Próbowała go ominąć, on jednak pochwycił ją za rękę palcami przypominającymi szpony.

- Moja droga panno Sweetly - powiedział z lubieżnym uśmiechem, pochylając się nad jej twarzą. Poczwała jego oddech przesycony przetrzawionym winem. - Już dość dawno temu wpadła mi pani w oko, a teraz, gdy Razeby zniknął ze sceny i została pani sama, bez opiekuna, pomyślałem, że zachowam się jak dżentelmen i wezmę panią pod swoje skrzydła.

- Niezmiernie mi pochlebia pańska oferta, sir, ale obawiam się, że muszę ją odrzucić - powiedziała Alice uprzejmie, lecz stanowczo.

- Ależ, panno Sweetly!

Popatrzyła na miejsce, gdzie opierała się jego dłoń.

- Bardzo proszę mnie puścić, panie Quigley.

- Niech pani nie będzie taka, panno Sweetly. Ten surowy ton zupełnie do pani nie pasuje.

- Mocniej zacisnął palce na jej przegubie i przyciągnął ją do Siebie, kładąc drugą rękę na jej biodrze. - Tylko jeden pocałunek dla staruszka.

- Nie! - Próbowała go odepchnąć, ale jak na człowieka w tym wieku miał zdumiewająco dużo siły.

Napotkała jego spojrzenie i zobaczyła w oczach żądzę. Ogarnęła ją panika.

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie była pewna, co właściwie zaszło, naraz jednak zobaczyła Quigleya opartego twarzą o ścianę z ręką wykręconą na plecy. Za nim stała wysoka, ciemna postać, aż nadto jej znajoma.

Quigley jęknął bojaźliwie.

- Co ty, do diabła, wyrabiasz, Quigley? - Cichy głos Razeby'ego zabrzmiał jak trzaśnięcie bicia.

Alice patrzyła na niego, niezdolna uwierzyć, że naprawdę tu jest.

- Myślałem, że już z nią skończyłeś i że jest... - Quigley znów głośno jęknął, gdy Razeby mocniej wykręcił mu rękę. - Popełniłem błąd, przepraszam. Więcej jej nie dotknę.

- Te przeprosiny powinienes skierować do panny Sweetly. - Twarz Razeby'ego była jak wykuta z kamienia.

Alice jeszcze nigdy go takim nie widziała.

- Przepraszam, panno Sweetly - odrzekł Quigley z napięciem.

Skinęła głową i przeniosła wzrok z wykrzywionej twarzy starego na ciemną, niebezpieczną twarz Razeby'ego. Quigley znów jęknął z bólu.

- Niech go pan puści, Razeby. Chyba jest pijany.

Na ustach markiza pojawił się grymas.

- Trzymaj się od niej z daleka, Quigley - syknął.

Tamten skinął głową. Twarz miał bladą jak ściana.

- Zrozumiano, milordzie.

Dopiero wtedy Razeby go puścił. Quigley sięgnął po kapelusz i zniknął za drzwiami.

Żadne z nich się nie poruszyło. Patrzyli na siebie z odległości kilku kroków. Serce biło jej tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi, krew dudniła w żyłach i miała wrażenie, że za chwilę zasłabnie, ale przyczyną tych wszystkich wrażeń nie był Quigley.

- Czy dobrze się czujesz, Alice? - zapytał Razeby cicho, lecz z napięciem.

Skinęła głową, nie odważając się odezwać. Podeszedł do niej i powoli obrzucił wzrokiem całą jej sylwetkę.

- Nie zrobił ci krzywdy?

- Nie - potrząsnęła głową.

Ich spojrzenia spotkały się. Alice obawiała się, że nie potrafi ukryć wewnętrznego drżenia.

- Bardzo się cieszę. - Wyciągnął rękę. Ujęła ją i jego ciepłe, mocne palce delikatnie otoczyły jej dłoń. - Ty drzysz!

- Zimno tu - skłamała.

Zdjął żakiet i narzucił jej na ramiona. Poczwała wokół siebie jego zapach, który niósł tak wiele wspomnień i emocji.

- Nie! - zawołała. Zerwała żakiet z ramion i wrzuciła mu w ręce.

Milczenie między nimi stawało się coraz bardziej napięte. Żadne z nich nie potrafiło odwrócić wzroku od twarzy drugiego. Ich spojrzenia mówiły wszystko, czego usta nie były w stanie powiedzieć. Oddech Alice stał się szybki i płytki. Nie była pewna, jak długo jeszcze będzie potrafiła panować nad sobą.

Razeby patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem leciutko skinął głową i odszedł. Przez otwarte drzwi widziała, jak mija dwie młode damy, które zamierzały wejść do garderoby. Dziewczęta zachichotały, ale na jej widok zamilkły, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

Alice podniosła wyżej głowę, strzepnęła nieistniejący pyłek ze spódnicy z godnością księżnej, jakby nic jej nie obchodziło to, że właśnie widziano ją w garderobie w towarzystwie Razeby'ego.

Gdy Razeby wrócił do salonu, krzesło Quigleya było puste. Usiadł obok panny Althrope, która była zbyt dobrze wychowana, by skomentować jego nieobecność. Nie wiedział, czy zauważyła wyjście Alice, i nic go to nie obchodziło.

Od jej bliskości krew wciąż krążyła szybciej w jego żyłach. Wiedział, że nie powinien się tak czuć, ale siedząc obok panny Althrope, jednym okiem spoglądając na madame Catalani, drugim na drzwi i czekając, aż Alice wróci, nic na to nie mógł poradzić.

W końcu wsunęła się do salonu i znów usiadła obok Kemble'a, ani razu nie spoglądając w jego stronę. Wydawała się bez reszty skupiona na występie. Ale nie musiała na niego patrzeć. Był tak skoncentrowany na niej, że nawet gdyby madame Catalani zaczęła fałszować, nie zauważyłby tego. Czuł jej obecność w swojej piersi, we krwi i w kościach. Patrzył przed siebie, na pozór wpatrzony w śpiewaczkę, ale przez cały czas widział wyłącznie Alice.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Alice nie miała pojęcia, jak udało jej się dotrzeć do końca wieczoru. Gdy dotarła do domu, ręce wciąż jej drżały. Powtarzała sobie, że to z powodu Quigleya, ale wiedziała, że tak nie jest. Wszystko było nie tak, jak powinno być. Razeby pozbył się jej, nie zważając na uczucia, a teraz cały czas poświęcał szukaniu kandydatki na żonę. Mimo wszystko to, co zdarzyło się po południu w garderobie dla dam, sprawiło, że zaczęła przypuszczać, że sprawy mają się inaczej, niż na pozór wyglądają. Było to zupełnie niedorzeczne, absurdalnie śmieszne przypuszczenie, ale jego spojrzenie, przenikliwe i wymowne, jakby spoglądał w głąb jej duszy i jakby naprawdę czuł to, co ona, wstrząsnęło nią bardziej, niż chciałaby przyznać. Zdała sobie sprawę, że nie ma sensu temu zaprzeczać.

Gdy sobie to uświadomiła, poczuła się słaba, pozbawiona kontroli i ogarnął ją lęk. Obawiała się, że maska zsunie się z jej twarzy i że cały świat zobaczy to, co znajduje się pod spodem.

*Nigdy nie pokazuj po sobie, jak bardzo jesteś zraniona.* Te słowa nie przestawały dźwięczeć jej w głowie. Znała je na pamięć i powtarzała sobie tysiące razy, a teraz wpadła w panikę i otoczyła się zbroją jeszcze ciaśniej. Powtarzała sobie, że z pewnością myli się co do własnych uczuć oraz tego, co zobaczyła w jego oczach.

Wziął wszystko, co miała, wykorzystał to, a potem odrzucił. Nie wolno jej było o tym zapomnieć. Została jej tylko дума, nic więcej, toteż postanowiła, że nie pozwoli sobie tego odebrać. Nie miała innego wyboru. Musiała żyć dalej.

- Jak udał się wieczór z madame Catalani? - zapytała Venetia, siedząc na sofie Alice na Mercer Street.

- Ma niezwykły, magiczny głos - tak magiczny, że pod jego wpływem można popaść w iluzję.

- Słyszałam, że Razeby też tam był.

- Doprawdy? - zapytała Alice obojętnie, ale nie potrafiła spojrzeć Venetii w oczy.

- Alice - odrzekła tamta cicho. - Krążą jakieś plotki o tym, co zdarzyło się między tobą a Razeby podczas tego wieczoru.

- Zawsze krążą jakieś plotki - odrzekła Alice gładko.

Venetia nic nie odpowiedziała, ale popatrzyła jej w oczy. Alice przymknęła powieki i westchnęła.

- To nie było tak.

- A jak było?

- To Quigley. Poszedł za mną do garderoby dla dam. Wiesz, jaki on jest.

- Lubieżna stara ropucha.

- Próbował mnie objąć. Nie przypuszczałaś, Venetio, jaki jest silny. Zdawało mi się, że to tylko starzec. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że użyje siły.

Venetia pobladła i w jej jasnych oczach pojawił się wyraz grozy, choć próbowała go ukryć. Gdy się odezwała, jej głos brzmiał już spokojnie.

- Czy on zrobił ci krzywdę, Alice?

- Nie. Próbował mnie pocałować. Nie wiem, jak daleko zamierzał się posunąć, bo Razeby go powstrzymał.

- A skąd się wziął Razeby w garderobie dam?

Alice odwróciła wzrok.

- Po prostu akurat tamtędy przechodził.

Venetia uniosła brwi i Alice zauważyła we wzroku przyjaciółki sceptycyzm.

- Czy znów jesteście razem?

- Nie. - Alice ze znużeniem przymknęła oczy. Zamęt w myślach, który nie opuszczał jej od tamtego dnia, był bardzo wyczerpujący. - Jak moglibyśmy wrócić do siebie po tym wszystkim, co... - opamiętała się i nie dokończyła zdania. - On szuka żony. Przyszedł tam z panną Althrope.

- Wciąż nie jest ci obojętny, prawda?

- Tak. Nie. - Alice odwróciła wzrok. - Jak mogłabym coś do niego czuć?

- Czujemy to, co czujemy, Alice. To nie jest rozsądne ani logiczne. - Venetia urwała. - Wiem, że wolałabyś go nie unikać, ale może powinnaś to zrobić przez jakiś czas.

- Nie. Nie mogę. - Alice potrząsnęła głową z lękiem. - Nie zrobię tego, Venetio. - Unikanie go byłoby przyznaniem się do prawdy. *Nigdy nie odwracaj się przed tym, czego się lękasz. Bądź śmiała i dzielna i nigdy, nigdy nie pokazuj, jak bardzo zostałaś zraniona.* - Prawdę mówiąc, potrzebuję zrobić coś przeciwnego.

- Alice - powiedziała Venetia ostrzegawczo.

- Wyratował mnie przed Quigleyem, ale to niczego nie zmienia. To znaczy, jestem mu wdzięczna za interwencję, ale... - Na samo wspomnienie tego, jak patrzył jej w oczy, serce zaczęło bić jej szybciej. Sny i koszmary nie pozwalały jej spać, natrętne myśli dręczyły ją

dniem i nocą. - To niczego nie zmienia - powtórzyła już bardziej stanowczo. - Muszę dalej żyć własnym życiem. Pokazać wszystkim, że Razeby nic już dla mnie nie znaczy. Muszę pokazać to przede wszystkim jemu.

Zapadło milczenie.

- Bądź ostrożna, Alice.

- Będę - obiecała cicho.

Drzwi do jej garderoby były szeroko otwarte. Alice patrzyła na rząd nowych jedwabnych, wieczorowych sukien, pięknych i kosztownych. To miał być jej nowy początek. Kupiła je za pieniądze, które wygrała u Drydena.

Jej wzrok padł na szmaragdową kreację wiszącą na samym końcu rzędu, w pewnej odległości od pozostałych - jedyną, którą zabrała z domu przy Hart Street, tę, którą zamówiła z myślą o Razeby. Zawsze twierdził, że gdy Alice ją nosi, on nie potrafi jej się oprzeć. Wyciągnęła rękę i lekko dotknęła miękkiego jedwabiu spódnicy. W jej myślach natychmiast pojawiły się wspomnienia tak żywe, że wstrzymała oddech. Usta Razeby'ego na jej ustach, dłonie rozpinające gorset, gdy podciągnęła spódnicę i usiadła mu na kolanach w powozie, bo nie mogła się doczekać, kiedy dotrą do domu. Przypomniała sobie, jak kochali się na biurku w jego gabinecie, na sofie w bawialni, na tureckim dywaniku przed kominkiem, a kiedyś nawet na schodach i na parapecie okna, zanim dotarli do sypialni. Te wspomnienia były tak żywe, że zadrżała i cofnęła rękę, jakby chłodny jedwab parzył.

Zmusiła się, by oddychać, powstrzymać drżenie przebiegające przez całe ciało i wziąć pod kontrolę uczucia, które czaiły się w najgłębszych zakamarkach duszy. To był tylko seks. Razeby'emu zawsze chodziło tylko o seks, nic więcej. Jej też. Musiała to sobie udowodnić raz na zawsze i wiedziała, jak może to zrobić. Nie była tylko pewna, czy wystarczy jej odwagi.

Wzięła jeszcze jeden oddech i jeszcze raz spojrzała na szmaragdowy strój.

Wydawało jej się wcześniej, że nałożenie szmaragdowej sukni to dobry pomysł, ale teraz, kiedy stała na progu Brewer Street Rooms i Devlin patrzył na nią z jawnym pożądaniem w oczach, nie była już tego taka pewna.

- Ta suknia, panno Sweetly... - Devlin opuścił spojrzenie na jej piersi rysujące się pod gorsetem. Przysunął się bliżej i ściszył głos. - Wygląda pani niezmiernie kusząco. Nie sposób się pani oprzeć.

Tych samych słów zawsze używał Razeby. Nie miała ochoty słyszeć ich z ust Devlina, wydawało jej się to niewłaściwe, podobnie jak zakładanie tej sukni dla jakiegokolwiek innego

mężczyzny, ale właśnie dlatego ją założyła. Chciała odczarować tę suknię, wyrwać się spod władzy Razeby'ego, udowodnić mu raz na zawsze, że nic już ich nie łączy i nigdy nie łączyło, bez względu na to, jak na nią patrzył.

- Wie pan, co zrobić, by kobieta się zarumieniła, lordzie Devlin - uśmiechnęła się.

Podał jej ramię. Zignorowała niepokój i skrępowanie, odpędziła od siebie wątpliwości i zdenerwowanie i jeszcze raz powtórzyła sobie, że robi to, co powinna zrobić. Poza tym było już za późno, by zmienić decyzję. Musiała doprowadzić swój plan do końca. Wszystko będzie dobrze. To nie jest miejsce, do którego markiz mógłby przyjść w poszukiwaniu żony. Z uśmiechem oparła palce na ramieniu Devlina, uniosła wysoko głowę i poszła za nim do pokoju, w którym grała głośna muzyka. Wszystko będzie dobrze, powtórzyła sobie jeszcze raz, ale już w chwili, gdy przeszła przez drzwi, wiedziała, że nic nie będzie dobrze.

Po przeciwnej stronie sali stał Razeby. Alice poczuła przyływ paniki. Miała ochotę odwrócić się i wybiec przez te drzwi. Zmusiła się, by oddychać i opanować emocje. Nie powinno mieć dla niej żadnego znaczenia, że on tutaj jest - absolutnie żadnego. Może nawet tak było lepiej. Chciała, by Razeby zobaczył, jak Alice zaprzecza swoim uczuciom do niego. Zasłużył sobie na to.

Niemal udało jej się przekonać siebie. Devlin zmierzał prosto w stronę markiza.

- Razeby. - Skłonił się. - Nie sądziłem, że się tu pokażesz.

- Zmieniłem plan - odrzekł Razeby chłodnym głosem, od którego Alice przeszył dreszcz.

Wiele kobiet - młodych, starych, w każdym wieku - patrzyło na Razeby'ego z nieskrywanym zainteresowaniem, on jednak zupełnie na to nie zważał. Co więcej, panny Althrope nie było dziś przy jego boku. Nie było żadnej kobiety. Widocznie przyszedł tu z Linwoodem.

Uśmiech Devlina stał się nieco wymuszony.

- Zwykle nie bywasz w tego rodzaju miejscach.

- Ty też nie - odrzekł Razeby.

Uśmiechnął się, ale w jego spojrzeniu czaiła się ukryta groźba. Uśmiech Devlina przybladł.

- Panna Sweetly i ja możemy zaręczyć za jakość podawanego tu szampana - powiedział, sięgając po kieliszek.

Alice milczała. Jej kieliszek był wciąż pełen. Nie upiła jeszcze ani łyku, choć usta miała wyschnięte na papier. To tylko suknia, powtarzała sobie, ale wiedziała, że tak nie jest. Razeby też wiedział. Tego wieczoru nie było widać jego zwykłego uroku. Zachowywał się zaledwie

uprzejmie, ale nastrój miał ponury i mroczny. W porównaniu z nim Linwood wydawał się lekki i radosny. Alice czuła napięcie między Razeby'm a Devlinem.

Drgnęła, gdy Devlin objął ją w pól.

- Czy panna Sweetly nie wygląda dzisiaj uroczo? - Te słowa brzmiały po prostu uprzejmie, a jednak doskonale wyczuwała, że jej towarzysz celowo prowokuje Razeby'ego.

Ten zaś wreszcie zatrzymał na niej spojrzenie. Jego wzrok przesunął się powoli od zielonych pantofli, przez spódnicę i piersi okryte gorsetem, aż w końcu dotarł do jej oczu. Serce biło jej tak mocno, że zbierało jej się na mdłości.

- Rzeczywiście uroczo - odrzekł bez uśmiechu. - Ale ja bym użył innego słowa.

*Nieodparta pokusa.* Alice miała ochotę stąd uciec, ale wiedziała, że nie może tego zrobić, toteż stała w miejscu, oddychając głęboko.

- Zatańczymy, panno Sweetly? - uśmiechnął się Devlin.

- Już myślałam, że nigdy mnie pan o to nie poprosi - odrzekła szczerze, gotowa na wszystko, byle tylko oddalić się od Razeby'ego i od tego napięcia.

Zmusiła się do uśmiechu i poszła za Devlinem na parkiet.

Nie wrócili już do Razeby'ego i Linwooda. Alice ani razu nie spojrzała w ich stronę. Przetańczyła dwa tańce z Devlinem, wypila pół kieliszka szampana, uśmiechała się. Udawała, że interesuje ją to, co mówi, że w ogóle nie zwraca uwagi na Razeby'ego i na fakt, że nie zatańczył ani razu.

Razeby zauważył Alice, ledwie przekroczyła próg. Dostrzegł suknię ze szmaragdowego jedwabiu, którą miała na sobie, i aż nazbyt dobrze zrozumiał, co chciała przekazać tym strojem. Wiedział, że stojący obok niego Linwood też na nią patrzy. Wszyscy obecni na nią patrzyli. Jak mogliby nie patrzeć? To była słynna panna Sweetly, promienna i kusząca. Pomyślał o rzędach pięknych atlasowych i jedwabnych sukien wiszących w garderobie przy Hart Street, a także o diamentowej bransoletce i czeku, które zlekceważyła. Nie rozumiał tego wówczas. Zrozumiał to dopiero teraz. Dobrze wybrała broń. W jej rękach ta broń była ostra jak sztylet.

Linwood wymamrotał coś, ale Razeby nie dosłyszał tego, bo jednocześnie zaczęła grać muzyka. Patrzył, jak Devlin prowadzi ją na parkiet. Wiedział, że powinien zatańczyć z jakąś kobietą - z jakąkolwiek, nieważne z którą - ale nie zrobił tego. Stał nieruchomo, patrząc na nią i na Devlina. Serce biło mu tak mocno, że nie słyszał niczego oprócz własnego pulsu.

Nie spojrzała na niego ani razu. Nie musiała. Przeszłość przewijała się przed jego oczami, scena po scenie. Miał wrażenie, że za chwilę wybuchnie.



Alice rozluźniła się nieco i zaczęła popijać szampana. Udało jej się przetrwać połowę wieczoru. Była pewna, że jakoś dotrwa do końca.

Muzyka znów zaczęła grać. Już po kilku pierwszych nutach Alice poczuła ucisk w żołądku i zacisnęła palce na kieliszku tak mocno, że zbieleły jej kostki. Los nie mógł być tak okrutny! Miała nadzieję, że się myli, ale po chwili, gdy melodia zaczęła się rozwijać, nie mogła mieć już żadnych wątpliwości: to było *Volse*. Ich taniec, jej i Razeby'ego. Serce zamarło jej w piersi.

- Zatańczymy, panno Sweetly? - rozległ się głos Devlina obok niej.

Zastygła z przerażenia. Miała ochotę powiedzieć kategorycznie i bez dyskusji: nie. Zmusiła się do uśmiechu.

- Jeszcze nie skończyłam szampana, lordzie Devlin. Może zatańczymy następny taniec?

- Ależ, panno Sweetly - rzekł z lekką naganą w głosie. - Proszę zostawić szampana. Kupię pani całą butelkę, kiedy ten taniec się skończy.

Ku jej przerażeniu wyciągnął rękę gestem, który był wyraźnym zaproszeniem. Wszyscy, którzy na to patrzyli, wiedzieli, że Devlin prosi ją do tańca. Miała wrażenie, że serce zaraz przestanie jej bić. Oblizwała suche usta. Może on nie patrzy. Może tego nie zauważył. Zerknęła w stronę Razeby'ego. Jego ciemne spojrzenie było utkwione w jej twarzy, podobnie jak oczy wszystkich pozostałych. Zakręciło jej się w głowie, a palce zupełnie zlodowaciały. Wiedziała, co musi zrobić. Nie mogła stracić twarzy i przyznać, że ta muzyka, ten taniec cokolwiek dla niej znaczy, że Razeby cokolwiek dla niej znaczy. Odwróciła od niego twarz, oparła palce na wyciągniętej dłoni Devlina i pozwoliła się poprowadzić na parkiet.

Doskonale знаła kroki. Tańczyła ten taniec z Razeby wiele razy w salonie przy Hart Street. Do tej właśnie melodii po raz pierwszy tańczyli publicznie jako para. Alice tańczyła ją wtedy, gdy zakładała dla niego szmaragdową suknię. To był ich taniec, ich muzyka, ich suknia.

Miała wrażenie, że uśmiech rozrywa jej twarz na pół. Nie była w stanie spojrzeć na Razeby'ego, dopóki nie wybrzmiały ostatnie nuty. Dopiero wtedy obróciła głowę, zobaczyła tylko samotnego Linwooda. Razeby'ego nie było. Obiegła wzrokiem całe pomieszczenie, ale nigdzie go nie zauważyła.

- A co do tego szampana. - Uśmiechnął się Devlin, delikatnie gładząc jej przegub.

Stało się. Zrobiła to. Założyła tę suknię. Tańczyła ten taniec.

- Czy dobrze się pani czuje, panno Sweetly? - Devlin posadził ją na krześle. - Wydaje się pani nieswoja i chyba pani zbladła.

- Czy mógłby mnie pan zabrać do domu, lordzie Devlin? - zapytała, przełykając ślinę. - Nie czuję się dobrze.

- Oczywiście. Zaraz zawołam powóz.

Powóz Devlina odjechał. Alice weszła na schody prowadzące do drzwi domu. Naraz z cienia wysunął się Razeby.

- Razeby - szepnęła poprzez mrok. - Co ty tu robisz?

Jego wzrok wymownie zatrzymał się na zielonym jedwabiu, który wysuwał się spod płaszcza. Nawet w przyćmionym żółtym świetle latarni ulicznej kolor był wyraźnie widoczny. Dopiero po chwili Razeby popatrzył na jej twarz.

- Czy ty mnie dręczysz celowo? Bo jeśli tak, to udało ci się.

Wstrzymała oddech i otworzyła usta, ale jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, by znów je zamknęła.

- Czy czujesz się dzięki temu szczęśliwsza?

Zatrzymała się w miejscu i wyznała szczerze:

- Nie, Razeby. Zupełnie nie.

Odwróciła się i znów ruszyła w stronę schodków.

- Do diabła, Alice. Myślisz, że możesz tak po prostu ode mnie odejść?

Obróciła się na pięcie.

- Tak jak ty odszedłeś ode mnie? Czego się spodziewałeś, Razeby? - Przez wiele tygodni próbowała temu zaprzeczać, ukrywać to przed światem, przed Razeby, przed sobą samą, ale ten wieczór i jego obecność sprawiły, że wszystkie mury, które budowała przez wiele tygodni, runęły. Gniew, uraza, ból - emocje wypłynęły z niej jak lava z wulkanu.

- Spodziewałem się, że zrozumiesz - odrzekł udręczonym głosem.

- Że zrozumiem? - Podeszła bliżej i spojrzała mu w twarz. - Och, rozumiem aż nazbyt dobrze. Odrzuciłeś mnie jak stare ubranie, szybko i bez zbędnego zamieszania, nie zważając na moje uczucia.

- To nie było tak - odrzekł, wstrząśnięty.

- Nie? W jednej chwili byliśmy w łóżku, a w następnej odprawiłeś mnie chłodno. Czyżbym sobie to wymyśliła?

Razeby przesunął ręką po włosach.

- Alice...

- Mogłeś mnie uprzedzić wcześniej. Nie miałeś nawet tyle przyzwoitości, żeby mnie ostrzec. Planowałeś to przez cały czas, ale nie zdradziłeś się ani słowem.

- Mylisz się, nigdy tego nie planowałem. Na tym właśnie polega problem. Atholl...

- Atholl był tylko wymówką! - wykrzyknęła.

- Nie.

- Czy sądzisz, że nie zauważyłam, że przez kilka miesięcy coś ci zaprzętało myśli? Wi-  
dać to było po tobie za każdym razem, gdy sądziłeś, że nikt na ciebie nie patrzy,

Razeby odwrócił wzrok.

- Och tak, Razeby. Widziałam to. I wiesz co? Martwiłam się o ciebie. Nie o nas, bo są-  
dziłam, że jest nam razem dobrze, ale o ciebie. - Postukała palcem w jego pierś. -

A ty przez cały czas zastanawiałeś się, jak się mnie pozbyć. Łajdak! - Oddychała coraz  
szybciej, drżąc od emocji.

- Powiedziałem ci już, że gdy chodzi o ciebie, nie planowałem niczego.

- Nie wierzę w to.

- Muszę wypełnić swój obowiązek. Nie mogę tego uniknąć, Alice, choćbym najbardziej  
chciał! - wykrzyknął z udręką w głosie.

- Wiem o tym. Nigdy nie twierdziłam inaczej. Chodzi o sposób, w jaki to zrobiłeś. Moż-  
na wypełnić obowiązek, ale zachować przy tym odrobinę serca.

- Nie jestem pozbawiony serca, Alice.

- Doprawdy?

- Do diabła, zrobiłem to, co musiałem zrobić!

- Zrobiłeś to w okrutny i podły sposób! Zraniłeś mnie, Razeby! - Wreszcie powiedziała  
to głośno i teraz nie było już sposobu, by cofnąć te słowa. Ich echa rozbrzmiewały w ciszy, któ-  
ra zapadła między nimi.

Razeby patrzył na jej twarz z przerażeniem.

- Alice...

- Zraniłeś mnie - powtórzyła już ciszej. - Ja chciałam tylko...

- Odplacić mi tym samym - dokończył cicho.

- Nie. - Wpatrywała się w wielkie kałuże, które lśniły na ciemnym chodniku ulicy.

Nie miała takiego zamiaru. Nie chodziło jej o to, by go zranić; chciała tylko chronić sie-  
bie i ocalić dumę. A jednak w tym, co Razeby powiedział, tkwiło ziarno prawdy.

- Chyba tak. Odrobinę. - Gardło miała wyschnięte i zaciśnięte. Spojrzała mu prosto w oczy. - Ale zasłużyłeś sobie na to. Sprawileś, że uwierzyłam, że łączy nas coś więcej niż tylko seks. Nic nie mogłoby być bardziej podle. - Znów odwróciła się do niego plecami, ale on był szybszy.

W jednej chwili stał za nią, a w następnej przed nią, w cieniu, przypierając ją do ściany, tak blisko, że czuła bicie jego serca i znajomy zapach.

- Sądysz, że nic do ciebie nie czuję, Alice? - Głos miał nabrzmiały namiętnością. Alice zadrżała. - Sądysz, że nie cierpię przez to, że jestem z dala od ciebie?

Jego oddech był szybki i urywany. W ciemności widziała tylko błysk jego oczu.

- Są inne rzeczy, które muszę brać pod uwagę. Rzeczy, o których nie mogę ci powiedzieć.

- Na przykład to, że byłeś mną zmęczony i że czas już było ruszyć dalej? Widziałam któregoś ranka, jak wychodziłeś z domu przy Hart Street.

Przymrużył oczy z niedowierzaniem i gniewem.

- Sądysz, że zapraszam tam inną kobietę?

- Tak mówią.

- W takim razie to musi być prawda - odrzekł zimno.

- W innym razie dlaczego spędzałbyś tam noc?

- Właśnie. Dlaczego? - Przysunął twarz do jej twarzy tak blisko, że poczuła jego oddech na policzku, i szepnął niebezpiecznie intymnym tonem: - Jeśli naprawdę tak sądzisz, to znaczy, że w ogóle mnie nie znasz.

Patrzył na nią jeszcze przez ułamek sekundy, a potem puścił ją i zniknął w mroku. Alice drżała tak mocno, że nie pomagało nawet przygryzanie ust. Patrzyła za nim, nie będąc w stanie się poruszyć. Stała tak, samotna w ciemnościach. Lekki deszcz padał na jej włosy, krople mieszały się ze łzami na jej twarzy. Chłód nocy przenikał ją do szpiku kości.

Wszystkie mury obronne runęły. Nie mogła temu więcej zaprzeczać, nie mogła okłamywać siebie samej. Wreszcie musiała to przyznać i wraz z tą świadomością spłynął na nią ból i nieznośne cierpienie.

Kochała Razeby'ego. Kochała go, a on złamał jej serce.

# ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Alice siedziała tam, gdzie spodziewał się ją znaleźć - na marmurowej ławce w najdalszym kącie sali, wpatrzona w obraz na przeciwnej ścianie. Od tamtego wieczoru minęły trzy dni. Przez te trzy dni każdego ranka przychodził tutaj, do sali wystawowej Królewskiej Akademii, by jej szukać.

W sali panował spokój. Tylko jedna czy dwie osoby wstały na tyle wcześnie, by spokojnie, bez zwykłego tłumu popatrzeć na dzieła sztuki. W nocy padał deszcz, ale dzień był słoneczny. Słońce jednak tu nie dochodziło. Miękkie, stłumione światło wpadające przez łukowato sklepione okna w suficie oświetlało jedynie środkową część podłogi, dzięki czemu obrazy wiszące na ścianach nie płowiały.

Kroki Razeby'ego rozbrzmiewały cicho na drewnianej podłodze. Przeszedł przez galerię i usiadł na drugim końcu ławki, jakby on również wpatrywał się w obraz Canaletta przedstawiający Canal Grande w Wenecji. Spojrzała na niego szybko i znów zwróciła wzrok na obraz.

- Jak się miewasz, Alice? - zapytał cicho.

- Świetnie.

Zapadło milczenie.

- Nie ma sensu już niczego udawać, Alice. Pytam poważnie, jak się czujesz.

- Jakoś to znoszę. - Napotkała jego wzrok. - A ty?

- Bywało lepiej.

Uśmiechnęła się, ale był to smutny uśmiech. Westchnęła i znów spojrzała na obraz.

- Spędzam noce na Hart Street, sam, bo wciąż czuję twój zapach na pościeli i twoją obecność w pokojach.

Usłyszał, że wstrzymała oddech.

- Razeby!

- Naprawdę sądziłaś, że jest inaczej?

Potrząsnęła głową, ale nie spojrzała na niego.

- W głębi serca wiedziałam.

- Przykro mi, że cię zraniłem. Przepraszam, że powiedziałem ci to tak nieoczekiwanie, ale jeśli musimy wyrzec się czegoś, czego nie chcemy tracić, to najlepiej jest przeprowadzić szybkie, ostre cięcie. Sądziłem, że tak będzie najlepiej dla nas obojwojga. Teraz widzę, że się myliłem.

- Ja też cię przepraszam. Nie chciałam cię zranić tamtego wieczoru, Razeby. Ta suknia, muzyka i taniec...

- I Devlin - dodał.

- Wyglądałaś tak, jakbyś chciał go zlinczować.

- Niewiele brakowało.

Wciąż patrzyła na obraz, ale na jej usta znów wypłynął smutny uśmiech.

- Dla mnie również była to udręka.

Milczenie, które znów zapadło, tym razem było wypełnione spokojem.

- Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz? - zapytała.

- Jakoś to czułem. - Popatrzył na turkusowe niebo nad Wenecją. - Zawsze mówiłaś, że ten obraz zabiera cię w inny świat. Pomyślałem, że obydwójgu nam przydałaby się teraz wycieczka do innego świata.

Oparł dłoń tuż obok jej dłoni, płasko rozpostartej na ławce. Marmur pod jego skórą był gładki i chłodny. Jego mały palec lekko dotykał jej palca.

- Gdyby tylko to było możliwe... - Była opanowana i wydawała się rozluźniona. Wciąż patrzyła na obraz. - Wygląda bardzo pięknie, prawda? Te szczegóły architektury, kolor nieba, światło odbijające się na wodzie... Nigdy nie widziałam nieba w takim kolorze.

- Skarby dla oczu - powiedział.

Roześmiała się krótko, ale w tym śmiechu brzmiał smutek.

- Czy panna Althrope jest twoją wybranką? - zapytała cicho.

- Nie. Znalazłem swoją wybrankę już pół roku temu, tylko że nie mogę się z nią ożenić.

Przymknęła oczy.

- Nie rób tego.

- Dlaczego? To prawda, nawet jeśli bardzo dużo czasu potrzebowałem, żeby sobie to uświadomić.

- Przez to będzie jeszcze trudniej.

- Nie może być już trudniej.

- Nie powinieneś tu być ze mną, Razeby.

- Nie, nie powinienem.

Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w Canaletta. W końcu Razeby wstał i cicho odszedł.

Alice żyła z dnia na dzień. Prawie każdego wieczoru pojawiała się na scenie, popołudniami chodziła na próby, bawiła gości w Zielonym Pokoju, bo to była część jej pracy. Bywała

na promocjach i wypełniała wszystkie inne obowiązki. Uśmiechała się i nosiła głowę wysoko, w sercu jednak czuła pustkę, jakby odebrano jej wszystko, co miało dla niej jakąkolwiek wartość. Żyła, bo musiała i dlatego, że nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić. Ale gdy nikt na nią nie patrzył, kiedy była sama, wydawało jej się, że dłużej tego nie znieśie.

Od spotkania w galerii minęły cztery dni. Przez te cztery dni bardzo starała się unikać Razeby'ego. Tylko cztery dni, a jednak miała wrażenie, że minęło już całe życie. Pragnęła go zobaczyć, usłyszeć jego głos, spojrzeć w jego oczy i zobaczyć jego uśmiech. Powtarzała sobie jednak, że tak jest lepiej dla nich obojga. Nic jej już nie obchodziło, czy cały świat widzi, że ona próbuje go unikać.

List nadszedł w następnym tygodniu.

Mnóstwo mężczyzn przysyłało jej listy. Alice nie otwierała żadnego z nich, paliła je wszystkie, ale tego nie wrzuciła do ognia. Rozpoznała śmiałe litery nakreślone czarnym atramentem, a potem obróciła kopertę w rękach i zobaczyła pieczęć Razeby'ego. Serce biło jej mocno, dłonie drżały. Złamała woskową pieczęć i rozwinęła list, a potem przesunęła palcem po liniijkach. Ale choć wpatrywała się w nie długo, wyęzając wzrok, potrafiła odczytać tylko dwa słowa, jedno na samym początku, a drugie na końcu listu: Alice i Razeby.

Teraz żałowała, że mu nie powiedziała. Opowiedziała mu o wszystkim innym: o swoim tajemnym życiu w przybytku pani Silver, o rodzinie w Irlandii. Rozmowa między nimi zawsze płynęła swobodnie, a jednak Alice nie była w stanie się przyznać, że panna Sweetly, gwiazda teatru, nie potrafi czytać ani pisać i że uczyła się na pamięć swoich ról tylko dzięki Venetii. To, że została aktorką, było jedyną dobrą rzeczą, jaką zrobiła w całym swoim życiu. Nie zniosłaby tego, gdyby odebrano jej to jedyne osiągnięcie i gdyby miało wyjść na jaw, że jest kłamczuchą. Ale trzymając w ręku list od Razeby'ego, poczuła, że mogłaby się na to zdobyć, żeby się tylko dowiedzieć, co tam jest napisane.

Nie mogła poprosić nikogo obcego, by przeczytał jej ten list. Nie mogła też zabrać go do Venetii; zdawało jej się, że list jest na to zbyt intymny. Złożyła go więc bardzo starannie i schowała na samym dnie torby podróżnej obok drugiego swojego skarbu - grawerowanego pióra, które dał jej w prezencie. Pomyślała, że może nie dzisiaj, ale któregoś dnia w przyszłości będzie mogła go przeczytać.

Minął kolejny tydzień, który wydawał się Alice miesiącem. Siedziała sama w lśniącym, nowym czarnym powozie, który przysłał Kemble i który miał ją zawieźć na aukcję dobroczynną. Nosiła nową suknię, którą zaledwie poprzedniego dnia odebrała od madame Boisse-

ron. Wydała na nią część oszczędności, ale wiedziała, że jest to coś, co musi zrobić. Suknia była skromna jak u debiutantki. Alice wiedziała, że wszyscy zwrócą na to uwagę, ale nie dbała o to.

Powóz zatrzymał się. Alice wzięła głęboki oddech, zdobyła się na uśmiech i pozwoliła, by lokaj pomógł jej wysiąść. Dokoła zebrał się tłumek, który chciał popatrzeć na najbogatsze i najślawniejsze osoby w mieście. Rysownicy gazetowi gorączkowo szkicowali sceny, reporterzy spisywali notatki. Tłum powtarzał jej nazwisko:

- Panna Sweetly.

- Czy to prawda, panno Sweetly, że wystawia pani na aukcję taniec z panią?

- Niczego nie zdradzę. - Uśmiechnęła się. - Musicie poczekać i przekonać się osobiście, panowie.

- Oddałbym ostatni grosz za taniec z panią, panno Sweetly - wykrzyknął starszy mężczyzna stojący z przodu. Wyglądał na biedaka. Twarz miał poraną bruzdami po ciężkim życiu.

- Jest pan bardzo wspaniałomyślny, sir.

Tłum wybuchnął śmiechem. Alice podeszła do mężczyzny.

- A ja lubię wspaniałomyślnych mężczyzn - powiedziała i z uśmiechem pocałowała go w policzek.

Staruszek rozpromienił się.

- Niech panią Bóg błogosławi, panno Sweetly!

Tłum wybuchnął wrzawą zdziwienia i zachwytu, a potem jednogłośnie powtórzył za starszym mężczyzną:

- Niech panią Bóg błogosławi, panno Sweetly!

Z uśmiechem poszła po czerwonym chodniku, którym wyścielone były kamienne schody, i weszła do rezydencji. Za progiem oślepiło ją światło z tysiąca świec przepuszczone przez kryształki kandelabrow i kinkietów. Było tu jasno jak w dzień. Zatrzymała się na chwilę na progu sali balowej i spojrzała na spódnicę swojej sukni, uszytą z jedwabiu sprowadzonego z Indii. Kolor jedwabiu, niezwykle jasny turkus, przypominał jej niebo z obrazu Canaletta. Przypomniała sobie słowa, które Razeby wypowiedział cicho w galerii.

Wzięła głęboki oddech, podniosła wysoko głowę i weszła do środka.

Razeby stał w sali w towarzystwie Linwooda i Venetii. Słyszał, jak tłum na zewnątrz skandował nazwisko Alice i gdy pojawiła się w drzwiach, zaparło mu dech z wrażenia. Suknia,



którą miała na sobie, była niewinna i czysta, jednak niesłychanie zmysłowa, a kolor był jak tajemna wiadomość przeznaczona tylko dla niego.

Trudno mu było patrzeć na nią, gdy wiedział, że nie może jej mieć. Ale te ostatnie dni, gdy jej nie widział, okazały się jeszcze gorsze.

Uśmiechała się i błyszczała, jakby nic się nie zmieniło, chociaż zmieniło się wszystko. To wrażenie było niemal namacalne i Razeby dziwił się, że nikt inny tego nie dostrzega. Krążyła po sali, rozmawiając z tymi, którzy kupili bilety wyłącznie po to, by przyjść i na nią popatrzeć, ale z rozmysłem omijała miejsce, w którym stał, i starała się unikać jego wzroku. Wiedział jednak, że ona doskonale zdaje sobie sprawę z jego obecności.

Rozpoczęły się tańce, a potem podano lekką kolację. Później miała się zacząć aukcja.

Razeby pił szampana i rozmawiał z Linwoodem i Venetią, nie spuszczać oczu z Alice. Na pozór wyglądała tak samo jak zawsze - spokojna, zadowolona i niewinna. Widział jednak pod tymi pozorami prawdziwą Alice i nie dostrzegał w niej szczęścia, lecz cierpienie i tęsknotę, podobne do tych, które odczuwał on sam. Przy innych okazjach zawsze tańczyła, dzisiaj jednak trzymała się z dala od parkietu. Szeptano, że to z powodu aukcji - dlatego że wystawiła na aukcję taniec.

Razeby powinien poprosić do tańca pannę Althrope albo lady Esme Fraser, ale nie poruszył się. Gdy podano kolację, Alice nałożyła sobie na talerz po odrobinie z rozmaitych potraw rozstawionych na stole, ale nie skosztowała ani kęsa. Razeby nawet nie udawał, że zamierza coś zjeść. Chciał, by wreszcie na niego spojrzała, ona jednak wciąż odwracała wzrok.

W końcu nadszedł czas na aukcję. Fundacja na rzecz Wsparcia i Edukacji Sierot zaangażowała samego Johna Philipa Kemble'a do roli prowadzącego licytację. Jego szlachetny, arystokratyczny sposób bycia i wielkie doświadczenie aktorskie gwarantowały, że będzie potrafił wzbudzić zainteresowanie, zwiększyć dramatyzm i sterować tłumem. Fundacja chciała wyciągnąć ze zgromadzonych jak najwięcej pieniędzy i Kemble był najbardziej do tego odpowiednią osobą. Wylicytował kieliszek szampana w towarzystwie Prinny, przechadzkę dokoła sali u boku Sally Brooke, konsultacje u dam często bywających u Almacka na temat, jak złapać upatrzoną zdobycz na rynku matrymonialnym (matka nakazała Razeby'emu wziąć udział w tej aukcji), prywatny wieczór poezji recytowanej przez samego lorda Byrona, aż w końcu dotarł do punktu, który wzbudzał największe zainteresowanie i na który czekali niemal wszyscy mężczyźni w sali: taniec z panną Alice Sweetly, ulubienicą Covent Garden.

Kemble przedstawił ją wszystkim i Alice w jedwabiu o barwie nieba Canaletta stanęła przed tłumem ze swoim lekko nieśmiałym uśmiechem. Nie była wyrafinowana ani obyta, nie było w niej niczego sztucznego. Była nieskomplikowana, piękna, uczciwa i szczerą. Przez każde jej spojrzenie przebijało dobre serce i bezpośredniość. Nie uważała się za piękność, choć nią była. Nie pozowała ani nie wynosiła się, ale miała w sobie jakiś nieokreślony blask, który przypominał światełko w ciemnościach, i Razeby wiedział, że żaden z mężczyzn stojących w pobliżu nie jest w stanie się oprzeć temu przyciąganiu.

- Panowie, taniec, który będziecie licytować, to... - Kemble urwał dla zwiększenia efektu.

- *Volse*.

Razeby mocno zacisnął zęby. Alice szerzej otworzyła oczy i jej twarz na moment zastygła, zaraz jednak pojawił się na niej uśmiech. A więc nie wiedziała o tym wcześniej.

W sali rozniósł się szmer podniecenia. *Volse!* Była to melodia zalotów i uwodzenia, skandaliczny taniec, który zezwalał na odrobinę intymności w dotyku i w rozmowie. Był to taniec, który należał do Razeby'ego i Alice.

Zaczęła się licytacja. Tak wiele osób unosiło w górę programy, kiwało głowami i podnosiło ręce, że Razeby stracił rachubę. W sali panowała atmosfera pościgu i rywalizacji, jak na rykowisku. Przez cały czas stał i patrzył, aż w końcu gwar przycichł, stawki wzrosły niebotycznie wysoko i w aukcji pozostało tylko dwóch najbogatszych pretendentów: Hawick i Monteith.

- Dwa tysiące funtów - oznajmił Monteith.

- Dwa tysiące sto - odparował natychmiast Hawick.

- Dwa tysiące trzysta.

- Dwa tysiące czterysta - odrzekł Hawick z szybkością błyskawicy.

- Dwa tysiące pięćset? - zapytał Kemble Monteitha, ten jednak z wdziękiem potrząsnął głową, uznając swoją porażkę.

- Czy ktoś da dwa tysiące pięćset?

Razeby zobaczył uśmiech, który pojawił się na twarzy Hawicka, pewnego już, że wygrał.

- Dwa tysiące pięćset? - powtórzył Kemble.

Wzrok Hawicka skierował się w stronę Alice, jakby już do niego należała.

- Dwa tysiące pięćset po raz trzeci.

Ci, którzy stali najbliżej Hawicka, już ściskali mu dłoń z gratulacjami.

- Pięć tysięcy funtów - powiedział Razeby leniwie.

Po sali rozniosły się stłumione westchnienia. Zauważył utkwione w sobie spojrzenia Linwooda i Venetii. Nawet oni zdawali się poruszeni

- Wasza wysokość? - zwrócił się Kemble do Hawicka.

Razeby słyszał bicie własnego serca. Dokoła panowało zupełne milczenie. To było najdłuższe kilka sekund w jego życiu.

- Gratuluję lordowi Razeby'emu - powiedział Hawick, ale w spojrzeniu, które mu rzucił, nie było ani odrobiny życzliwości.

- Sprzedane - oznajmił Kemble.

Dopiero teraz Alice spojrzała na niego.

- Taniec został sprzedany lordowi Razeby'emu za niezwykle hojną sumę pięciu tysięcy funtów - mówił Kemble.

Razeby wpatrywał się w Alice jak zahipnotyzowany.

TLR

# ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dłoń Alice spoczęła w dłoni Razeby'ego. To, że patrzył na nich cały Londyn, nie miało żadnego znaczenia. Byli jedyną parą na parkiecie. Wszystko w końcu znalazło się na swoim miejscu. Ten taniec roztopiał chłód, wypełniał pustkę, zapalał światełko w jej sercu - wystarczyło, że mogła z nim spędzić tych kilka chwil.

Ich kroki idealnie zgrywały się ze sobą, ciała poruszały się w jednym rytmie, doskonale się uzupełniając. To był ich taniec. Słuchając słodkiej, melodyjnej muzyki Alice wiedziała, że nigdy więcej nie zatańczy tego tańca z nikim innym.

Podniosła wzrok na jego twarz.

- Wywołałeś skandal - powiedziała, ale nie potrafiła powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Ale w szczytnym celu. - Jego uśmiech również był taki jak kiedyś. Więż, która istniała między nimi od samego początku, znów się pojawiła, mocniejsza niż kiedykolwiek. - Unikałeś mnie, Alice.

- Tak było lepiej. - Ich oczy spotkały się.

Ciepło i czułość błyszczące w jego oczach przepłynęły prosto do jej serca.

- W takim razie sama to przyznajesz?

- Niczego nie przyznaję.

- Nie odpowiedziałas na mój list.

- Jaki list? - Serce na moment przestało jej bić.

- Doskonale wiesz jaki, panno Sweetly.

- Obawiam się, że jest pan w błędzie, lordzie Razeby.

- Mylę się co do wielu rzeczy, ale nie co do tej. - Uśmiechnął się.

- Dostaję tak wiele listów.

- Och, jestem tego pewien.

- Proszę, odśwież mi pamięć. Co było napisane w tym liście? - Przygryzła usta, czekając na jego odpowiedź.

Razeby ściszył głos.

- Alice, czy naprawdę chcesz, bym powiedział to głośno? Tutaj?

Na widok zmysłowego błysku w jego oczach znów poczuła dreszcz i jej policzki zabarwił rumieniec.

- Może nie tutaj - zgodziła się. Tańczyli dalej.

- Wiem, dlaczego nie zabrałaś swoich sukien.

Serce znów zamarło w jej piersi.

- Bo chciałam kupić sobie nowe - odrzekła gładko.

Razeby uniósł brwi.

- Doprawdy?

- Teraz, gdy jestem słynną aktorką, muszę podążać za modą.

- A brylantowa bransoletka?

- Brylanty są już niemodne. Nie wiedziałaś o tym?

- A czek?

- Suma była nieodpowiednia.

- Dlaczego ci nie wierzę?

- Bo z natury jesteś podejrzliwy.

- Mam inna teorię. - Uśmiechnął się.

- Może polubiłeś noszenie damskich sukien?

Wybuchnął śmiechem.

- Mówiłaś, że dobrze wyglądam w tym starym fartuszk do sprzątanania, gdy nie mam nic pod spodem.

Ona również nie potrafiła się powstrzymać od śmiechu. Znów popatrzyli sobie w oczy, przepelnieni prostą radością wzajemnego towarzystwa.

- Nie. Mam trochę inną teorię - powiedział Razeby cicho.

Uśmiech Alice przygasł. Naraz poczuła lęk.

- Nie chcesz usłyszeć jaką, Alice?

- Nie tutaj, Razeby. Proszę.

- Nie tutaj - szepnął z ustami tuż przy jej uchu.

Tańczyli dalej, a cały Londyn na nich patrzył.

Venetia siedziała obok Alice na sofie w bawialni przy Mercer Street.

- Wczoraj wieczorem ty i Razeby... - Urwała i popatrzyła na przyjaciółkę wyczekująco.

Alice potrząsnęła głową.

- Nie jesteście znów razem, jeśli o to chcesz zapytać.

- Cały Londyn o to pyta, Alice.

Alice przełknęła.

- Moja praca polega na tym, że od czasu do czasu muszę wywołać jakiś skandal. Prawda? Poza tym to było na cel dobroczynny.

- Owszem. I dlatego może ujdzie ci to na sucho, ale tą kartą można zagrać tylko raz.

Alice unikała jej wzroku. Wiedziała, że w słowach Venetii kryje się ziarno prawdy. Tym razem im się udało, ale nie uda się po raz drugi.

- Czy wciąż grasz z nim w tę niebezpieczną grę? Alice potrząsnęła głową.

- Właściwie nigdy w nią nie grałam.

- Wciąż istnieje między wami uczucie.

To nie było pytanie, ale Alice skinęła głową i wpatrzyła się w swoją herbatę, wiedząc, że nie może już dłużej zaprzeczać.

- Och, Alice. I co zamierzasz zrobić?

- Życ dalej. Ja w teatrze, on będzie szukał żony. Nic innego nie możemy zrobić, prawda?

- Nie, chyba nie - zgodziła się Venetia i uścisnęła przyjaciółkę.

Dopiły herbatę w milczeniu.

Razeby wcale nie radził sobie lepiej. Matka odwiedziła go w domu przy Leicester Square. Jej wizyta miała wyraźny cel.

- Wydajesz się zmęczony, skarbie. Nie spałeś dobrze ostatniej nocy. - Dotknęła jego policzka i popatrzyła uważnie na twarz.

- Nie - odrzekł krótko.

Usiadła na sofie i skupiła wzrok na tacy z herbatą.

- Piłam wczoraj herbatę z Teresą Darrington - powiedziała, na pozór pochłonięta parzeniem herbaty.

Razeby jednak nie dał się zwiść.

- Doprawdy? - Stanął przy kominku, patrząc, jak matka odmierza dwie równe łyżeczki liści herbacianych i wsypuje je do dzbanka, a potem starannie zamyka szkatułkę i wsuwa klucz do kieszeni. Alice nigdy nie zamykała herbaty przed służbą. Zawsze mówiła: „a cóż mi to szkodzi, jeśli wezmą trochę, by sobie odrobinę dorobić, pod warunkiem że nie będą zbyt chciwi”. To było typowe dla niej podejście do życia.

- Rodzina jest nieco nuworyszowska. Pochodzą od kupców. Mimo wszystko jest to dobra partia - mówiła lady Razeby.

- Dlatego że Darrington ma kupę forsy? - Zastanawiał się, czy matka czytała w gazetach doniesienia o nim i o Alice podczas aukcji.

- Nie musisz wyrażać się tak wulgarnie, James. Ale owszem, jeśli chcesz to tak ująć; Należy do nich połowa młynów w Yorkshire, mają też rozległe interesy za granicą. A ich posiadłości... - Sięgnęła po czajnik i naląła gorącej wody do imbryka.

- Graniczą z posiadłościami Razebych - dokończył.

- Panna Darrington, jedyne dziecko i dziedziczka całej fortuny, debiutuje towarzysko w tym sezonie. Może już ją poznałeś?

- Nie przypominam sobie.

Matka zamieszała herbatę i znów przykryła imbryk pokrywką, a potem nastawiła klepsydrę. Była bardzo wybredna, jeśli chodziło o herbatę i zawsze parzyła ją w ściśle określony sposób.

- Przyszło mi do głowy, że mogłabym zaprosić pannę Darrington z matką na naszą małą wycieczkę w przyszłym tygodniu.

Razeby skupił wzrok na ziarenkach piasku, które zbyt szybko przesuwały się przez zwężenie klepsydry. Pędziły tak szybko jak życie wokół niego. Alice była jedyną spokojną przystankiem. W ciszy pokoju głośno rozbrzmiewało tykanie zegara. Piasek w klepsydrze już prawie się przesypał.

Skinął głową z wrażeniem, że wokół jego piersi zaciska się żelazna obręcz.

- Doskonale - stwierdziła matka. - Byłam pewna, że się zgodzisz. Wyślę dzisiaj bilecik do pani Darrington. - Uśmiechnęła się i gdy ostatnie ziarenka piasku przesypały się w klepsydrze, sięgnęła po imbryk i naląła im obojgu herbaty.

Alice żyła dalej, tak jak powiedziała Venetii. Każdego popołudnia miała próby na scenie, a każdego wieczoru występowała przed wypełnioną po brzegi widownią. Wszystkie emocje, które próbowała ukryć, wlewała w odgrywane przez siebie role. Ale stawało się to coraz trudniejsze. Czuła, że granice między rolami a rzeczywistością zaczynają się zacierać.

Ograniczyła liczbę przyjmowanych zaproszeń. Obawiała się znów spotkać Razeby'ego, a jeszcze bardziej się bała, że już więcej go nie zobaczy. Obawiała się, że odgadł wszystko i poznał całą prawdę. *Wiem, dlaczego nie zabrałaś swoich sukien.* Te słowa wciąż ją prześladowały.

Szukał żony. Musiała go unikać i trzymać się jak najdalej od niego. Powtarzała to sobie wciąż na nowo, ale serce wiedziało swoje. Bardzo chciała go znów zobaczyć. Tęskniła do jego głosu, spojrzenia, dotyku. Miała wrażenie, że utraciła część siebie samej.

Starala się wypełnić czymś całe dni. Była nieustannie zajęta, myśli zapełniała treścią sztuki i czym tylko się dało, ale to zupełnie nie pomagało. Pomimo wszystkich zajęć i otaczających ją ludzi wciąż czuła się samotna. Razeby był obecny w jej myślach, zawsze, jakby był częścią jej samej, której nie mogła się wyprzeć.

Nie mogła spać w nocy, raniem nie potrafiła się dobudzić, a jednak przez cały czas uśmiech nie schodził z jej twarzy. Z determinacją parła przed siebie. Wciąż błyszczała w Zielonym Pokoju, ale z dnia na dzień stawało się to coraz trudniejsze. Zdawało jej się, że ktoś wciąż szepcze jej do ucha jego imię. Jej serce biło w rytmie jego serca. Miała wrażenie, że wprowadzili w ruch jakąś siłę potężniejszą od nich obydwójga i żadne z nich nie ma mocy, by ją powstrzymać.

Czas płynął przed siebie równie nieubłaganie jak ziarenka piasku przesypujące się w klepsydrze matki. Razeby wiedział, że matka ma rację, oskarżając go o przeciąganie sprawy, znajdowanie wymówek i grę na czas w szukaniu żony. Stojąc w sali balowej Almacka, potrafił tylko myśleć o Alice. Taniec na aukcji napełnił go euforią, ale teraz, gdy całe dni mijały i ani razu nie widział jej na żadnym spotkaniu, życie znów zaczęło mu się wydawać jałowe. Musiał się ożenić. Wcześniej miał przed sobą jasno wytyczony cel, wszystko było czarne albo białe. Teraz widział tylko odcienie szarości. Nie myślał o przyszłości rodu Razebych ani o tym, że każdy dzień przybliża go do trzydziestych urodzin, tylko o Alice Sweetly.

- Odrobina wody oczyści nas z tego uczynku. - Podpowiedz rozległa się w pustym teatrze Covent Garden już po raz czwarty tego popołudnia.

- Odrobina wody oczyści nas z tego uczynku - powtórzyła Alice.

- Przerwa dla wszystkich. Spotkamy się znów za pół godziny - zawołał Kemble.

Aktorzy zniknęli za kulisami. Na scenie pozostała tylko Alice i Kemble. Dyrektor podszedł do niej.

- Przepraszam, że pomyliłam tę linijkę. - Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, próbując zebrać myśli. - Chyba jestem dzisiaj nieco zmęczona. - Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni przespała całą noc.

Kemble był nie tylko dobrym aktorem, ale również dobrym menedżerem i miał wysokie wymagania. To nie była pierwsza pomyłka Alice. Ostatnio zdarzało jej się to zbyt często. Wszystkie linijki, które miała w głowie, mieszały się i nie mogła sobie przypomnieć odpowied-



niej - ona, która zawsze szczyciła się doskonałą pamięcią. Dzięki tej pamięci tak długo udawało jej się ukrywać przed wszystkimi, że nie umie czytać. Spodziewała się połajanki, Kemble jednak nie wydawał się rozgniewany, lecz zmartwiony.

- Wyglądasz blado, Alice.

- Zawsze wydaję się blada, kiedy nie mam makijażu.

- Ostatnio za dużo pracowałam.

- Pracowałam za mało. - Razeby przez cały czas pozostawał w jej myślach i sercu.

- Potrzebujesz trochę wolnego. Musisz chodzić wcześniej spać i wypocząć.

- Nie potrzebuję odpoczynku. - Obawiała się, że jeśli spróbuje odpocząć, to zacznie myśleć jeszcze więcej, a nie chciała myśleć.

- Moim zdaniem tak - odparował Kemble.

- Nie, ja...

Dyrektor ojcowskim gestem położył dłoń na jej dłoni.

- Musisz być w swojej najlepszej formie, Alice. Panna Sweetly powinna błyszczeć i promienieć zadowoleniem. Wszyscy musimy tak się zachowywać.

- Przecież błyszczę, czyż nie? - zapytała, przejęta nagłym lękiem.

- Będiesz znowu błyszczeć, gdy trochę odpoczniesz. Uporządkuj to, co teraz dzieje się w twoim życiu, i wróc za tydzień. Po krótkiej nieobecności publiczność zapragnie cię jeszcze bardziej, a ja nie chcę ryzykować, że mógłbym cię stracić.

Alice splotła dłonie na czole i wzięła głęboki oddech.

- Czy uda ci się zagrać dzisiejszy spektakl?

- Oczywiście, że tak. Naprawdę dobrze się czuję. - Nie czuła się jednak dobrze i obydwójce o tym wiedzieli. Kemble skinął głową i zawołał pomocnika.

- Każ podać herbatę do garderoby panny Sweetly - polecił i znów zwrócił się do Alice. - Idź teraz na przerwę, a potem zrobimy sobie jeszcze krótką próbę przed wieczornym spektaklem.

Razeby stał przy nierozpalonym kominku w swoim gabinecie. Linwood zajął miejsce w skórzanym fotelu. Poranne światło wydawało się ostrzejsze niż zwykle. Zegar tykał zbyt głośno. Linwood zatrzymał wzrok na pustej szklance po brandy, która stała na gzymsie kominka, ale nie skomentował tego ani słowem.

- Źle spałeś, Razeby?

Razeby odwrócił wzrok. Była to okropna noc. Wszystko, co zdarzyło się wcześniej, prześladowało go i nie pozwalało mu zasnąć.

- Nie było cię u Almacka.

- Nie.

Zegar tykał coraz głośniejsze.

- To ma coś wspólnego z tobą i Alice, tak? - zapytał cicho Linwood.

Razeby przesunął dłonią po włosach, ale nie zaprzeczył.

- Wciąż jej pragniesz. - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

- Nigdy nie przestanę jej pragnąć. - Ale „pragnienie” nie było odpowiednim słowem; było zbyt przyziemne i nie oddawało tego, co czuł do Alice. Zaśmiał się sucho i potrząsnął głową.  
- Nigdy jeszcze w życiu tak się nie czułem, Linwood. Nigdy nie czułem czegoś podobnego do żadnej kobiety.

Linwood skinął głową ze zrozumieniem.

- To trudne, kiedy się przydarza.

- Nie sądziłem, że tak będzie.

- Czy Alice też to czuje?

- Nie rozmawialiśmy o tym, Linwood, i nie winię jej. Nie przyzna się przede mną, ale wierzę, że to uczucie jest obustronne.

- Wiesz, że to, co was łączy, nie minie tak po prostu.

- Wiem. - Razeby podniósł karafkę, nalał brandy do swojej szklanki i dopiero teraz zaproponował ją Linwoodowi, który odmówił.

Przełknął brandy jednym haustem, ale piekący, mocny alkohol nie przytłumił jego uczuć. Zapadło milczenie.

- Czy brałeś pod uwagę to jedno niemożliwe rozwiązanie?

- Gdyby to było takie łatwe, to ożeniłbym się z Alice i do diabła z całym towarzystwem - zaśmiał się Razeby gorzko. - Teraz jest ich ukochaną panną Sweetly, ale ty lepiej niż inni wiesz, jak by ją potraktowali. Wiesz, jak traktowali Venetię, która przecież jest córką diuka i twoja rodzina bardzo się starała ułatwić jej życie. Alice nie ma takich powiązań z nikim szlachetnie urodzonym. Obydwaj znamy jej przeszłość.

- Ale prawie nikt poza nami jej nie zna.

- Mimo wszystko. - Razeby potrząsnął głową. - Czy sądzisz, że moja matka przygarnęłaby ją do łona i chroniła, tak jak lady Misbourne chroni Venetię?

Linwood milczał, toteż Razeby odpowiedział sam sobie.

- Kocham moją matkę, Linwood, ale nie mam iluzji co do jej uprzedzeń. Prędzej rzuciła by Alice na pożarcie lwom, niż pozwoliłaby jej wejść do naszej rodziny. Teraz Alice jest ulubienicą towarzystwa, ale to by się szybko zmieniło, gdybym uczynił ją swoją żoną. Zostałaby wyklęta, traktowano by ją jak trędowatą. - Potarł czoło dłonią. - A ja nie zawsze będę mógł być przy niej, by ją chronić.

- Ale będziesz tu wystarczająco długo, by...

Razeby jednak podniósł rękę, uciszając go.

- Linwood, nie mogę się z nią ożenić.

Znów zapadło milczenie.

- Pytanie brzmi tak: czy czując to, co czujesz, jesteś w stanie ożenić się z inną kobietą?

- Muszę. - Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział ziarenka piasku przesypujące się w klepsydrze. - Muszę zapewnić dziedzica rodzinie.

- W takim razie lepiej trzymaj się z dala od Alice.

- Wiem. - W uśmiechu Razeby'ego nie było ani odrobiny wesołości. - To nie powinno być trudne. Ona mnie unika.

- W takim razie robi to, co dla was obojga najlepsze.

Razeby wiedział o tym. Wiedział, że musi trzymać się od niej z dala. Wiedział, że musi się ożenić. Wiedział, co nadchodzi. Ale to wszystko nie miało żadnego znaczenia. Całym sercem pragnął zobaczyć Alice.

# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Alice odwołała wszystkie spotkania i przez kilka następnych dni nie wychodziła z domu. Nie miała już pewności, czy na widok Razeby'ego potrafiłaby ukryć przed całym światem swoje uczucia. Była skrajnie przewrażliwiona i obawiała się, że popada w szaleństwo. Musiała złapać odrobinę dystansu i wziąć się w garść. Może Kemble miał rację, może po prostu była przepracowana, może powinna dobrze się wyspać, a potem znów uda jej się nałożyć maskę, ukrywać prawdę przed wszystkimi i przed Razebym.

Robiła, co mogła, by tak się stało. Zajęła się sprzątaniami. Całymi godzinami ścierała kurz i polerowała sprzęty, aż każdy cal drewna lśnił, a w powietrzu unosił się zapach lawendy i wosku. Ale nic nie pomagało.

W końcu poddała się tej jednej rzeczy, dzięki której czuła się bliżej niego. Z gorzkim uśmiechem powiodła palcami po grawerowanym srebrnym piórze, które jej podarował. Wyjęła list z torby podróźnej i wielokrotnie próbowała przeczytać słowa napisane jego ręką. Oczywiście nic z tego nie wynikło. Nie miała magicznej różdżki, która mogłaby sprawić, by te litery nabrały dla niej sensu. A właściwie nie miało żadnego znaczenia, co napisał, bo nic nie mogło zmienić sytuacji.

Nocą śniła o Razebym. Te sny były tak realistyczne, że czuła jego zapach, czuła ciepło jego skóry przy swojej skórze, słyszała jego głos powtarzający jej imię.

- Razeby - szepnęła, wyłaniając się ze snu. Uświadomiła sobie, że to był tylko sen, i poczucie straty stało się jeszcze bardziej dojmujące.

I tak to trwało, dopóki nie odwiedziły jej przyjaciółki.

- Gdziez ty się ukrywasz, dziewczyno? - zapytała Tilly. - Gazety rozpisują się o tym, że panna Bolton gra twoją rolę.

- Kemble próbuje dodatkowo pobudzić zainteresowanie publiczności i stwarza tajemnice, żeby zaintrygować ludzi.

- To on kazał ci się schować? - odgadła Tilly.

Alice Skinęła głową.

- Tylko na tydzień. - To właściwie nie było kłamstwo, po prostu niepełna prawda.

- Martwiłyśmy się o ciebie - powiedziała Ellen, wpatrując się w jej twarz przenikliwym wzrokiem.

- Doceniam waszą troskę, ale naprawdę nie macie powodów do zmartwienia.

- W takim razie co porabiasz? - Tilly usiadła obok niej. - Na pewno nie wiesz, co zrobić z wolnym czasem.

- Odsypiam zaległości i pozwalam skórze oddychać. Ten sceniczny makijaż jest okropny dla cery. - To mogło wytłumaczyć cienie pod oczami i bladość policzków.

- Nie chciałyśmy ci o tym wspominać.

Alice uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu dni. W obecności przyjaciółek poczuła się lepiej.

- Nie jesteś z nami zupełnie szczerą, panno Sweetly. - Ellen obrzuciła ją wymownym spojrzeniem.

Alice udało się zachować uśmiech, ale serce przestało jej bić.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Ellen pociągnęła nosem. Tilly zachichotała.

- Twój sekret się wydał, Alice. Wszędzie tu czuć wosk i lawendę.

Alice uniosła ręce w geście poddania.

- Przyznaję, posprzątałam tu trochę.

Wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem.

- Jutro wybieramy się do teatru razem z kilkoma innymi dziewczętami - powiedziała Tilly. - Wynajęłam boczną lożę z dobrym widokiem na scenę. Wiem, że wizyta w teatrze to dla ciebie nic szczególnego - jesteś tam w końcu prawie każdego dnia - ale tym razem byłabyś po drugiej stronie, na widowni. Pośmiejemy się. Powiedz, że pójdziesz.

- Naprawdę nie powinnam - odrzekła Alice, ale propozycja była kusząca.

- Oszalejesz, jeśli będziesz siedzieć w tych czterech ścianach aż do końca tygodnia - dodała Ellen.

- Może macie rację - stwierdziła Alice.

Zdawała sobie sprawę z tego, że samotność jej nie służy.

- Dobrze wiesz, że mamy rację. - Uśmiechnęła się Ellen.

- Niech będzie. W takim razie jutro wieczorem - zgodziła się Alice.

Może wieczór z przyjaciółkami był właśnie tym, czego potrzebowała?

Razemby wiedział, że zachowuje się głupio, że siedząc samotnie przy Hart Street zadaje sobie tylko niepotrzebnie tortury, ale miał perwersyjną potrzebę bycia tutaj. W każdym z tych pokoi wciąż pozostały ślady obecności Alice. Stał przy oknie w sypialni, którą niegdyś dzielili,

i patrzył na zachód słońca, popijając brandy i próbując nie myśleć o czekającym go wieczorze w towarzystwie panny Darrington i swojej matki.

Tilly miała rację. Wizyta w teatrze od drugiej strony była dla Alice nowością. Zbyt długo stała tylko na scenie. Tym razem było inaczej.

Ostrożnie nałożyła puder ryżowy i róż, by zamaskować cienie i bladość cery. Miała na sobie zieloną suknię - nie po to, by pokazać, że nie dba o wspomnienia, lecz by podkreślić, jak wiele dla niej znaczą. Gdy miała na sobie tę suknię, czuła więź z Razebym. Poza tym mogła ją bezpiecznie założyć, bo była pewna, że nie spotka go w teatrze. Okazało się jednak, że się pomyliła.

Siedziała w łoży obok Tilly i Ellen wraz z czterema innymi dziewczętami i patrzyła na scenę, choć nie docierało do niej ani jedno słowo. To ta suknia go sprowadziła, pomyślała. Ta suknia miała magiczną moc. Nie wiedziała, czy ma szlochać, czy się cieszyć.

- Cieszysz się, że cię namówiliśmy? - Tilly wsunęła ramię pod ramię Alice. - Nie mogliśmy cię zostawić w domu samej w sobotę wieczorem przy odkurzaniu mebli. Nie rozumiem, dlaczego nie każesz tego zrobić pokojówkom?

- Lubię polerować meble. Daje mi to poczucie zadowolenia. - Alice nie wspomniała jednak, że robi to tylko wtedy, gdy gnębi ją niepokój.

- Ja też lubię polerować drewno. - Pokiwała głową Ellen. - Ale nie aż tak jak ty! - Sugestywnie uniosła brwi i wszystkie dziewczęta, łącznie z Alice, wybuchnęły śmiechem.

Przez dłuższy czas starała się nie odrywać wzroku od sceny. Ani razu nie odwróciła głowy, by spojrzeć na prywatną łożę Razeby'ego. Wiedziała jednak, że on tam jest, bo Ellen wciąż tam spoglądała. Dostrzegała również spojrzenia, które dziewczęta wymieniały między sobą, gdy sądziły, że ona tego nie widzi.

Tilly pochyliła się w jej stronę i szepnęła:

- Słowo daję, nie miałyśmy pojęcia, że on tu będzie z panną Darrington!

- Kto taki? - zapytała Alice obojętnie.

Tilly uśmiechnęła się.

- Tak trzymaj, dziewczyno. Niech idzie do diabła.

Wszystkie znów wybuchnęły śmiechem, a potem skupiły się na sztuce. Było to *Wszystko dobre, co się dobrze kończy* - historia kobiety niskiego pochodzenia zakochanej w szlachcicu, który był dla niej nieosiągalny ze względu na pozycję, a poza tym nie miał żadnej ochoty ożenić się z nią. A potem nisko urodzona bohaterka, Helena, wypowiedziała słowa: „Równie do-

brze mogłabym pokochać gwiazdę i zapragnąć wziąć ją za męża". Te słowa trafiały w samo sedno. Alice miała wrażenie, że mogłaby powiedzieć to samo o Razeby. Zmusiła się, by zachować obojętny wyraz twarzy i nie pokazać po sobie, jak wielkie wrażenie te słowa na niej wywarły.

Nie odważyła się odwrócić spojrzenia od sceny, ale w gardle dławiała ją kula, a pod powiekami piekły łzy. Przetrwiała pierwszy akt i większą część drugiego, po czym poczuła, że musi natychmiast wyjść, bo inaczej wybuchnie płaczem na widowni.

- Wybaczcie, muszę wyjść na chwilę - szepnęła do Ellen.

- Czy chcesz, żebym z tobą poszła?

Alice potrząsnęła głową.

- Zaraz wrócę.

Wymknęła się z łoży i poszła do holu, szukając jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby być sama. Potrzebowała tylko kilku minut, by się opanować, chwili ucieczki od tortury emocji. Nie mogła ukrywać się przed nim wiecznie. Miała nadzieję, że z czasem stanie się to łatwiejsze, bo nie wyobrażała sobie, by mogło tak być zawsze.

W holu nie było nikogo. Wychodząc z widowni, Alice słyszała za sobą głosy dochodzące ze sceny i aplauz publiczności. Oparła się o ścianę i przymknęła oczy, zbierając siły, by dotrwać jakoś do końca wieczoru.

- Alice.

W pierwszej chwili wydawało jej się, że wyobraźnia płata jej figle. Serce zamarło w piersi, a potem znów ruszyło w szalonym tempie. Otworzyła oczy. Razeby stał tuż obok niej.

- Widziałem, jak wychodziłaś z łoży. Czy źle się czujesz?

- Czuję się dobrze. - Próbowała się uśmiechnąć, ale usta nie chciały jej posłuchać. - Chciałam tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

Patrzyli na siebie. Odgłosy dochodzące od strony widowni i sceny wydawały się bardzo odległe. Wydawało im się, że są jedynymi ludźmi na świecie.

- Nie było cię na scenie od kilku dni.

- To był pomysł Kemble'a, żeby zwiększyć zainteresowanie teatrem - powtórzyła tę samą wymówkę.

- Mimo że widownia jest pełna po brzegi za każdym razem, kiedy występujesz? - Razeby lekko uniósł brwi.

Zapadło milczenie.

- Nie było cię też na żadnych tańcach ani przyjęciach.

- Potrzebowałam trochę odpoczynku.

- Wiem, że mnie unikasz, Alice.

Potrząsnęła głową, ale nie spuściła oczu z jego twarzy. Zauważyła, że on również ma cienie pod oczami.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Wszyscy mi to mówią.

- Przykro mi.

- Mnie też. - Wiedziała, że nie rozmawiają już o jego zmęczonej twarzy.

- Powinam już wrócić. Dziewczyny będą się zastanawiały, gdzie jestem - powiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Co do sukien w twojej garderobie...

- Nie, Razeby. Proszę.

- Nie tutaj? - Znów uniósł brwi, ale tym razem na jego twarzy zaigrał uśmiech.

Alice odpowiedziała mu uśmiechem.

- Z pewnością nie tutaj.

Popatrzyli na siebie wzrokiem tak pełnym emocji, że uśmiechy przygasły.

- Znam powód, Alice.

Przymknęła oczy.

- Nie - szepnęła i potrząsnęła głową.

- Wydawało mi się, że najgorsza tortura to patrzeć na ciebie i nie móc cię mieć, ale gdy cię nie widzę, jest jeszcze gorzej.

- Ja czuję to samo. - Przycisnęła dłoń do czoła. - Ale nie możemy tego robić, Razeby.

- Nie potrafię przestać.

Znów na niego spojrzała. Teraz już żadne z nich nie próbowało żartować. Między nimi była tylko brutalna szczerłość i cierpienie wywołane tęsknotą. Cisza stawała się coraz bardziej donośna. Razeby podszedł bliżej, wciąż patrząc jej w oczy.

- Tęsknię za tobą, Alice. Tak bardzo za tobą tęsknię.

Był tak blisko, że widziała złote iskierki w jego oczach, każdą ciemną rzęsę, niebieskawy cień na policzkach. Czowała zapach, który co noc pojawiał się w jej snach.

- Ja też za tobą tęsknię, Razeby.



Usłyszeli jakiś dźwięk. Ktoś wychodził z łoży i kierował się do holu. Razeby zareagował natychmiast. Pochwycił ją za rękę i pociągnął w stronę najbliższego korytarzyka, potem skręcił w inny, jeszcze w kolejny i przyparł ją do ściany, zasłaniając swoim ciałem przed ciekawskim wzrokiem kogoś, kto mógłby akurat tędy przechodzić. Ale w tym labiryncie korytarzyków nie było nikogo. Nie dochodziły tu dźwięki z widowni, nie słychać było żadnych kroków, tylko odgłos jej oddechu i głośnie bicie serca.

Stał zbyt blisko. Jego palce wciąż obejmowały jej dłoni. Wiedziała, że nie powinno jej tu być, że powinna uwolnić rękę i odejść, ale nie poruszyła się.

Razeby znajomym gestem potarł kciukiem o jej palce.

- Nie powinniśmy tego robić - szepnęła, splatając palce z jego palcami.

- Nie powinniśmy - zgodził się i delikatnie dotknął jej policzka.

W jego oczach widziała odbicie własnych uczuć.

- Razeby - szepnęła.

Było tak wiele rzeczy, o których nie mogli rozmawiać. Tak wiele napięcia, tak wiele tęsknoty. Powietrze dokoła nich wydawało się ciężkie i naelektryzowane jak przed gwałtowną burzą. Pragnęła go jak jeszcze nigdy wcześniej. Bez niego czuła się rozpaczliwie samotna.

Wsunął palce w jej włosy.

- Alice - powtórzył z cierpieniem w głosie.

Patrzyli sobie w oczy. Zdawało się, że ta chwila trwa wieczność. W końcu pochylił twarz i jego usta z całą siłą opadły na jej usta. Razeby. Jego imię rozbrzmiewało jej w głowie, dudniło w całym ciele. Poddała mu się, biorąc i dając bez ograniczeń. Nie było w tym nic z udawania, żadnego poczucia winy, wstydu czy niestosowności. Istniała tylko ta chwila, ten mężczyzna, którego kochała całą swoją istotą, druga połowa jej samej, jej serce, jej życie. Był jak haust świeżego powietrza w chwili, kiedy powoli zaczynała się dusić.

- Razeby. - Tym razem powiedziała to na głos i lekko pochwyliła zębami jego podbródek. Jej dłonie wsunęły się pod kamizelkę i wyciągnęły poły koszuli ze spodni. Dotknęła znajomej, cieplej skóry.

Nie mogło być mowy o oporze z żadnej strony. Wir porwał ich oboje z równą siłą. Poddała mu się, poddała się pocałunkom, namiętności i uczuciu. Pragnęła go, potrzebowała, tęskniła za nim; nie potrafiła się powstrzymać.

Ostro wciągnął oddech i drgnął pod jej dotykiem.

- Potrzebuję cię, Alice - szepnęła jej prosto do ucha, lekko przygryzając płatek.

- Ja też cię potrzebuję - przyznała bez tchu.

Zdawało się, że czas się zatrzymał. Znów popatrzyli sobie w oczy. Oboje wiedzieli, że musi do tego dojść, że są bezradni wobec siły uczucia szalejącego między nimi. W ciszy panującej dokoła ich oddechy wydawały się ogłuszająco głośne. Patrzyli sobie w oczy, bezskutecznie próbując zwalczyć siłę, która ciągnęła ich do siebie.

- Och, Razeby - szepnęła Alice i w tym momencie padły ostatnie mury obronne.

Razeby przyparł ją do ściany i podciągnął spódnicę do góry, a ona sięgnęła do guzików przy jego spodniach. Nakrył palcami jej drżącą dłoń i patrząc jej w oczy, sam opuścił spodnie. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Podniósł ją do góry, przycisnął do ściany i już po chwili był w niej, tam, gdzie było jego miejsce.

Alice westchnęła z głęboką ulgą.

- Chcesz tego? - szepnął. - Chcesz mnie?

- Ciebie i nikogo innego, Razeby - odparła urywanym głosem.

- Ciebie i żadnej innej, Alice - odpowiedział.

Wszystko znalazło się na swoim miejscu. Ich ciała stopiły się ze sobą. Oddychali głośno, kołysząc się w jednym rytmie, i w tym samym momencie dotarli do szczytu. Alice miała wrażenie, że się rozplywa, zupełnie jakby połączony blask słońca i księżyca rozprysnął się na miliard srebrzystych iskier nie pozostawiając po sobie nic, absolutnie nic oprócz wrażenia dwóch połączonych ze sobą dusz.

Przywarli do siebie mocno.

- Alice - szepnął Razeby.

Zdawało się jej, że tym jednym słowem odzwierciedlił całą miłość, którą do niego czuła.

- Kochany - odszepnęła.

Gdy ją pocałował, poczuła słony smak łez, ale nie wiedziała, z czyich oczu te łzy wypłynęły.

W oddali zadzwonił dzwonek. Zaczęła się przerwa, ale ich ciała nie chciały się rozdzielić. Słyszeli otwieranie i zamykanie drzwi i szmer głosów w pobliskim holu. Razeby wciąż był w niej. Ich serca biły w jednym rytmie. Patrzyli sobie w oczy. Alice objęła jego twarz, gładziła jego skórę, z czułością patrzyła mu w oczy.

- Razeby, to jest niemożliwe. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem. - Przymknął oczy i dotknął ustami jej czoła. - Niech Bóg ma nas obydwój w opiece - szepnął.

W korytarzu rozległy się kroki. Alice wciąż nie była w stanie się poruszyć. To Razeby odsunął się od niej, opuścił jej spódnicę i zasłonił przed oczami tego, kto tamtędy przechodził. Kroki nie zatrzymały się, szły dalej, aż ucichły w oddali.

- Tu jesteś, Alice! - zawołała Tilly, biorąc ją pod rękę w zatłoczonym holu. - Zastanawialiśmy się, gdzie się podziałaś.

- Dobrze się czujesz?

Poczuła na sobie przenikliwe spojrzenie Ellen i policzki zaczęły ją palić.

- Oczywiście, że tak - powiedziała i zwróciła się w bezpieczniejszą stronę, do Tilly.

Po antrakcie wróciły na widownię. Światło przygasło i widzowie usiedli na miejscach. Aktorzy znów pojawili się na scenie. Alice poszukała wzrokiem łoża Razeby'ego. Siedział tam, przystojny i opanowany, ale jego wzrok nie kierował się na scenę ani na bogatą młodą kobietę, która siedziała obok niego. Patrzył na Alice. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, pomyślała.

Po spektaklu Razeby odwiózł Darringtonów oraz swoją matkę bezpiecznie do domu, a potem siedział samotnie w gabinecie domu przy Leicester Square. Z portretu nad kominkiem spoglądał na niego ojciec, siódmy markiz Razeby namalowany przez sir Joshuę Reynoldsa. Był tak do niego podobny, że Razeby miał wrażenie, że patrzy na swoje odbicie w lustrze - te same ciemne włosy, brązowe oczy, ten sam dołek w podbródku. Ojciec miał dwadzieścia dziewięć lat, gdy namalowano ten portret. Był w tym samym wieku, w którym Razeby był teraz. W rok później ojciec leżał już w trumnie. Zmarł w wieku trzydziestu lat na gruźlicę płuc, wypełnił jednak swój obowiązek i zostawił syna, któremu przekazał nazwisko i tytuł. Razeby przez całe życie wiedział, że musi zrobić to samo.

- Czy z tobą też tak było? - zapytał szeptem, po raz pierwszy zastanawiając się nad małżeństwem rodziców. Pobrali się w młodym wieku. Matka była córką pomniejszego barona. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy zastanawiać się, czy rodzice byli razem szczęśliwi. Czy byli w sobie zakochani? Czy przed matką była jakaś inna kobieta, którą ojciec kochał i z którą nie mógł się ożenić?

Nalał sobie brandy i wypił ją zbyt szybko.

- Do diabła - zaklął pod nosem.

Miał wrażenie, że trafił do piekła. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział twarz Alice - nieśmiały, radosny uśmiech, od którego jego serce wypełniało się ciepłem, piękne niebieskie oczy, radosne jak wiosenny dzień, a czasem pociemniałe z namiętności. Więzy między nimi pojawiła się już przy pierwszym spotkaniu w Zielonym Pokoju. Potrafiła go rozdrażnić i

ułagodzić. Przy niej czuł się swobodnie, zarazem rozluźniony i podniecony. Miał wrażenie, że ona rozumie go w pełni i że on rozumie ją. Brakowało mu teraz tej swobody, tej naturalnej więzi, wymiany spojrzeń, słów, uśmiechów. Brakowało mu jej towarzystwa. Żadna kobieta nie była do niej podobna i wiedział, że już nigdy takiej drugiej nie spotka. To ona była tą jedyną, tak jak powiedział jej tamtego dnia w Królewskiej Akademii.

Znów nalał sobie brandy. Przez całe życie ciążył nad nim wyrok. Wiedział, co nadchodzi. Wiedział, że nie przekroczy trzydziestki, i z tego powodu starał się żyć pełnią życia, wycisnąć z niego wszystko do ostatniej kropli, wykorzystać każdą minutę. Ale tak było, zanim pojawiła się Alice.

Zanim ją poznał, uważał, że pełnia życia polega na spełnianiu własnych kaprysów, poszukiwaniu dreszczu podniecenia, na hedonistycznych przyjemnościach. Tym właśnie miała być Alice - romanssem, ostatnim promieniem światła przed zapadnięciem zmroku. Ta znajomość miała potrwać kilka tygodni, dopóki namiętność nie opadnie, tymczasem zmieniła wszystko. Teraz rozumiał różnicę między przyjemnością a szczęściem. Rozumiał co znaczy kochać kogoś.

Napełnił szklankę i popijając brandy, stanął przy oknie i wpatrzył się w mrok. Wciąż czuł zapach Alice czuł jej dotyk. Wiedział, że po tym, co zdarzyło się między nimi w teatrze, nie może ożenić się z inną kobietą.

Miłość czy obowiązek? To było wielkie pytanie, które sobie zadawał, odkąd poznał Alicę Sweetly. Ale po dzisiejszym wieczorze nie miał wyboru. Stał i patrzył na pierwsze promienie brzasku przełamujące mrok.

W nocy padało, ale rankiem niebo było błękitne. Słońce sączyło się przez okna wynajętego mieszkania przy Mercer Street. Alice owinęła się mocniej kołdrą i znów wróciła myślami do ostatniego wieczoru w teatrze. Całe jej ciało było ożywione, ale ból serca jeszcze się pogłębił. Była na siebie zła za słabość, chociaż wiedziała, że siła tego, co ich łączyło, przewyższa wszystko.

Pragnęła go, tęskniła do niego, kochała go. To, co się działo między nimi, było równie naturalne jak oddychanie. Wciąż czuła jego zapach, dotyk palców, słowa szeptane prosto do ucha i wiedziała, że gdyby pojawił się tu teraz, zrobiłaby to samo, choć miała świadomość, że jest to niewłaściwe i może tylko pogorszyć sytuację.

Pomyślała o bogatej pannie Darrington, która siedziała w łoży teatralnej obok Razeby'ego. To panna Darrington albo podobna do niej kobieta miała zostać jego żoną i urodzić mu dzieci.

W przyszłości musi go zupełnie unikać. Musi wychodzić z pokoju, gdy go zobaczy, choćby patrzył na to cały Londyn. I nigdy, przenigdy nie wolno jej zostać z nim sam na sam. Skoro już wiedziała, że nie może sobie ufać, to był jedyny sposób.

Późnym popołudniem następnego dnia pokojówka weszła do sypialni Alice i powiedziała, że lord Razeby czeka na nią w salonie.

Serce Alice przestało bić. Na pozór spokojnie odłożyła ściereczkę i słoik z politurą na stół.

- Mówiłam ci, że nie przyjmuję żadnych gości.

Policzki pokojówki oblały się czerwienią.

- Pan Razeby bardzo się uparł, proszę pani. Nie mogłam go powstrzymać.

Alice skinęła głową. Wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Dziewczyna nie miała szansy w starciu ze zdeterminowanym Razebym.

- Powiedz mu, że zaraz zejdem.

Ale w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi sypialni. Wiedziała, kto stoi za progiem, i w panice przymknęła oczy, świadoma, że to nie z nim będzie musiała walczyć, lecz ze sobą.

- Wszystko w porządku, Meg. Możesz go wpuścić i zostawić nas samych.

Dziewczyna skinęła głową, dygnęła i wyszła. Razeby stanął w progu, oparty ramieniem o futrynę drzwi.

- Nie powinieneś tu przychodzić.

- Przyszedłem, żeby z tobą porozmawiać.

- Rozmawialiśmy już wczoraj wieczorem w teatrze. To wystarczy.

- To nie wystarczy.

Serce znów zabiło jej mocniej, a krew w żyłach popłynęła szybciej.

- Obydwoje wiemy, że to, co się zdarzyło wczoraj, nie powinno się zdarzyć. To tylko pogarsza sytuację. Musisz stąd wyjść. Natychmiast. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, Razeby.

- Ale ja mam ci coś do powiedzenia, Alice.

# ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przez chwilę milczał.

- Chciałbym cię o coś zapytać, Alice - powiedział w końcu.

- W takim razie zejdź na dół i zaczekaj na mnie w salonie. Możemy tam porozmawiać. - Łóżko znajdowało się tuż za jej plecami, a ona zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z własnej reakcji na niego. Ale ramię Razeby'ego, oparte o futrynę, nie drgnęło. Jego wzrok powoli wędrował po jej twarzy i całej sylwetce. Na chwilę zatrzymał się na lśniącym blacie toaletki, gdzie spoczywała ściereczka, słoik z woskiem i lawendowa polerka, a potem znów wrócił na jej twarz.

- Czy czujesz się zdenerwowana, Alice? - zapytał niskim, aksamitnym głosem i uśmiechnął się, gdy drgnęła.

Owszem, była zdenerwowana od chwili, gdy się pojawił. Spojrzała na znoszony fartuch, który miała narzucony na suknię, i zarumieniła się. Drżącymi rękami próbowała odwiązać taśmki, ale węzeł tylko zacisnął się mocniej.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Podszedł do niej powoli. Przymknęła oczy, gdy jego palce otarły się lekko o jej plecy.

- Naprawdę nie powinieneś tu przychodzić, Razeby.

- Już mi to powiedziałaś. - Znów się uśmiechnął i uwolnił ją z fartucha.

Przełknęła ślinę, zdjęła fartuch i skupiła się na składaniu go w schludną kostkę. Razeby wyjął fartuch spomiędzy jej palców i wsunął do kieszeni żakietu.

- Nie grasz czysto - szepnęła, patrząc mu w oczy.

- Czyściej, niż mogłabyś przypuszczać.

Popatrzyli na siebie.

- Czego chcesz?

- Ciebie - odpowiedział.

Westchnęła i przymknęła oczy.

- To niemożliwe - szepnęła. - Nie możemy tego robić. Ja nie mogę. Rozumiesz?

- Rozumiem aż nazbyt dobrze.

- W takim razie po co tu przyszedłeś?

- Do ciebie.

- Nie rozumiem. - Potrząsnęła głową zmieszana i zraniona, zarazem pragnąc, by wyszedł i by został.

- Kocham cię, Alice.

- Och, Boże - westchnęła, podnosząc drżącą dłoń do ust. - Co ty mi robisz, Razeby?

- Mówię ci prawdę. Proszę, żebyś za mnie wyszła.

Wpatrywała się w niego bez słowa, czując, że kolana uginają się pod nią. Krew dudniła jej w uszach. Przytrzymał ją, nim zdążyła upaść.

- Ten żart jest zbyt okrutny - szepnęła, drżąc jak liść.

- To nie jest żart.

Zastanawiała się, czy Razeby jest pijany.

- Chyba wypileś za dużo brandy.

- Nie miałem dzisiaj w ustach ani kropli. - Uśmiechnął się.

- Nie możesz się ze mną ożenić - odrzekła twardo.

- Dlaczego? Nie chcesz mnie?

- Razeby. Jestem aktorką.

- Wiem, kim jesteś.

- To nie jest to samo, co z Venetią i Linwoodem. Ona też była aktorką, ale jej ojciec był księciem. A Linwood miał pętlę na szyi. Cały Londyn zrozumiał, dlaczego wzięli ślub i z tego powodu był w stanie im wybaczyć. - Przełknęła. - Ale z nami jest inaczej. Popatrz na mnie. Urodziłam się i wychowałam w chacie pod Dublinem. Chodziłam boso i miałam tylko jedną sukienkę. A potem pracowałam w domu uciech.

Brązowe oczy Razeby'ego nieruchomo wpatrywały się w jej twarz.

- Zrujnowałabym ci życie i nazwisko, wszystko, na co twoja rodzina tak ciężko pracowała. Londyn wykląłby nas oboje.

- To prawda - zgodził się. - A ja nigdy nie naraziłbym cię na to, byś musiała samotnie znosić ogólne potępienie.

- Jesteś markizem, Razeby. Nie możesz od tego uciec.

- Nie mogę?

Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową z niezrozumieniem.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie muszę być markizem.

- Skoro nie piłeś dzisiaj brandy, to znaczy, że oszalałeś.

- Nigdy w życiu nie myślałem tak trzeźwo jak teraz.
- W takim razie powiedz mi, o co ci chodzi, bo ja nic z tego nie rozumiem.
- Mam wybór między tobą a obowiązkiem, Alice, i wybieram ciebie.

Patrzyła na niego, niezdolna uwierzyć w te słowa. To było jak sen. Coś, czego nigdy sobie nawet nie wyobrażała.

- Nie muszę być markizem Razeby. Mogę zrezygnować z tego wszystkiego dla ciebie. Niech Atholl zarządza posiadłościami i weźmie sobie tytuł. On ma głowę na karku. A gdy wróci do Anglii, będzie potrzebował czegoś, na czym mógłby się skupić. Nigdzie się stąd nie ruszy przez bardzo długi czas.

- Przecież nie możesz tak po prostu oddać tytułu, który odziedziczyłeś. Tak się nie da.

- Nie. Ale gdybym zniknął, nie zabierając ze sobą niczego oprócz tego, co mam na sobie? - uniósł brwi. - Moglibyśmy uciec razem, Alice. Wyjechać za granicę. Po jakimś czasie uznano by mnie za zmarłego, a tytuł, posiadłości i wszystko, co się z tym wiąże, przeszłoby na następnego mężczyznę w rodzinie, czyli na Atholla. I w pewien sposób miejsce Razebych w Izbie Lordów zostałyby zachowane.

- Mówisz poważnie?

- Nigdy nie mówiłem bardziej poważnie.

Kręciło jej się w głowie. Była wstrząśnięta. Nie mogła uwierzyć, że on gotów jest oddać całe swoje dziedzictwo wszystko, co kochał i o co się troszczył, dla niej.

- Chcę cię mieć za żonę, Alice. I jeśli jest to jedyny sposób, żeby się z tobą ożenić, to tak zrobię. A więc? - Przez cały czas patrzyli sobie w oczy. - Czy wyjdiesz za zwykłego Jamesa Brundella?

Miała wrażenie, że serce lada chwila wyskoczy jej z piersi. Kochał ją. Chciał ją mieć za żonę. Tak! - miała ochotę wykrzyknąć. Tak! I gdyby nie kochała go tak bardzo, to właśnie by zrobiła: zarzuciłaby mu ramiona na szyję i powiedziała, że wyjdzie za niego bez względu na to, jak się będzie nazywał, nawet gdyby nie miał ani grosza i gdyby musieli mieszkać do końca życia w jakiejś nędznej chacie. Ale kochała go i z tego powodu wiedziała, że nie może tego zrobić.

- To, co proponujesz, ma tak wielkie znaczenie dla twojego życia, dla twoich ludzi, dla całego twojego dziedzictwa.

- To moja decyzja. Mam prawo ją podjąć.

- Chcesz odejść od wszystkiego, czym jesteś, od wszystkiego, co kochasz.



- Nie od wszystkiego - odrzekł z płomieniem w oczach.

- Chcesz, by cię uznano za zmarłego i by inny mężczyzna zajął twoje miejsce. Razeby, nie mogę ci na to pozwolić.

- Wszyscy prędzej czy później umrzemy - rzekł cicho i na jego twarzy odbiła się spokojna rezygnacja.

- Ale nie możesz odejść od obowiązków. Żałowałbyś tego do końca życia - szepnęła.

Nie zaprzeczył.

- Życie bez ciebie będzie dla mnie gorszym losem. Wybieram mniejsze zło. Nie odwiedź mnie od tego, Alice. Podjąłem już decyzję.

Widziała w jego oczach prawdziwą determinację. Gotów był oddać duszę, by mieć ją. Wiedziała, że go to zniszczy - może nie dzisiaj ani nie jutro, ale w końcu taki dzień nadejdzie, a wtedy będzie już zbyt późno, by cokolwiek naprawić. Nie będzie powrotu. Nie mogła pozwolić, by tak się stało.

- Wrócę do ciebie. Wprowadzę się na Hart Street i znów będę twoją kochanką. Ożeń się z twoją panną Darrington, czy z kim tam chcesz. Możemy zachować dyskrecję. Zniosę to, Razeby.

Uśmiechnął się do niej i lekko dotknął kciukiem jej ust.

- Ale ja nie zniosę. - Popatrzył jej w oczy. - To ciebie chcę, Alice. Ciebie kocham. Nie mogę ożenić się z inną kobietą.

Miała ochotę rozplakać się z radości i smutku. Razeby, człowiek, dla którego honor i obowiązek były wszystkim. Miłość do niej rozdzierała mu serce. Wiedziała już, co musi zrobić. Tak naprawdę nigdy nie miała innego wyjścia.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć, Razeby

- Już nie jestem dla ciebie Razeby, tylko zwykłym Jamesem.

- Dobrze, James. - Uśmiechnęła się, on jednak nie odpowiedział jej uśmiechem.

- Nad czym chcesz się zastanawiać?

- Nad wszystkim. Nie każdego dnia dziewczyna słyszy oświadczenia.

- Chyba nie. - Dopiero teraz zobaczyła jego promienny uśmiech.

Skinął głową.

- Dwadzieścia cztery godziny i ani chwili dłużej. Wrócę tu, żeby usłyszeć twoją odpowiedź.

Pocałował ją namiętnie. Przywarła do niego i gdy już miał wyjść, nie wypuściła go. Gładziła jego twarz, całowała go czule, z całą miłością, która płonęła w jej sercu.

- Pozwól mi cię kochać, Razeby - powiedziała i w myślach dodała: po raz ostatni.

Pozostała w łóżku jeszcze długo po tym, jak Razeby wyszedł. Ciało było zaspokojone i gdy dotknęła ręką łóżka po jego stronie, wciąż czuła jego ciepło. Kochała go z całego serca, każdym oddechem, całą swoją istotą, ale miłość nie składała się tylko ze słodczy, miękkości i ładnych rzeczy. Czasami dla miłości trzeba było podejmować najtrudniejsze decyzje i robić najtrudniejsze rzeczy na świecie.

Alice nigdy wcześniej nie kochała i nie sądziła, by znów mogła pokochać. Dla niej istniał tylko Razeby. Był jednak najbardziej zdeterminowanym człowiekiem, jakiego знаła. Podjął decyzję i wiedziała, że nie uda jej się go przekonać. Małżeństwo z nim byłoby spełnieniem wszystkich jej marzeń. Być jego żoną, kochać go i być przez niego kochaną - czegoż więcej mogłaby pragnąć od życia? To była radość i szczęście. Jeśli istniał raj, to tycie z Razeby byłoby rajem.

Ale to życie zniszczyłoby go. Czyż to mogło prowadzić do szczęścia? Dlatego musiała zrobić najtrudniejszą rzecz na świecie. Aby ocalić mężczyznę, którego kochała, musiała poświęcić własne serce i sprawić, by znienawidził ją na zawsze. Czasami trzeba być okrutnym, by okazać dobroć.

Był tylko jeden sposób, aby Razeby pozwolił jej odejść, jedna sztuczka, która zadziała na pewno. Na myśl o tym serce jej drżało i oblewał ją zimny pot. Bała się jak jeszcze nigdy w życiu, ale wiedziała, że to właśnie musi zrobić.

Przymknęła oczy i przypomniała sobie czułość w jego wzroku. Już nigdy więcej tak na nią nie popatrzy. Nigdy. Odepchnęła tę myśl i podniosła się z łóżka. Musiała być silna za nich oboje.

Razeby pojawił się w jej mieszkaniu następnego popołudnia o czwartej, dokładnie dwadzieścia cztery godziny po tym, jak jej się oświadczył. Alice miała na sobie spacerową żółtą suknię, którą nosiła tamtego dnia w Hyde Parku, a na ramionach kaszmirowy szal. Na kominku płonął niewielki ogień. Przez okna do środka wpadało światło słoneczne. W pokoju było ciepło, ona jednak czuła się zziębnięta do szpiku kości i wydawało jej się, że już nigdy nie uda jej się rozgrzać.

Razeby miał na sobie czarny strój do jazdy konnej i dopasowane bryczesy z jeleniej skóry. Skórzane buty błyszczały w słońcu. Krok miał nieco arogancki, a z całej jego postawy biła

pewność siebie. Został wychowany na przywódcę. Wszystko w jego postaci świadczyło o tym, że jest markizem. Alice była pewna, że postępuje słusznie.

- A więc, Alice - powiedział cicho. - Przyszedłem po odpowiedź.

Żołądek zacisnął jej się tak mocno, że poczuła mdłości. Żadne słowo nie chciało przejść przez zaciśnięte gardło.

- Czy wyjdiesz za mnie?

Serce dudniło jej głośno. Zmusiła się, by podnieść głowę. Zacisnęła palce na szalu tak mocno, że zdrętwiały.

- Niestety, moja odpowiedź brzmi: nie.

Zaśmiał się krótko, ze zdziwieniem, jakby nie uwierzył.

- Czy chcesz mnie ocalić przede mną samym, Alice? Bo jeśli o to chodzi, to nie przyjmuję odmowy.

Podszedł bliżej i serce zamarło jej w piersi.

- To nie jest żadna gra - powiedziała, cofając się o krok. - Nie wyjdę za ciebie, Razeby.

- Dlaczego? - Uniósł brwi, wciąż patrząc jej w oczy. - Wiem, że mnie kochasz.

- Nie. Mylisz się. Nie kocham cię i nigdy cię nie kochałam. - Odwróciła wzrok, żeby oczy jej nie zdradziły.

- Nie wierzę ci. Nie potrafisz nawet popatrzeć mi w oczy, kiedy to mówisz.

Zwinęła dłonie w pięści, wbijając paznokcie w ich wnętrza, i zmusiła się by napotkać jego wzrok.

- Nie kocham cię, Razeby.

- A to, co działo się między nami wczoraj?

- To był tylko seks.

- To było coś o wiele więcej niż seks.

- Udało mi się sprawić, byś w to uwierzył. Za to płaci się kurtyzanom, a ja jestem dobra w tym, co robię.

Pochwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, bezlitośnie przesywając ją wzrokiem.

- Nigdy więcej nie nazywaj siebie tym słowem, rozumiesz?

Skinęła głową, przełknięta jego siłą. Jego uchwyt nieco się rozluźnił.

- A poza tym - dodał miękko - nie zapłaciłem ci ani za wczoraj, ani za tamten dzień w teatrze.

- Możesz uznać, że dostałeś premię ze względu na nasz wcześniejszy układ.

- Ja jestem gotów porzucić wszystko dla ciebie, a ty mówisz, że mnie nie chcesz? - zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Cóż, właśnie na tym polega problem, Razeby. - Przez całą noc przygotowywała sobie słowa, które musiała mu powiedzieć i które mogły go przekonać. Wielokrotnie powtarzała je w myślach, ale teraz, gdy przyszło jej wypowiedzieć, miała wrażenie, że w jej gardle tkwi ość. Wzięła głęboki oddech i zmusiła się, by powiedzieć: - Nie interesuje mnie mężczyzna bez pieniędzy i tytułu. Taki mężczyzna nie będzie potrafił utrzymać mnie na poziomie do którego przywykłam. Nie chcę być żoną biedaka. Nie chcę uciekać do innego kraju ani spędzać całego życia na gotowaniu i sprzątaniu, mieć ręce jak praczka i nieustannie walczyć o to, by związać koniec z końcem. Znam takie życie. Przyjechałam do Londynu, by uciec od biedy i nie wrócić do niej, by stać się twoją żoną.

Patrzył na nią w milczeniu, jakby nie rozumiał tego co powiedziała.

- Więc to nie mnie chcesz - powiedział powoli - ale moich pieniędzy, tytułu i władzy?

Skinęła głową, zmuszając się, by nie odwrócić wzroku. Wciąż patrząc mu w oczy, doprowadziła kłamstwo do końca.

- Jeśli nie chodziło o miłość, tylko o zysk, dlaczego nie zabrałaś sukien, bransolety i pieniędzy?

- Żeby zwiększyć twoje zainteresowanie. To była tylko gra, żeby cię odzyskać.

- Uwierzyłem, że mnie kochasz.

Przełknęła. Powietrze wdychane do płuc wydawało jej się lodowate. Co on jej wtedy powiedział w galerii? Jeśli nie chcemy się czegoś wyrzec, najlepsze jest szybkie, czyste cięcie.

- Nigdy tego nie powiedziałam, Razeby. - To był cios, który miał ich rozdzielić na zawsze. - Ani razu.

Cios był celny. Widziała to w jego oczach. Była pewna, że to zadziała.

- To prawda. Nie powiedziałaś - rzekł cicho. - Jaki byłem głupi, że tego nie zauważyłem.

Napięcie między nimi stawało się coraz większe. Nie miała wcześniej pojęcia, że potrafi być tak silna i tak podła. Stała tu, z zimnym wyrachowaniem łamiąc jego serce, a przy okazji również i własne. Zmusiła się do czegoś w rodzaju uśmiechu.

- Jesteś miłym człowiekiem, Razeby. Masz dobre serce i jesteś hojny. Jesteś też doskonałym kochankiem - przełknęła i uśmiech zniknął. Miała wrażenie, że jakaś dłoń zaciska jej się na gardle. - Ale widzisz, przyciągnęło mnie do ciebie to, że byłeś markizem, bogatym i wpływo-

wym, a także przystojnym. Wiem, kim jestem w twoich oczach, ale nigdy nie udawałam, że jestem kimś innym.

Razeby nic nie powiedział, tylko patrzył jej w oczy z gniewem i niechęcią, jakich nigdy jeszcze u niego nie widziała. Woląла jednak znosić tę pogardę i nienawiść niż świadomość, że Razeby zniszczy siebie samego. Jeśli uzna ją za samolubną dziwkę, jeśli uzna, że popełnił błąd i cudem udało mu się umknąć z jej szponów, to z radością odejdzie i zostawi ją w spokoju, a jego rany zagoją się z czasem. Nie myślała teraz o własnym cierpieniu. Razeby ożeni się z jakąś bogatą, odpowiednią kobietą i spłodzi dziedzica. Będzie zajmował się swoimi ludźmi i swoimi posiadłościami. Będzie wielkim człowiekiem - takim, jakim powinien się stać.

Czuła jego gniew, z trudem powstrzymaną wściekłość i mroczne emocje. Napięcie w jego wzroku stawało się nieznośne. Nie wiedziała, jak długo jeszcze uda jej się to znieść. Jakaś część jej duszy pragnęła paść na kolana, wyznać mu całą prawdę, otoczyć ramionami, przytulić do piersi i powiedzieć, że go kocha, ale inna część, ta silniejsza, gotowa była na absolutnie wszystko, by go ocalić.

Nie wypowiedział ani jednego słowa, tylko wyjął kilka monet i wyciągnął do niej rękę. Na dłoni leżały dwa błyszczące złote suwereny. Wiedziała, co to ma być. Rozumiała, za co Razeby chce jej zapłacić - za miłość poprzedniego dnia i w teatrze. Patrzyła na monety, nie poruszając się.

- Weź je - powiedział zabójczo spokojnym głosem.

To była ostatnia próba, ostatnie poświęcenie, które musiała uczynić. Wyciągnęła rękę i zgarnęła z jego dłoni dwa suwereny.

Razeby skrzywił usta i z niedowierzaniem potrząsnął głową, a potem odwrócił się i bez jednego spojrzenia wyszedł z sypialni. Usłyszała jego szybkie kroki na schodach, a potem trzaśnięcie frontowych drzwi, tak mocne, że cały dom zadrżał. Nie poruszyła się. Stała jak zastygła z przerażenia, szoku i cierpienia. Stała tak i stała. Czas się dla niej zatrzymał.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, nim w końcu usłyszała głos pokojówki.

- Czy dobrze się pani czuje?

Rosie, najmłodsza z pokojówek, stała nieśmiało przy drzwiach sypialni. Alice skinęła głową.

- Idź stąd - szepnęła.

Pokojówka jednak nie poruszyła się, patrząc na nią z przerażeniem i troską w oczach.

- Powiedziałam: idź stąd. Zostaw mnie samą - powtórzyła Alice głośniejszym głosem.

Dziewczyna dygnęła, zamknęła drzwi i oddaliła się pośpiesznie.

Alice wciąż stała w tym samym miejscu, wpatrując się w podłogę, ale nie widziała ani jasnego tureckiego dywanika, ani ciemnych, wypolerowanych desek. Była jak ślepa i głucha. Powoli odwróciła się, podeszła do łóżka i usiadła na krawędzi z wrażeniem, że jej pierś ścisną żelazna obręcz, która nie pozwala jej oddychać.

Razemby był bezpieczny, ale zapłaciła za to przerażająco wysoką cenę. Zapłaciła za to całą swoją istotą, całym swoim sercem, wszystkim, czym była. Każde z tych podłych słów, które wypowiadała, wbijało się jak nóż w jej własne serce. Raniąc jego, zraniła siebie o stokroć bardziej; uwalniając go, skazała siebie na śmierć za życia. Czuła się odrętwiała, zdruzgotana, odewana od wszystkiego.

Siedziała tak długo. Sekundy przeciągały się w minuty, a minuty w godziny. Siedziała, gdy słońce zaszło i zapadł mrok. Przez cały czas mocno zaciskała prawą dłoń.

Rozległo się stukanie. Starsza z pokojówek, Meg, uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

- Czy mam przynieść kolację, proszę pani?

- Idź stąd - odrzekła Alice. Jej głos brzmiał zupełnie obco.

Drzwi znów się zamknęły. Alice położyła się na boku, zwieszając nogi na podłogę i leżała tak z otwartymi oczami, wpatrując się w ciemność. W końcu dźwięki powozów i przechodniów za oknem ucichły i zapadła cudowna cisza. Potem światło księżyca zajrzało do sypialni i oświetliło zaciśniętą prawą dłoń, opartą o szybę, białą i bezkrwistą, jakby martwą. Alice popatrzyła na tę dłoń, jakby należała do kogoś innego. Powoli rozluźniła pięść, prostując palce jeden po drugim, aż rozprostowały się całkiem i zobaczyła dwie duże monety, pozłoczone judaszowe srebrniki oświetlone blaskiem księżyca.

Dopiero wtedy poczuła ból, bezlitosny i przenikliwy. Wszystkie mury runęły. Załamanie nadeszło nagle i nie potrafiła go powstrzymać. Wybuchnęła płaczem, choć nie płakała przez te ostatnie tygodnie. Płakała po stracie mężczyzny, którego kochała, i kobiety, którą była. Płakała i zdawało jej się, że nigdy nie przestanie.

Trzy dni później Alice spakowała torbę podróżną i opuściła mieszkanie przy Mercer Street. Dojechała powozem pocztowym do Southampton, wsiadła na pierwszy statek, jaki udało jej się znaleźć, i popłynęła do Dublina.

# ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W salonie domu Darringtonów przy modnej Upper Grosvenor Street panowała cisza. Panna Darrington powoli popijała herbatę. Złote włosy ułożone miała w wymyślną fryzurę, ciało spowite w kosztowny jedwab.

- Jakiego koloru kwiaty życzyłby pan sobie na stole przy ślubnym śniadaniu? - zapytała pani Darrington.

- Z przyjemnością pozostawię decyzję w takich sprawach pani i panie Darrington - odrzekł Razeby. - Jestem pewien, że dokonacie doskonałego wyboru.

Pani Darrington z uśmiechem skinęła głową.

- Niezmiernie się cieszę, że zdecydował się pan połączyć z naszą rodziną i że ślub odbędzie się tak szybko.

- Nie ma powodu zwlekać, skoro decyzja została podjęta.

- Wyjął mi to pan z ust, lordzie Razeby - zgodził się pan Darrington. - Siedem tygodni powinno absolutnie wystarczyć, choć panna Darrington zaczyna się już niepokoić, czy uda się zorganizować ślub tak szybko.

Razeby zmusił się do uśmiechu, który jednak nie sięgnął oczu.

- Tak to zwykle bywa z damami.

Pani Darrington zachichotała nerwowo.

- Jest tak wiele do zrobienia!

- To prawda - przyznała panna Darrington. - Siedem tygodni może nie wystarczyć. Koronka na moją suknię, jedwab... Może lepiej byłoby odłożyć ślub aż do...

- Siedem tygodni wystarczy w zupełności - przerwał pan Darrington, rzucając córce ostrzegawcze spojrzenie.

- Jeśli panna Darrington się na to zgadza? - Razeby spojrzał na nią. Panna Darrington skinęła głową.

Za siedem tygodni miał stanąć przed ołtarzem i uczynić tę dziewczynę swoją żoną.

- Może jeszcze herbaty, lordzie Razeby? - zapytała pani Darrington.

- Dziękuję - wymamrotał i pozwolił, by napełniła filiżankę.

W tle spokojnie tykał zegar na kominku, a obok niego w kremowo-błękitnym wazonie stał duży bukiet kwiatów przyniesionych przez Razeby'ego.

- Za małżeństwo, lordzie Razeby. - Pan Darrington podniósł filiżankę, jakby Wznosił toast. Razeby odpowiedział mu tym samym.

- I za obowiązek - odrzekł z zimnym, twardym uśmiechem.

Alice wysiadła z dorożki i poszła ścieżką ogrodową w stronę niewielkiego domku na przedmieściach Dublina. Drzewa miały pąki i pierwsze ślady zieleni pojawiały się na огоłoczonych przez zimę gałęziach. W ogrodzie zwiędły już żonkile, ale ich grube, zielone liście wciąż były widoczne pośród długiej, nieprzyciętej trawy usłanej dywanem niebieskich dzwonków. Poczowała ulgę i doznała wrażenia, że znów jest w domu. Powietrze było tu czystsze i słodsze niż w Londynie. Wydawało się, że jeden haust czyści jej płuca z całego brudu stolicy.

Pan MacCormack zdjął z wozu jej torbę podróżną i postawił przy drzwiach.

- Pani mama ucieszy się z odwiedzin, panno Flannigan.

Ladaczniczka Miss Rouge i aktorka Alice panna Sweetly zostały w Londynie. Tutaj była zwykłą Alice Flannigan, taką, jaką się urodziła, przynajmniej na zewnątrz. Wewnątrz to była zupełnie inna historia. Uśmiechnęła się do starszego mężczyzny i dała mu kilka drobnych monet. Odszedł, dotykając rona miękkiego filcowego kapelusza.

Drzwi wciąż pozostawały zamknięte. Z chłodnego, szarego nieba zaczynały spadać pierwsze krople deszczu. Usłyszała głosy wewnątrz domu i tupot drobnych stóp. Uniosła dłoń w rękawiczce i mocno zastukała do drzwi.

- Mamo, otworzysz te drzwi czy każesz mi tu czekać do wieczora? Można by pomyśleć, że nie chcesz mnie widzieć!

Drzwi otworzyły się. Matka stanęła w progu i popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- To ty, Alice? Na wszystkich świętych! Nie miałam pojęcia, że zamierzasz nas odwiedzić!

Odwiedzić. Alice znów się uśmiechnęła. Nie poprawiła matki, tak jak nie poprawiła starego woźnicy.

Matka ujęła jej twarz w spracowane dłonie i spojrzała na nią uważnie.

- Dobrze cię znów widzieć, Alice. Mówię szczerze - rzekła z radością.

W piersi Alice wezbrał szloch. Matka przyciągnęła ją do siebie i uścisnęła mocno. Odpowiedziała jej uściskiem, jakby znów była małą dziewczynką, i mocno zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy.

- Dobrze być znowu w domu, mamo.



- Ale czemu tak stoimy w progu? Wejdz, wejdz do środka. - Matka pociągnęła ją za ramię.

Wnętrze domku było ciemniejsze, niż Alice pamiętała. Brakowało większości mebli. Sześciolatnia Annie siedziała na kolanach starszej siostry Jessie, która czesała jej włosy. Na jedynym fotelu w pokoju Molly związywała pocięte w paski stare ubrania, z których miał powstać dywanik. Wszyscy patrzyli na nią, uśmiechając się nieśmiało, jakby była obcą osobą, która przybyła z wizytą. Alice podeszła do nich po kolei, ujęła pod brody i potargała włosy, tak jak wtedy, gdy byli małymi dziećmi, a potem pocałowała w policzki. Za domem słychać było odgłos rąbania drewna i śmiech bawiących się dziewcząt.

- Christie, Maggie, Cathy! Nasza Alice wróciła! - Matka otworzyła okno, wołając starsze pociechy. Oczy Alice zatrzymały się na trójnożnym stołku. To było jedyne miejsce, gdzie jej matka siadywała. Przed stołkiem stały dwa żelazne wiadra, jedno z brudną wodą, w drugim błyszcząły świeżo umyte ziemniaki. Na podłodze stał worek z kartoflami i mała szczotka do szorowania.

- Pewnie napijesz się wody, Alice. Mam też herbatę z pokrzyw.

- Bardzo chętnie napiję się wody, mamó. Ale ty usiądź, ja sama sobie wezmę.

- Nic podobnego! - Matka już szła w stronę kuchni.

Do domu wszedł trzynastoletni Christie. Rękawy koszuli miał podwinięte. Podczas nieobecności Alice znacznie wydorósł. Pocałowała go w policzek.

- Jaki ty jesteś duży, Christie! Bardzo urosłeś, teraz jesteś wyższy ode mnie!

Chudy jak tyczka chłopak zarumienił się mocno, mruknął coś w proteście i odsunął się z szerokim uśmiechem.

- To teraz głowa domu. Jedyne mężczyzna w rodzinie - oznajmiła matka, wracając z kuchni z kubkiem wody i kromką chleba.

- A gdzie się podziewa David?

- Na początku zeszłego roku poszedł na królewski żołd i od tamtej pory walczy w armii króla Jerzego - wyjaśniła matka. - Przysyła pieniądze, gdy tylko może.

Policzki Maggie i Cathy były zaróżowione od świeżego powietrza. Ubrania miały porwane i znoszone, najwyraźniej odziedziczone po starszych siostrach.

- Wyglądasz jak wielka dama, Alice. - uśmiechnęła się Cathy, dotykając ciemnoniebieskiej podróżnej sukni starszej siostry.

Alice z uśmiechem uścisnęła siostry. Cieszyła się na ich widok, ale była przerażona biedą, którą widziała dokoła.

- Christie, przynieś torbę siostry zza drzwi. Deszcz zaczyna padać.

- A gdzie jest cała reszta? - zapytała Alice, rozglądając się po izbie.

- Martha wyszła za człowieka z Killeel.

Oczy Alice rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Wyszła za męża?

- On jest pasterzem, ma własny domek. Wzięli ślub zeszłego lata. Bogu dzięki, zdążyli przed urodzeniem dziecka.

- To dobre wiadomości. - Uśmiechnęła się Alice.

- A Mary i Bernadette znalazły miejsca na służbie w tym samym wielkim domu w Dublinie.

- To doskonale.

- Tak - potwierdziła matka, ale Alice zauważyła na jej twarzy troskę i zmarszczki, których nie było przed dwoma laty, gdy widziała ją po raz ostatni. Zastanawiała się, o czym matka nie chce jej powiedzieć. Gdzie się podziały te wszystkie pieniądze, które przysyłała do domu? Znow rozejrzała się po nędznym wnętrzu. Ale te pytania mogła zadać później. Na razie cieszyła się, że jest z dala od Londynu i od wszystkiego, co tam zostawiła. Cieszyła się, że jest w domu, i wolała się nie zastanawiać nad jego tajemnicami.

Dopiero następnego popołudnia Alice dowiedziała się prawdy. Dom był pusty, była tylko z matką. Molly i Jessie wieszały pranie w ogrodzie.

- Ten Feeney, za którego wyszłaś... - powiedziała Alice ostrożnie.

- Okazuje się, że nigdy nie byliśmy małżeństwem. Ten fałszywy łajdak miał już żonę i sześcioro dzieci w Dublinie - przerwała jej matka. - A ja, stara i głupia, złapałam się na haczyk.

- Skąd mogłaś wiedzieć?

- Może nie mogłam - mruknęła matka. - Czarował mnie aż do wigilii, a potem oświadczył, że musi wracać do żony. Dopiero kiedy wyjechał, odkryłam, że ma wszędzie długi i zabrał ze sobą wszystkie moje oszczędności. Co za drań!

- I od tamtej pory walczyłaś, żeby związać koniec z końcem. - Teraz Alice już rozumiała, gdzie się podziały nowe ubrania i meble.

- Do tej pory jakoś sobie radziliśmy.

- Bogu dzięki, że dom jest wykupiony i spleacony. - Za pieniądze, które dostała od Razeby'ego. - Przynajmniej tego nie mógł zabrać.

Matka odwróciła wzrok i na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

- To nie takie proste, Alice.

- Przecież kazałam prawnikowi wypisać tytuł własności na ciebie.

- Wszyscy myśleli, że jesteśmy małżeństwem. Nawet ja tak myślałam. Mój majątek stał się jego majątkiem.

Alice poczuła dziwny ciężar w żołądku.

- I co on z tym zrobił?

- Zastawił na hipotekę za moimi plecami, a potem przegrał pieniądze na koniach. Dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, kiedy jakiś dżentelmen pojawił się w drzwiach i powiedział, że jest nowym właścicielem i podnosi mi czynsz. Zdżiera ze mnie jak za zboże.

- Przecież przysyłałam ci pieniądze.

- To za mało. On chce coraz więcej. Przecież nie możemy obywać się bez jedzenia i węgla, a on znów podnosi czynsz. Skąd ja mam wziąć pieniądze? Mówi, że jesteśmy mu winni za kilka miesięcy i że wyrzuci nas na ulicę, jeśli nie zapłacę.

- Nie martw się mamo, zajmę się tym. - Pomyślała o oszczędnościach ukrytych na dnie torby podróżnej.

- A to jeszcze nie jest najgorsze. - Matka popatrzyła na nią.

Alice zastanawiała się, co jeszcze usłyszy.

- Chodzi o Molly.

Alice czekała, skrywając niepokój.

- Jakiś chłopak z wioski zrobił jej dziecko. To już cztery miesiące, a on nie chce się z nią ożenić. I co ja mam zrobić, Alice?

Alice pomyślała o Razeby'm i o bolesnej scenie ich pożegnania. Cóż za ironia losu. Wzięła matkę za rękę i pogładziła spracowaną skórę.

- Mam trochę odłożonych pieniędzy. Powinno wystarczyć na dom i na utrzymanie dziecka, kiedy się urodzi, na utrzymanie was wszystkich przez jakiś czas.

- Dalej masz tę pracę w teatrze?

Alice skinęła głową.

- Tak, mam tę pracę.

Wiedziała jednak, że porzuciła teatr z dnia na dzień, a sezon już się kończył.

- Bogu dzięki. - Na twarzy matki odbiła się ulga. Alice mocno zacisnęła powieki. - Co my byśmy bez ciebie zrobili, Alice?

W sali balowej miejskiego domu hrabiego Misbourne, oddalonego zaledwie o kilka domów od mieszkania Razeby'ego przy Leicester Square, odbywał się pierwszy bal wydany przez Venetię i Linwooda. Pojawiła się na nim większość towarzystwa z wyjątkiem kilku osób, które wciąż nie chciały uznać miejsca Venetii w zacnych kręgach, ale ich nieobecność nie miała żadnego wpływu na przebieg balu. Linwood i jego ojciec, hrabia Misbourne, użyli swoich kontaktów, by ściągnąć tu samego księcia Walii, a ponieważ księżę tańczył właśnie z Venetią, jej akceptacja przez towarzystwo była gwarantowana. Panna Darrington wycofała się do garderoby i nie spieszyła się z powrotem, ku wielkiej uldze Razeby'ego, który stał w kącie obok Linwooda. Obydwaj popijali szampana i zdawało się, że bawią się doskonale, choć tak naprawdę żaden z nich nie bawił się dobrze. Razeby wiedział, że w Linwoodzie ten wieczór wzbudzał równie wielkie napięcie jak w nim samym.

- Zauważyłem zmianę w tobie, Razeby.

Razeby zignorował ten komentarz. Przez cały czas myślał o zbliżającym się ślubie i o swoim obowiązku. Zimno i bezlitośnie odpędzał od siebie wszelkie inne myśli.

- Mówię ci to jako przyjaciel, bo reszta Londynu również to zauważyła. Dziwię się, że panna Darrington zgodziła się za ciebie wyjść.

Razeby pomyślał o kobiecie, która nie chciała się na to zgodzić, jedynej, której oferował wszystko, całego siebie i która rzuciła mu to w twarz, jakby to było za mało.

- Nic dziwnego, że spędza dzisiaj tyle czasu w garderobie - dodał Linwood.

- Dla nas obojga to tylko kontrakt. Ona rozumie, na czym to polega.

- Możliwe - stwierdził Linwood. - Ale powiesz mi, co się dzieje?

- Nic się nie dzieje. Żenię się z panną Darrington.

- A panna Sweetly?

- Alice i ja nie jesteśmy już razem.

- Zauważyłem - mruknął Linwood. - Wyjechała z Londynu. Porzuciła Kemble'a i teatr. Venetia jej szukała. Mówi, że Alice mogła pojechać do domu, do Irlandii.

- Nic mnie nie obchodzi, gdzie ona jest. - Poczul płomienny gniew i pierś przeszył mu znajomy ból.

Przenikliwe oczy Linwooda dostrzegały zbyt wiele.

- Ostatnio, gdy cię widziałem, żywiłeś do niej cieplejsze uczucia.

- Zmieniłem zdanie.

- Z taką łatwością?

Razeby nonszalancko wzruszył ramionami, ale Linwood nie dał się zwieść.

- Do diabła, Razeby! Przecież zamierzałeś się z nią ożenić!

Razeby popatrzył na niego ponuro. Przyjaciel spokojnie wytrzymał to spojrzenie.

- Jeśli rzeczywiście z nią skończyłeś, to dobrze. Ale wydaje mi się to mało prawdopodobne.

- Mylisz się.

- Doprawdy? Czy dlatego dałeś Devlinowi w twarz wczoraj wieczorem?

- Zaproponował, żebyśmy poszli do Zielonego Pokoju w teatrze w Covent Garden.

- Próbował cię jakoś rozweselić.

W powietrzu między nimi zawisło imię Alice.

- Nie mam ochoty odwiedzać Zielonego Pokoju w żadnym teatrze. - Razeby patrzył prosto przed siebie z uparcie zaciśniętą szczęką. Obydwaj wiedzieli, jaką rolę odegrał Zielony Pokój w jego związku z Alice, ale żaden nie wypowiedział tego głośno.

Kochał ją i wierzył, że ona również go kocha. Niewiele brakowało, by poświęcił cały swój honor i odwrócił się plecami do jedyne go swojego obowiązku w życiu. Z wszystkiego gotów był dla niej zrezygnować - dla kobiety, która zdeptała mu serce. Jakąż była doskonałą aktorką! Udało jej się go nabrać.

Wciąż czuł gorycz. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby powiedzieć Linwoodowi prawdę, wyznać, że Alice odrzuciła jego ofertę małżeństwa, wyrwała mu serce z piersi i na jego oczach zmiażdżyła je na pulpę. Że okazał się głupcem gotowym poświęcić dla niej honor. To było wciąż zbyt bolesne i zbyt intymne. To była wstydliva tajemnica. Nie pogodził się z tym jeszcze i nie miał zamiaru zwierzać się z takich rzeczy nawet Linwoodowi.

Przyjaciel nic nie powiedział, ale Razeby czuł na sobie jego uważne spojrzenie. Przeniósł wzrok na drugą stronę sali i zobaczył pannę Darrington, która właśnie wróciła.

Miał jeszcze trochę czasu do trzydziestych urodzin. Musiał się skupić i zrobić to, co miał do zrobienia.

Alice siedziała w biurze prawnika w Dublinie w towarzystwie człowieka, któremu płaciła za to, żeby reprezentował jej interesy. Drewniane przegródki na ścianie wypełnione były

stertami zwojów, każdy przewiązany czerwoną wstążką. Światło wpadające przez okno oświetlało spłowiałą skórę foteli i odbijało się od szkła przykrywającego obrazki na ścianie. Stojący zegar w kącie tykał powoli, odmierzając ciszę. W promieniach słońca wirowały drobinki kurzu. Alice, w swojej najlepszej dziennej sukni i w pelisie, siedziała przy biurku naprzeciwko prawnika, usiłując zachować spokój.

- Tysiąc funtów? Chyba nie mówi pan poważnie, panie Timmons.

- Jeśli chce pani kupić ten dom, panno Flannigan, taka jest cena wyznaczona przez pana Lamertona.

- Za dom na wsi, który wymaga nowej strzechy?

- Wymiana strzechy wliczona jest w cenę.

- Proszę mu powiedzieć, że nie musi tego robić. Mogę kupić inny dom w wiosce.

- Pan Lamerton jest właścicielem wszystkich domów w wiosce.

- W pobliżu są inne wioski.

- Owszem, panno Flannigan, ale chyba nie zdaje sobie pani sprawy, że pan Lamerton odziedziczył spore posiadłości w tej okolicy po swoim świętej pamięci wuju. Jest bogatym i wpływowym właścicielem ziemskim. Może pani matka rozważyłaby wyprowadzenie się do innej parafii?

- Nie. - Alice wiedziała, że jej matka była szczęśliwa w wiosce. Miała tu przyjaciół, a poza tym ten dom znaczył dla niej więcej niż tylko cztery ściany i dach nad głową. Po latach życia na ulicy i tułaczki od jednego krewnego do drugiego był to jedyny pewny punkt w ich życiu. Matka zawsze przysięgała, że nigdy więcej się nie przeprowadzi, nigdy nie wróci do życia pełnego niepewności. - Nie mogłabym jej o to prosić.

- Zgadzam się, panno Flannigan, że ta cena jest zupełnie nierozsądna, ale niewiele mogę w tej sprawie zrobić.

Tysiąc funtów! Oszczędności Alice z czasów spędzonych z Razebyem i do tego jeszcze pieniądze zarobione w teatrze.

- Może mógłbym porozmawiać z panem Lamertonem i dojść do jakiejś ugody w kwestii spłacania czynszu?

A Lamerton założyłby kajdany jej matce do końca jej dni...

- Tysiąc funtów i dom znów będzie własnością mojej matki?

Prawnik skinął głową.

- Tak właśnie wygląda sytuacja, panno Flannigan.

- Niech pan mu powie, że dostanie dziewięćset, a ja sama zajmę się wymianą strzechy.
- Przedstawię mu tę ofertę, panno Flannigan.

Alice wymknęła się z łóżka, które dzieliła z siostrami w zatłoczonej sypialni chaty, i poszła do dużej izby. Księżyc był wysoko na niebie, przez szybki osadzone w ołowiu do środka wpadało miękkie, srebrne światło. Stała przy oknie i wpatrzyła się w księżyc, ten sam księżyc, który świecił teraz w Londynie na Razeby'ego. Zastanawiała się, co on porabia i jak się czuje. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała jego twarz.

Noc była najbardziej okrutną porą. Śniła, że leży w objęciach Razeby'ego i słyszy słowa miłości, ale każdy z tych snów kończył się słowami, które ona sama wypowiedziała, kłamstwem i oszustwem. Razeby patrzył na nią wtedy z gniewem i niechęcią. Zawsze w ciemności wydawało jej się, że czuje we wnętrzu dłoni ucisk dwóch złotych suwerenów, i każdej nocy szlochała cicho.

Minął już miesiąc, odkąd wróciła do Dublina. Dom był wykupiony i pokryty nową, solidną strzechą. Kupiła meble i nowe ubrania dla wszystkich. Spizarnia była pełna, a w piwniczce leżało dziesięć worków węgla. Wszystkie pieniądze, które jeszcze jej pozostały, oddała matce, zostawiła sobie tylko pięć funtów, ale wiedziała, że te pieniądze nie wystarczą na długo. Nie mogła wyprzeć się swojego obowiązku. Czas był wracać do Londynu.

Miała jeszcze jeden powód, dla którego nie mogła tu zostać, ale o tym nie chciała na razie myśleć.

# ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Na dwa tygodnie przed ślubem Razeby siedział w klubie dżentelmenów White'a z grupą przyjaciół i udawał, że śmieje się z jakiegoś grubego żartu, który właśnie opowiedział Fallingham. Obok niego chichotał Devlin. Alkohol lał się strumieniami.

- Jeszcze trzy butelki szampana - zamówił Razeby.

- Spokojnie, stary, bo jeszcze ktoś pomyśli, że świętujesz wejście w pułapkę proboszcza - kpił Bullford.

- To się zdarza nawet najlepszym z nas. Linwood może coś o tym powiedzieć. - Razeby uśmiechnął się szeroko, choć jego serce krwawiło. Przyjaciel lekko skinął głową, ale nie odezwał się.

- Więc jak chcesz spędzić swój wieczór kawalerski? - zapytał Devlin nieco niewyraźnym głosem. - Rozmawialiśmy o tym z chłopakami i przyszło nam do głowy, żeby pójść do pewnego barwnego przybytku, a dokładniej do Domu Tęczowych Uciech pani Silver. Mógłbyś spróbować każdego koloru. Wszyscy możemy to zrobić, a potem porównać wrażenia.

Te słowa trafiły w czuły punkt Razeby'ego. Żaden z przyjaciół, oprócz Linwooda, nie znał prawdy. Tożsamość dziewcząt pani Silver była pilnie strzeżonym sekretem. Razeby pomyślał o Alice, która pracowała w tym miejscu jako Miss Rouge, i żołądek zacisnął mu się w supeł. Na samą myśl, że miałby kiedykolwiek przekroczyć próg tego burdelu, zbierało mu się na mdłości, ale nic po sobie nie pokazał.

Linwood napotkał jego wzrok i popatrzył na pozostałych.

- To nic oryginalnego - powiedział przeciągle. - Poza tym Razeby już je wszystkie wypróbował.

Wypróbował jedną i tylko jedną, a ona przywiązała go do siebie na sposób, jaki nigdy wcześniej nie wydawał mu się możliwy.

- Przyznaję, że jest w tym nieco prawdy - zgodził się Razeby, chociaż nie określił wyraźnie, która część stwierdzenia Linwooda była prawdą, a która kłamstwem.

- Linwood ma rację - stwierdził Bullford. - Będziesz musiał wymyślić coś lepszego, Devlin.

- Skoro jesteś taki bystry, to sam wymyśl coś lepszego.

- Może wymyślę, stary. Jest jeszcze sporo czasu.



Razeby wyjął jedną z butelek szampana z wiaderka z lodem, które przyniósł lokaj. Potrząsnął nią z beztróskim śmiechem, otworzył i ku radości przyjaciół upił wypływającą pianę. Potem otarł usta ręką i podał butelkę Devlinowi, który uczynił to samo.

- A tymczasem może zabierzemy szampana do sali gier i rozegramy kilka partii?

- Doskonały pomysł - stwierdził Fallingham.

Wyciągnął pudełko z tabaką i podał wszystkim po kolei.

Razeby znów napotkał spojrzenie Linwooda i lekko skinął głową z wdzięcznością. Przyjaciel odpowiedział mu tym samym. Żaden z nich nie uśmiechał się ani nie udawał wesołości. Pośród pijackiego zgiewku nikt nie zauważył tej wymiany spojrzeń.

Zapadał już zmierzch, gdy Alice zastukała do frontowych drzwi mieszkania Venetii i Linwooda przy St. James's. Dorożkarz czekał na ulicy. Naciągnęła na głowę wielki ciemny kaptur, który miał przysłonić jej tożsamość przed sąsiadami Venetii na wypadek, gdyby któryś z nich wyglądał przez okno i zauważył przy drzwiach samotną kobietę. Wiatr szarpał jej długim ciemnym płaszczem.

Lokaj wpuścił ją do środka, ale gdy chciał wziąć od niej okrycie, odmówiła i nerwowo poszła za nim do salonu. Na jej widok Venetia zerwała się na równe nogi.

- Alice! - Podeszła bliżej i wzięła ją za rękę. - Bogu dzięki, tak się o ciebie martwiłam! Wejdź i napij się herbaty.

Skinęła na lokaja, który krążył w pobliżu, gotów zabrać płaszcz. Alice jednak znów potrząsnęła głową i dopiero gdy służący wyszedł, usiadła i odezwała się.

- Wiem, że jest późno, i nie chciałabym wzbudzać poruszenia pośród twoich sąsiadów.

Venetia usiadła na sofie obok niej.

- Nie mów głupstw, Alice.

- Nie zostanę tu, tylko... - zawahała się - ...chciałam cię prosić o przysługę.

- Czego sobie tylko zażyczysz - odrzekła Venetia.

- Jesteś właścicielką domu dobroczynnego w Whitechapel, schronienia dla pewnego rodzaju kobiet i ich dzieci.

- To prawda - stwierdziła Venetia. Alice zauważyła w jej oczach zaciekawienie i troskę.

- Czy mogłabym się tam zatrzymać? Tylko na krótki czas, dopóki nie znajdę czegoś innego.

Venetia napotkała jej spojrzenie. Alice odwróciła wzrok, obawiając się tego, co przyjaciółka mogłaby zobaczyć w jej oczach.

- Nie możesz - powiedziała Venetia cicho.

Alice popatrzyła na nią ze zdumieniem. Nie przypuszczała, że Venetia jej odmówi.

- Nie prosiłabym cię o to, ale nie mam się gdzie podziać - przyznała z desperacją. - I nie musisz się obawiać, że zdradzę twoje powiązania z tym miejscem. Wiem, że to tajemnica. Nikomu nic nie powiem.

Venetia wzięła jej rękę w swoje.

- Alice, wiem, że nikomu nie powiesz, ale nie możesz się tam zatrzymać. Na litość boską, to jest w Whitechapel! Nie. Zostaniesz tutaj ze mną. Nalegam.

- Nie mogę tu zostać. Pomyśl tylko, co by się stało z twoją reputacją, gdyby towarzystwo dowiedziało się, że mieszkam pod twoim dachem! To byłby dla ciebie sądny dzień.

- Towarzystwo nie musi o niczym wiedzieć. Możemy zachować dyskrecję.

- A Linwood? Z pewnością nie spodoba mu się moja obecność tutaj.

- Mój mąż zrozumie, że pragnę pomóc najlepszej przyjaciółce. Proszę, Alice, zostań.

Pokusa była wielka. Alice wiedziała, że u Venetii byłaby bezpieczna, ale wiedziała też, że taka sytuacja dla nikogo nie byłaby korzystna.

- Przypuszczam, że twoja dorożka wciąż czeka na ulicy. Alice skinęła głową i Venetia wysłała lokaja po jej bagaż.

- Zostanę tu tylko przez kilka dni, a potem znajdę coś innego.

- Alice, czy już zapomniałaś, że przyjęłaś mnie pod swój dach, gdy straciłam dom? Bo ja wciąż o tym pamiętam. Możesz zostać tak długo, jak tylko chcesz. Będę szczerze zadowolona z twojego towarzystwa.

Alice uśmiechnęła się z ulgą. Venetia zawsze była dla niej dobra.

- Jadłaś coś?

Alice potrząsnęła głową.

- Dopiero wysiadłam z dyliżansu z Southampton. Byłam w Irlandii, w odwiedzinach... - urwała w pół zdania. - Czy Linwood jest w domu?

- Pojechał z jakąś sprawą do ojca.

Alice rozluźniła się nieco. Obawiała się, że tam, gdzie jest Linwood, może pojawić się również Razeby. Venetia spojrzała na jej twarz.

- Czy wszystko w porządku u twojej rodziny, Alice?

- Nie... niezupełnie. Ale teraz już wszystko jest dobrze.

- W takim razie musisz mi o tym opowiedzieć.

Następnego ranka Alice jadła śniadanie w pokoju Venetii. Przyjaciółka, jeszcze w peniarze, siedziała naprzeciwko niej. Alice miała na sobie popołudniową jasnozieloną sukienkę, a włosy upięła do góry.

- Może zjesz coś jeszcze? - zapytała Venetia.

Alice potrząsnęła głową.

- Nie jestem głodna.

Venetia naląła im obydwu kawy i posmarowała bułeczkę miodem.

- Chodzi o Razeby'ego, tak?

Alice w milczeniu skubała suchą bułkę, która leżała przed nią na talerzu.

- Co między wami zaszło?

- Nic nie zaszło - odrzekła, unikając wzroku przyjaciółki.

- Musisz poćwiczyć umiejętności aktorskie, zanim wrócisz na scenę - powiedziała Venetia cicho, ale nie nalegała.

Alice odwróciła wzrok i potarła czoło.

- Co u niego słyhać?

- Wydaje się innym człowiekiem.

Alice przymknęła oczy.

- Zaręczył się z panną Darrington.

- Cieszę się z tego - rzekła Alice i była to prawda. To było najlepsze, co mogła dla niego zrobić.

- Ślub ma się odbyć za dwa tygodnie w Westminster Abbey.

- Tak szybko? - szepnęła Alice, przelękając ślinę.

Podniosła wzrok, zauważyła stojącego w drzwiach Linwooda i pobladła.

- Panno Sweetly. - Skłonu głowę. Był już ubrany w ciemnozielony surdut i skórzane bryczesy do jazdy konnej.

- Lordzie Linwood - wymamrotała Alice.

Podniosła się i dygnęła.

Linwood podniósł pokrywki naczyń stojących obok stołu na podgrzewanych srebrnych tacach i nałożył sobie śniadanie na talerz. W stronę Alice popłynął zapach jajek na boczku i nerek. Żołądek zacisnął jej się gwałtownie. Przygryzła usta i wstrzymała oddech, odwracając wzrok od wyładowanego talerza.

- Mam nadzieję, że podróż do rodziny okazała się udana - odezwał się Linwood.

Skinęła głową, odwracając twarz w drugą stronę.

- Bardzo udana, dziękuję.

Zmusiła się, by na niego spojrzeć. Czarne oczy obserwowały ją tak przenikliwie, że zaczęła się zastanawiać, co powiedział mu Razeby. Spuściła wzrok i jej spojrzenie zatrzymało się na talerzu z jedzeniem.

Linwood wbił nóż w tłustego, wędzonego śledzia i zapach stał się jeszcze silniejszy. Alice zakryła usta dłonią, przycisnęła do nich chusteczkę i wybiegła z pokoju.

Venetia znalazła ją w małej sypialni na strychu, gdzie klęczała nad nocnikiem, zwracając resztki suchej bułki. Venetia weszła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i otworzyła okno.

Alice usiadła na łóżku i oparła się o ścianę, wdychając świeże, chłodne, poranne powietrze. Venetia usiadła obok niej.

- Przepraszam - powiedziała Alice. - Widocznie zaszkodziło mi coś, co zjadłam w gospodzie wczoraj wieczorem.

- Ale wczoraj wieczorem w gospodzie nie jadłaś nic.

Alice przełknęła i wzięła głęboki oddech.

- Nie.

- Który to miesiąc?

Alice nawet nie próbowała zaprzeczać. Venetia i tak prędzej czy później musiała się dowiedzieć, a sprawiło jej ulgę, że mogła z kimś o tym porozmawiać.

- Już od dwóch miesięcy omijają mnie kobiece przypadłości.

- Czy Razeby wie?

- Nie. - Spróbowała się wyprostować i natychmiast zakręciło jej się w głowie, toteż znów oparła się o ścianę. - I mam nadzieję, że nie odważysz się mu powiedzieć, Venetio. Błagam.

- Nie powiem mu nic, czego sama nie chcesz mu powiedzieć.

- Dziękuję. Nie chcę, żeby o tym usłyszał.

- Dlaczego? Przecież nie jest pozbawiony rozsądku. Alice, będziesz potrzebowała środków do życia dla siebie i dla dziecka, kiedy się urodzi. Razeby z pewnością nie chciałby zaniedbać tego obowiązku.

Uśmiechnęła się gorzko, myśląc o tym, jak wiele Razeby gotów był dla niej poświęcić.

- Poza tym to jest również jego dziecko. Bez względu na to, co zaszło między wami, jestem pewna, że gotów byłby zadbać finansowo zarówno o ciebie, jak i o wasze dziecko. Powinnaś mu powiedzieć.

- Nie mogę. - Do oczu napłynęły jej łzy. Przycisnęła dłonie do twarzy. - Nie masz pojęcia, Venetio, co mu zrobiłam, jakie okropne rzeczy mu mówiłam. - Przelykała ślinę raz za razem, ale gardło nie chciało się rozluźnić.

- Okłamałam go. Sprawiałam, że zaczął mną pogardzać, zaczął myśleć o mnie najgorsze rzeczy.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Podniosła wzrok na przyjaciółkę. Wiedziała, że musi powiedzieć jej prawdę.

- Chciał się ze mną ożenić. Chciał, żebyśmy wyjechali na kontynent i tam zamieszkali. Chciał wyrzec się dla mnie wszystkiego: dziedzictwa, tytułu, swoich ludzi, wszystkiego, co jest dla niego ważne, wszystkiego, do czego został wychowany. Nie mogłam mu na to pozwolić, choć bardzo chciałam z nim być.

- Więc odrzuciłaś go.

Alice skinęła głową.

- W najgorszy możliwy sposób. Inaczej nigdy by mi nie uwierzył. To bardzo uparty człowiek. - Przygryzła mocno dolną wargę, by powstrzymać łzy, ale na nic się to nie zdało - łzy i tak spłynęły po policzkach. - Uważa mnie za najgorszą, najbardziej podłą dziwkę. Bóg jeden wie, co by zrobił, gdyby się dowiedział, że noszę jego dziecko. Wątpię, by zgodził się, żeby było wychowywane przez taką kobietę, za jaką mnie uważa. Nie mogę ryzykować. To wszystko, co zostało mi po nim. - Spojrzała na przyjaciółkę. - Och, Venetio, co ja mam zrobić?

Venetia otoczyła ją ramieniem.

- Znajdziemy jakiś sposób, Alice. Pomogę ci.

- Nie mogę tu zostać. Nie jestem mężatką, a brzuch wkrótce będzie widać. Nie mogę ci tego zrobić, Venetio.

- Znajdę dla ciebie jakieś mieszkanie na wsi. Zadbam o finanse i...

- Nie. - Alice potrząsnęła głową. - Nie mogę ci na to pozwolić. - Wiedziała, jak bardzo mogłoby to zaszkodzić reputacji Venetii, a poza tym musiała myśleć również o swojej rodzinie w Irlandii. - Znajdę jakiś inny sposób. Muszę coś znaleźć.

- Alice, teatry w lecie są zamknięte, a gdy znów sezon się zacznie, nie będziesz już mogła ukrywać swojego stanu.

- Wiem. Ale podjęłam decyzję, Venetio. Jesteś moją przyjaciółką i zrobiłaś już dla mnie bardzo wiele. Zabrałaś mnie z domu pani Silver i w ogóle. Ale wystarczy już tego. Nie mogę zniszczyć twoich szans na szczęście w nowym życiu.

- Jesteś uparta jak oślica. Wiesz o tym?

Uśmiechnęła się przez łzy, a potem znów pomyślała o Razeby.

- Nie powiesz mi, Venetio?

- Nie powiem.

Alice odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję ci. Także za to, że pozwoliłaś mi tu zostać. Mam nadzieję, że Linwood nie jest bardzo zły.

- On też pamięta, że przyjechałaś mnie do siebie, gdy mój dom się spalił, jeszcze przed naszym ślubem. On nie jest taki, jak sądzisz, Alice.

- Jest przyjacielem Razeby'ego.

Venetia uśmiechnęła się sucho.

- Temu nie mogę zaprzeczyć.

- Jak się dzisiaj czujesz? - zapytał Linwood wcześniej następnego ranka, jadąc konno obok Razeby'ego przez pusty o tej porze Hyde Park.

- Doskonale.

- To znaczy, że nie poszedłeś z Devlinem do tej tawerny w dokach?

- Poszedłem. To było całkiem interesujące doświadczenie. - Wszystko było dobre, co mogło odciągnąć jego umysł od roztrząsania, jakim głupcem się okazał w sprawie Alice.

- Czy wiesz, że panna Sweetly wróciła do Londynu?

Serce Razeby'ego na chwilę przestało bić, zaraz jednak znów poczuł gniew i determinację.

- Nie. Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - odrzekł chłodno.

- To znaczy, że gdyby przyszło ci do głowy odwiedzić mnie w domu, nie będziesz miał nic przeciwko temu, że Alice przez jakiś czas będzie gościem Venetii?

Razeby nie odpowiedział, ale lekko skinął głową.

- Będę o tym pamiętał.

Jechali dalej w milczeniu. Razeby zdecydowany był nie zadać ani jednego pytania na temat Alice, a Linwood nie kwapił się z nowinami. Razeby pomyślał, że powinien się z tego cieszyć. Alice Sweetly nic już dla niego nie znaczyła. Tak mówił jego umysł, ale to, co czuło serce, to była zupełnie inna sprawa. Razeby jednak przestał już słuchać serca, toteż nie zapytał o nic więcej.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Następnego ranka Alice szła przez Oxford Street. W ciągu ostatnich dni wiele myślała o tym, co powinna zrobić. Tak jak mówiła Venetia, teatry miały przerwę letnią, a nawet gdyby nie to, nie miała pewności, czy Kemble przyjąłby ją z powrotem po tym, jak porzuciła pracę bez ostrzeżenia.

Nie było sensu ubiegać się o posadę w żadnym z innych tak zwanych teatrów. Nie umiała tańczyć ani śpiewać, nie potrafiła wyginać ciała w figurach gimnastycznych ani jeździć na oklep na koniu. W ogóle nigdy w życiu nie siedziała na koniu. Nie umiała też grać na żadnym instrumencie. Lubiła rysować i malować, ale nie na tyle dobrze, by szukać na tej podstawie zatrudnienia. Umiała pracować i sprzątać równie dobrze jak każda inna pokojówka, ale agencja odrzuciła jej ofertę, twierdząc, że nie znajdzie pracy na służbie bez żadnego doświadczenia ani referencji. Miała doskonałą pamięć, ale tego żaden pracodawca nie potrzebował. Nawet pani Silver nie przyjęłaby jej w brzemiennym stanie, choć prawdę mówiąc, nie mogła znieść myśli, że miałby jej dotknąć jakiś mężczyzna oprócz Razeby'ego.

Całymi dniami chodziła więc po ulicach Londynu, szukając pracy w sklepach, choć w głębi serca wiedziała, że może to odwlec jej problemy tylko na jakiś czas. Gdy będzie już widać jej stan, zwolnią ją, a to, co zdąży zarobić, nie wystarczy na długo. Ale i tu nie miała żadnych perspektyw. Niektórzy właściciele lepszych sklepów rozpoznali w niej słynną pannę Alice Sweetly i natychmiast odesłali od drzwi. Inni w ogóle nie chcieli z nią rozmawiać, gdy słyszeli, że nie ma żadnego doświadczenia. Tylko w jednym miejscu spotkała się z zainteresowaniem, ale w tym sklepie poszukiwano kogoś, kto miałby wpisywać wszystkie transakcje do ksiąg i wystawiać rachunki klientom, a ponieważ Alice potrafiła napisać tylko dwa słowa, przeprosiła i wyszła.

Tego popołudnia siostra Linwoda miała odwiedzić Venetię, toteż Alice nie wróciła do swoich pokojów, lecz wybrała się do pobliskiego parku St. James's. Dzień był jasny i pogodny, ale chłodny. Trzymała się z dala od popularnych ścieżek i szła wzdłuż rzędu drzew, aż znalazła drewnianą ławkę. Nogi i plecy bolały ją po całym dniu chodzenia i czuła się zmęczona - ostatnio ciągle czuła się zmęczona - toteż usiadła, by odpocząć. Słyszała z tego miejsca bicie zegara. Zamierzała wrócić do domu Venetii dopiero po szóstej, by mieć pewność, że wszyscy goście już wyszli.

Minęło ją kilka osób: dwie damy, jakiś starszy mężczyzna i chłopiec, który wyraźnie gdzieś się spieszył. Odpoczęła i poczuła się lepiej, i wtedy usłyszała brzęk końskiej uprzęży. Ścieżką jechał dżentelmen na koniu. Alice nie patrzyła na niego, ale wiedziała, że to nie Razeby.

- Tak mi się wydawało, że to pani, panno Sweetly.

Podniosła wzrok i zobaczyła księcia Hawicka. Stał obok niej na trawie, trzymając za uzdę dużego kasztana. W drugiej ręce miał szpicrutę i kapelusz. Alice uniosła się z ławki i dygnęła.

- Wasza wysokość.

- Czy gdzieś pani wyjeżdżała? Nie widziałem pani od jakiegoś czasu.

- Odwiedziłam rodzinę w Irlandii.

- To bardzo miłe.

- Owszem.

- Mam nadzieję, że podróż była udana.

- Owszem, bardzo. Dziękuję, wasza wysokość. Hawick uśmiechnął się. Jego zęby wydawały się zadziwiająco białe na tle złocistej skóry.

- Co sprowadziło panią do parku?

- Dzień jest ładny. Wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Rzeczywiście, dzień jest ładny. Ja również wyszedłem na świeże powietrze. Wziąłem ze sobą Legiona, żeby trochę pogalopował. - Poklepał kasztanowego ogiera po karku. - Czy pani jeździ konno, panno Sweetly?

- Niestety, nie.

- Woli pani podziwiać widoki, chodząc pieszo albo jeżdżąc w bezpiecznym powozie?

- Tak jest bezpieczniej.

Znów się uśmiechnął. Jego ciemnoblonde włosy poruszyły się na wietrze,

- Przypuszczam, że to zależy, czyje ręce trzymają wodze.

- Sądzę, że ma pan rację. - Uśmiechnęła się, pragnąc, by już sobie poszedł.

- Nigdy nie spędziliśmy razem tego wieczoru, który mi pani obiecała.

- Nie. - Odwróciła wzrok i poczuła się nieswojo. - Naprawdę muszę już iść. Wasza wysokość zechce mi wybaczyć.

- Czy mogę odprowadzić panią do domu? Nie podoba mi się myśl, że jakakolwiek kobieta miałaby wracać samotnie o tej porze.



- Dziękuję za uprzejmość, ale nie jest jeszcze późno i będę zupełnie bezpieczna. - Dygnęła raz jeszcze i odwróciła się, by odejść, ale Hawick ruszył obok niej, wciąż prowadząc konia za uzdę.

- Nie byłbym dżentelmenem, gdybym się zgodził. Gdzie pani teraz mieszka, panno Sweetly?

Uświadomiła sobie swój błąd. Nie mogła mu tego powiedzieć, nie ściągając skandalu na głowę Venetii.

- U przyjaciółki - odrzekła krótko. - Ale nie zamierzałam wracać jeszcze do domu. Mam do załatwienia kilka sprawunków.

- Czy mogę pani jeszcze w czymś pomóc?

- Doceniam pańską uprzejmość i jestem niezmiernie wdzięczna, ale nie ma nic, w czym mógłby mi pan pomóc.

Skinął głową, wciąż idąc powoli obok niej. Zapadło milczenie.

- Może uzna pani, że jestem zbyt śmiały i natarczywy, ale nauczony przeszłymi doświadczeniami... - urwał na chwilę. Alice wiedziała, że mówi o wydarzeniach z poprzedniego roku. Cały Londyn wiedział, jak długo Hawick zabiegał o względy Venetii. - Sądzę, że w takich sprawach najlepiej nie przedłużać negocjacji ani nie przeciągać gier. Wiem, czego chcę, i albo to zdobędę, albo nie.

Alice poczuła ucisk w żołądku i serce zaczęło jej bić szybciej w przypływie zdenerwowania.

- Nigdy nie ukrywałem, jak bardzo panią podziwiam, panno Sweetly.

Szła przed siebie, nie patrząc na niego.

- A podczas pani nieobecności moje uczucia jeszcze się pogłębiły.

Serce biło jej coraz mocniej. Wiedziała, o co Hawick za chwilę ją zapyta.

- Jest pani w tej chwili pozbawiona męskiej opieki, a ja bardzo chętnie mógłbym tę opiekę zaoferować.

- Wasza wysokość... - Zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Nie jestem przygotowany na długie negocjacje na piśmie, wolę bardziej bezpośrednio podejście. Mam nadzieję, że nie uzna pani za obraźliwą otwartej rozmowy o warunkach. Przechodząc do rzeczy, panno Sweetly: sto funtów miesięcznie, cztery nowe zestawy strojów rocznie, wyjścia i rozrywki, a także umeblowany dom przy Sackville Street wraz ze służbą i z pokryciem wszelkich kosztów utrzymania, powóz i cztery konie do dyspozycji. Naturalnie, to

wszystko zostanie spisane w formie kontraktu. - Uśmiechnął się uroczo, ale jego błękitne oczy miały twardy wyraz.

Sto funtów miesięcznie. Nawet gdyby była z nim tylko przez trzy miesiące, dawało to trzysta funtów - wystarczająco wiele, by znaleźć bezpieczne mieszkanie i przetrwać przez dłuższy czas przy oszczędnym trybie życia. A jednak Alice wiedziała aż zbyt dobrze, co się wiąże z pozycją kochanki jakiegokolwiek mężczyzny, i nie miała ochoty sprzedawać się jemu ani nikomu innemu. Miała ochotę powiedzieć mu, żeby sobie poszedł i nigdy więcej się do niej nie zbliżał. Chciała wykrzyknąć, że nie jest tanią dziwką, która sprzedaje się temu, kto zaoferuje jej najwyższą cenę, bez względu na jej własne pragnienia, wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Przygryzła usta i odwróciła wzrok, bo w rzeczywistości była przecież dziwką i jedyną rzeczą, którą mogła sprzedać, była ona sama.

Kręciło jej się w głowie. Pomyślała o dziecku, o dziecku Razeby'ego i ogarnęła ją nagła potrzeba, by chronić to dziecko, by zrobić dla niego wszystko, co możliwe.

- Wasza wysokość nie oczekuje chyba, że udzielę odpowiedzi od razu - powiedziała, wpatrując się w czubek własnego beżowego pantofla i wypolerowany but Hawicka na tle zielonej trawy.

Podniosła głowę i napotkała jego spojrzenie.

- To byłoby nierozsądne, a ja nie jestem nierozsądnym człowiekiem. Chciałbym otrzymać odpowiedź do końca tygodnia. Znajdzie mnie tu pani codziennie o tej porze. Przyjeżdżam do parku, żeby Legion mógł zażyć trochę ruchu. Może też pani przysłać mi wiadomość do domu. - Sięgnął do kieszeni po wizytówkę. Nie odpowiedziała, ale przyjęła ją.

- Bardzo mi było miło spotkać panią tutaj, panno Sweetly. - Hawick ucałował jej dłoń w rękawiczce, skłonił się, nałożył kapelusz i wskoczył na siodło.

Przez chwilę patrzył na nią, a potem z lekkim uśmiechem skinął głową i odjechał w tym samym kierunku, z którego przybył.

Na myśl o jego propozycji zbierało jej się na mdłości. Wzięła głęboki oddech, wsunęła wizytówkę do sakiewki i poszła dalej.

Alice siedziała na skraju łóżka w malutkiej sypialni na strychu domu Venetii. Miała na sobie długą, białą nocną koszulę. Dom pogrążony był w mroku i ciszy. Na zewnątrz słychać było okrzyki strażników.

- Już druga! W mieście panuje spokój!

Deszcz stukał miękko o szyby okna. Niebo było zupełnie ciemne. Grube chmury zasłaniały księżyc i gwiazdy. Świeca na szafce przy pojedynczym łóżku prawie już się wypaliła. Alice naciągnęła wełniany szal na ramiona, by odpędzić nocny chłód. W rękę trzymała wizytówkę, którą Hawick dał jej w parku. Adres wydrukowany był kosztownym, czarnym atramentem na grubym białym papierze, ona jednak nie miała pojęcia, co tam jest napisane. Choć przez wiele miesięcy wpatrywała się w litery, słowa zawsze były dla niej tylko dziwną zbieraniną symboli i wzorów, które nie miały żadnego sensu.

Hawick w przeszłości miał słynne kochanki, a o jego zabiegach o Venetię, gdy była jeszcze aktorką, przed ślubem z Linwoodem, wiedziało całe miasto. Mówiono, że proponował jej dziesięć tysięcy funtów, a mimo to Venetia odrzuciła ofertę. Tysiąc dwieście funtów nie umywało się nawet do tamtej propozycji, ale mimo wszystko był to majątek, choć Alice wiedziała, że nie uda jej się zachować tej pozycji przez cały rok. Gdy Hawick odkryje jej ciążę, nie będzie dłużej chciał mieć jej w łóżku. Zastanawiała się, ile miesięcy minie, zanim stanie się to wyraźnie widoczne, Niewątpliwie będzie to trudno przed nim ukryć. Na tę myśl przymknęła oczy, wiedziała jednak, że nie może być zbyt wybredna. Sama sobie pościeliła i teraz, zupełnie dosłownie, musiała tak spać.

Przyłożyła rękę do brzucha, próbując powstrzymać łzy. Łzy i sentymenty nie zapewnią dziecku dachu nad głową, powiedziała sobie gniewnie. Przecież już kiedyś sypiała z mężczyznami, którzy zupełnie się jej nie podobali i których nie kochała. Jakiś głos w jej głowie powtarzał jednak, że to było przed Razeby. Razeby zmienił wszystko.

Nie mogła zostać tutaj i zniszczyć szans Venetii na szczęście. Nie mogła też wrócić do Irlandii i obarczyć swoimi problemami matki, która w ciągu ostatniego roku postarzała się o dziesięć lat i zamartwiała się już o Molly. Zawsze to Alice rozwiązywała problemy całej rodziny. A Razeby w następny wtorek miał się ożenić z panną Darrington.

Gdy pomyślała o tym w ten sposób, tak naprawdę nie miała żadnego wyboru. Płacz nie był dobry dla dziecka. Zmusiła się, by oddychać. Otarła łzy z policzków, wsunęła się pod kołdrę, zdmuchnęła świecę i leżała w ciemnościach.

- Panno Sweetly. - Uśmiechnął się Hawick, zatrzymując konia o kilka kroków przed ławką, na której siedziała, czekając na niego. - Niezmiernie się cieszę, że znów panią widzę i to tak szybko po naszym ostatnim spotkaniu.

Tego dnia nie świeciło słońce. Niebo było szare, a trawa wciąż wilgotna po wcześniejszym deszczu.

- Wasza wysokość. - Alice podniosła się i dygnęła.

Hawick zdjął kapelusz i stanął obok niej. Nie była w stanie się uśmiechnąć ani wypowiedzieć żadnej uprzejmej formuły. Przeszła od razu do rzeczy.

- Co się tyczy pańskiej wczorajszej oferty...

Jego błękitne oczy zatrzymały się na jej twarzy.

- Przyjmę ją za dwieście funtów miesięcznie.

- Sto pięćdziesiąt. - Uśmiechnął się.

- Dwieście - powtórzyła, czując wstręt do siebie za to, co robiła.

Przez chwilę przyglądał się jej, wiodąc wzrokiem po jej ciele, jakby chciał ocenić, co dostanie za te pieniądze. Piersi miała już większe i wrażliwsze niż zazwyczaj. Oczy Hawicka zatrzymały się na nich. Na razie była to jedyna wyraźna oznaka jej stanu.

Przesunął wzrok na jej twarz i znów się uśmiechnął.

- Jest pani twarda w negocjacjach, panno Sweetly. Ale niech będzie dwieście.

Poczuła ulgę.

- Każę prawnikowi spisać kontrakt. Będzie obowiązywał od... Od jutra?

- Od jutra? Tak szybko? - spłoszyła się, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Jego spojrzenie znów stwardniało.

- Czy ma pani jakiś powód, żeby to odwlekać?

Odwlekanie mogło tylko pogorszyć sprawę, toteż potrząsnęła głową.

- Dokąd mam przysłać powóz, żeby przewieźć pani rzeczy na Sackville Street?

- Nie trzeba powozu. Poradzę sobie sama.

- Skoro tak pani woli...

- Tak.

- Numer domu to czterdzieści cztery.

- Już go pan wynajął?

- Cała ulica należy do mnie - wyjaśnił.

- Och, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Popatrzeli na siebie.

- Do jutra, panno Sweetly. - Hawick wziął ją za rękę. Powstrzymała się z trudem, żeby nie wyrwać dłoni. Podniósł ją do ust i ucałował palce w rękawiczkach, przez cały czas patrząc w jej oczy. Widziała w tym spojrzeniu pożądanie, arogancję i poczucie własności i przeszedł ją dreszcz lęku. Spuściła wzrok i dygnęła.

- Wasza wysokość.

- zaproponowałbym, że panią odprowadzę, ale mam przeczucie, że odmówiłaby mi pani tej przyjemności.

- Przeczucie pana nie myli, wasza wysokość.

- Ale jutro nie odmówi mi pani, prawda, Alice?

- Nie. Nie odmówię panu jutro - powiedziała cicho.

Uśmiechnął się, wskoczył na konia i odjechał.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Alice skończyła mówić i na widok wyrazu twarzy Venetii odwróciła wzrok.

- Nie musisz tego robić, Alice. Możesz tu zostać.

- Nie mogę, Venetio. Obydwie o tym wiemy. Wiele ryzykujesz już przez to, że pozwoliłaś mi się tu zatrzymać na kilka dni. Jeśli ktoś się o tym dowie, wszystko, co osiągnęłaś podczas balu, może się obrócić w ruinę.

- Alice... - Venetia z troską zmarszczyła brwi, ale nie mogła zaprzeczyć. Obydwie wiedziały, że obecność Alice jest dla niej obciążeniem. - Możesz się zatrzymać w tym domu w Whitechapel. To uboga dzielnica, ale zawsze znajdziesz tam dach nad głową i coś do jedzenia. Nie odmówię ci.

- Wiem. - Ale na to było już za późno. Poza tym Alice musiała zarobić pieniądze dla dziecka i dla rodziny w Irlandii. Uśmiechnęła się, by złagodzić odmowę. - Jeszcze nie rozpakowałam torby. Jutro z samego rana przeniosę się na Sackville Street.

- A co zrobisz, gdy Hawick odkryje, że jesteś w ciąży?

- Będę się o to martwić, gdy to już się zdarzy.

- Gdybyś zmieniła zdanie na temat Hawicka albo gdybyś natrafiła na jakieś kłopoty z nim czy z czymkolwiek innym, to zwróć się do mnie. Obiecuj mi przynajmniej tyle.

- Nie będę miała żadnych kłopotów - odrzekła Alice z pewnością siebie, której wcale nie czuła.

Venetia mocno uścisnęła jej dłoń.

- Obiecuj, Alice.

W oczach przyjaciółki widziała współczucie i troskę. Przypomniała sobie wszystko, co je łączyło, i wszystko, co Venetia dotychczas dla niej zrobiła.

- Obiecuję - odrzekła, wiedziała jednak, że nie zaryzykuje zniszczenia reputacji Venetii, chyba że znajdzie się w desperackim położeniu.

Przyjaciółka uścisnęła ją i obydwie otarły łzy z oczu.

Następnego popołudnia Alice stała naprzeciwko Hawicka w pięknie umeblowanej bawialni domu przy Sackville Street. Na górze służba rozpakowywała już jej torbę w największej sypialni, wieszala suknie w garderobie, zwijała bieliznę i chowała ją do szuflad.

- Żeby wszystko było jasne: twierdzisz, że przytrafiła ci się właśnie kobieca przypadłość i nie możesz dzisiaj ze mną spać.

- Niestety, tak się niefortunnie złożyło - skłamała, patrząc mu śmiało w oczy.

- Rzeczywiście niefortunnie - powiedział z niezadowoleniem. - Nie wspominałaś o tym wczoraj w parku. Czy w takich dniach kobiety nie pozostają zwykle w domu?

- To nadeszło dzisiaj rano - odrzekła.

Zauważyła, że zatrzymał wzrok na jej palcach, nerwowo skubiących haftowaną sakiewkę. Poczula lęk i nonszalanckim ruchem odłożyła sakiewkę za sofę. Zastanawiała się, co by było, gdyby Hawick otworzył sakiewkę i znalazł w niej list oraz grawerowane srebrne pióro od Razeby'ego.

- Nie masz chyba żadnych wątpliwości dotyczących naszego kontraktu?

- Oczywiście, że nie. - Kolejne kłamstwo. - Przecież nie mogę przeciwstawiać się naturze, choć bardzo bym pragnęła, by było inaczej. - Uśmiechnęła się kusząco i zmusiła się, by pocałować go w policzek.

- Jak długo zwykle trwają u ciebie te dni, Alice? - zapytał.

Pomyślała, że nawet nie poprosił o pozwolenie, by zwracać się do niej po imieniu.

- Zaledwie tydzień. - Nie mogła prosić o dłuższe odwołanie sprawy, nie wzbudzając w nim podejrzeń. A dopóki nie miała w ręku zapłaty za pierwszy miesiąc, nie mogła pozwolić sobie na to, by wzbudzić w nim podejrzenia.

Uniósł brwi.

- To znaczy, do następnej soboty?

Skinęła głową.

- W takim razie poczekam tydzień. - Przesunął palcem po skraju jej gorsetu. - I mam nadzieję, że nasze połączenie stanie się przez to czekanie tym słodsze.

Znów skinęła głową, ale miejsce, którego dotknął pokryło się gęsią skórką, a przyczyną ogarniających ją mdłości z pewnością nie było dziecko. Dostała odroczenie na tydzień. Zaled-

wie tygodni. Potem nie będzie mogła wymyślić już nic innego i będzie musiała dać Hawickowi to, za co płacił. Usłyszała jego oddalające się kroki, a potem trzaśnięcie wejściowych drzwi i oparła się o ścianę, modląc się, by te dni wlokły się jak najdłużej.

Razeby modlił się o to samo, ale tydzień przeminął zbyt szybko. Niewiele czasu spędzał w towarzystwie panny Darrington. Wieczorami przeważnie odwiedzał klub White'a albo jakiś przybytek hazardu, próbując pokazać całemu światu, że doskonale się bawi i że stara się wykorzystać ostatnie kawalerskie dni, choć miał wrażenie, że jego życie rozpada się na kawałki, i najchętniej zamknąłby się sam w domu. Ale lepiej było nie mieć czasu na rozmyślenia. Spędzał wszystkie wieczory w towarzystwie, a potem wracał do domu późno i pił, dopóki nie zapominał o wszystkim.

Nadeszła sobota. Obudził się i leżał w łóżku, krzywiąc się na ostre promienie słońca, które wpadały do sypialni przez szparę między zasłonami. Tego dnia miał się odbyć jego wieczór kawalerski. Jeszcze trzy wieczory i stanie przed ołtarzem obok panny Darrington, a gdy klamka zapadnie, ta tortura wreszcie się skończy. Spłodzi dziedzica i radośnie powita trzydzieste urodziny oraz koniec, który ten dzień miał oznaczać. Przez całe życie bał się tego dnia i robił, co mógł, by zaprzeczyć tej świadomości, a teraz tęsknił do ulgi, jaką ten dzień miał przynieść. Tylko ostateczne rozwiązanie mogło wymazać widmo Alice z jego myśli. Nic innego.

Zegar na dole w holu wybił południe. Razeby odrzucił kołdrę i przerzucił nogi przez krawędź łóżka. Siedział tak nagi, nieogolony, i czuł się okropnie. Zbyt wiele zarwanych nocy, za dużo brandy, wina i szampana, za dużo cygar. I żaden z tych środków nie mógł ułagodzić gniewu, znieść posmaku goryczy w ustach ani pulsującego bólu w piersi, do którego nie przyznałby się przed nikim za nic w świecie.

Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i objął dłońmi głowę. Zastanawiał się, jak przebrnie przez ślub, skoro nie miał nawet pojęcia, czy uda mu się przetrwać najbliższy wieczór. Podniósł głowę i popatrzył na czarny kostium w szachownicę, który wisiał na parawanie obok czarnej maski na twarz. Choć nie miał nastroju do świętowania, bal maskowy był lepszy niż noc w ekskluzywnym burdelu pani Silver. Z grymasem na twarzy zdusił myśl o Alice i zadzwonił na lokaja.

O czwartej po południu Hawick pojawił się w domu przy Sackville Street, gdzie Alice spędziła samotnie cały tydzień, udając stan zupełnie przeciwny do tego, w którym znajdowało się jej ciało.

- Alice. - Wziął ją za rękę i przyłożył jej dłoń do ust.

Zignorowała procesję pokojówek i lokajów, którzy przebiegali obok nich, nosząc jakieś paczki i stroje na wieszakach, i stłumiła chęć, by wyrwać mu rękę.

- Może wejdiesz do bawialni? Każę przynieść herbatę albo coś mocniejszego. - Wszystko, byle czymś go zająć, żeby nie miał ochoty jej pocałować ani żeby nie przyszło mu do głowy nic gorszego.

Skinął głową i poszedł za nią do bawialni.

- Mam nadzieję, że czujesz się już dobrze i że twoja przypadłość minęła.

Miała ochotę błagać go o jeszcze jedną noc, ale wiedziała, że nie może tego zrobić.

- Owszem - skinęła głową. - Wróciłam już do zdrowia, wasza wysokość.

- Sprawia mi to wielką ulgę.

Alice nie odpowiedziała.

- I sądzę, biorąc pod uwagę intymność naszej przyjaźni, że możesz pominąć tytuł, zwracając się do mnie. Mam na imię Anthony.

- Anthony - powtórzyła. Uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, bardziej przypominał grymas. - Ale tytuł „wasza wysokość” sam nasuwa mi się na usta.

- No cóż, przekonamy się, czy uda nam się to zmienić dzisiaj wieczorem.

Na tę myśl poczuła ściskanie w żołądku i uśmiechnęła się jeszcze szerzej, by ukryć przeżenie.

- Ponieważ jesteś już zdrowa, a także po to, by uczcić nasz kontrakt, zaplanowałem na dziś wieczór niespodziankę.

- Niespodziankę? - Starła się nie okazać po sobie niepokoju.

- Bal - wyjaśnił Hawick. - Nieco inny niż zwykle, ale przez to tym bardziej ekscytujący. Pomyślałem, że możemy tam pójść.

- To doskonały pomysł na spędzenie naszego pierwszego wieczoru razem - odrzekła myśląc, że publicznie nie będzie mógł dopuścić się zbyt wielkiej intymności.

Zaraz jednak przypomniała sobie Razeby'ego, teatr Covent Garden i to, co zrobili tam w miejscu publicznym.

- Uwielbiam tańczyć. - Na parkiecie w każdym razie powinna być bezpieczna.

- To dobrze. Będę wyczekiwał naszego pierwszego tańca.

Od uśmiechu zaczynały ją już boleć mięśnie.

- Każę przynieść herbatę, dobrze?

- Alice, nie przyszedłem tu na herbatę.



- Nie? - zapytała nieco zbyt piskliwym głosem.
- Chodźmy na górę.
- Na górę? Chyba jeszcze trochę za wcześnie na...

Roześmiał się, wziął ją za rękę i poprowadził po schodach do sypialni. Kolana ugięły się pod nią, na skórze gromadził się pot. Ręce miała zimne i wilgotne. Zatrzymał się tuż przed drzwiami.

- Zamknij oczy.
- Dlaczego? - zapytała podejrzliwie.
- Zamknij, jeśli nie chcesz zepsuć mi niespodzianki.
- Szczerze mówiąc, nie przepadam za niespodziankami, Anthony.
- Wierz mi, ta ci się spodoba.

Alice nie była tego taka pewna, ale zamknęła oczy. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, a potem Anthony wprowadził ją do środka.

- Możesz już patrzeć.

Otworzyła oczy. Na łóżku przed nią leżała jedwabna suknia w kolorze jaskrawego szkarłatu. Gorset naszywany był szklanymi paciorkami, które w dziennym świetle lśniły jak rubiny, dekolot wycięty nieprzyzwoicie nisko, a spódnica tak cienka, że niemal przezroczysta. Obok leżała narzutka z dużym kapturem w biało-czerwonej szachownicy, a także wenecka maska w tym samym kolorze, ozdobiona szklanymi paciorkami i czerwonymi piórami.

Wszystkie oczekiwania Alice zbladły wobec przerażającej rzeczywistości tego, co zobaczyła przed sobą. Sukienka i maska podobne były do stroju, który nosiła jako Miss Rouge, gdy pracowała w burdelu pani Silver.

- Każda kobieta potrzebuje nowej sukni na bal, szczególnie jeśli ma to być bal maskowy. Zakręciło jej się w głowie. Musiała się przytrzymać mahoniowego słupka przy łóżku.
- Ta sukienka jest czerwona - odrzekła sztywno, głosem, który zupełnie nie przypominał jej własnego.

Obróciła głowę i spojrzała na niego, zastanawiając się, czy poznał sekret jej przeszłości i czy wiedział o tym, że to ona kryła się za maską Miss Rouge. Czy miała to być jakaś okrutna tortura? Ale we wzroku Hawicka dostrzegła tylko pożądanie i podziw.

- Zawsze uważałem, że czerwony to bardzo ekscytujący kolor.
- Nie wyglądam dobrze w czerwonym - powiedziała ostrożnie przez zeszywniałe usta.

- Przeciwnie, myślę, że będziesz wyglądać w niej doskonale. - Podeszedł bliżej i przesunął palcami po jej dekolcie.

Poczuła na czole jego gorący, wilgotny oddech oraz zbyt mocny zapach wody kolońskiej.

- Załóż to dla mnie, Alice - poprosił.

Wiedziała, że nie może mu odmówić, nie wzbudzając podejrzeń. Skinęła głową.

- Oczywiście.

Zauważyła jego spojrzenie skupione na jej piersiach. Drgnęła nerwowo, gdy położył rękę na jej pośladkach.

- Wydajesz się nieco zdenerwowana, Alice - powiedział, patrząc jej w oczy.

- W końcu jesteś księciem, Anthony. Każda kobieta na moim miejscu byłaby zdenerwowana - odrzekła przeproszającym tonem, modląc się w duchu, by nie zapragnął wziąć jej tu i teraz.

- Szkoda, że nie mam czasu, by ci udowodnić, że nie masz się czym denerwować, ale niestety muszę jeszcze wstąpić w pewne miejsce, będziemy więc musieli odłożyć tę przyjemność na później.

Z trudem powściągnęła ulgę i uśmiechnęła się, tym razem zupełnie szczerze.

- Przyjadę po ciebie o dziewiątej - obiecał.

Skinęła głową. Wołała nie pytać, jakiego koloru będzie jego strój.

Zegar na wieży kościoła Świętego Jakuba wybił dziesiątą. Niebo było równie czarne jak stroje i maski, które mieli na sobie Razeby i Linwood, siedzący we wnętrzu powozu. Powóz zwolnił, gdy zbliżali się Argyle Rooms po północnej stronie Little Argyle Street na rogu King Street. Budynek był rozświetlony. Światło świec płonących w olbrzymich kryształowych kandelabrach lśniło przez okna sali balowej, położonej w zachodniej części budynku, oraz w uchwytych na ścianie przy wielkich drzwiach wejściowych.

- Idź sam, dołączę do ciebie później. Mam coś do zrobienia - powiedział Razeby.

- Ale zamierzasz się pojawić? - upewnił się Linwood.

- To przecież mój wieczór kawalerski. Muszę się pojawić. Całe towarzystwo oczekuje, że godnie zakończę okres życia w samotności. Nie mogę ich rozczarować. - Spojrzał na przyjaciela, ciesząc się, że w powozie panuje półmrok. - Całe szczęście, że nie wybieramy się dzisiaj do domu pani Silver.

Linwood ze zrozumieniem skinął głową.

- To coś, co masz do zrobienia...

- Muszę zakończyć pewną sprawę, Linwood. Coś, co powinienem zrobić już kilka tygodni temu.

Linwood znów skinął głową, ale nie poruszył się.

- Razeby... - Pochylił się naprzód. - Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. To dotyczy panny...

Ale w tej samej chwili lokaj otworzył drzwi powozu.

- Powiem ci później - mruknął Linwood i wysiadł.

Razeby został w środku sam. Drzwi znów się zamknęły i powóz pomknął w stronę Hart Street.

W domu wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej, gdy stąd wyszedł. W holu i w największych pokojach płonęły świece. Ogień płonął również we wszystkich kominkach, toteż w domu było ciepło. Razeby nie spał tu już od kilku tygodni, ale wszystko było przygotowane, by mógł się tu pojawić w każdej chwili, i wyglądało tak, jak wtedy, gdy mieszkała tu Alice.

Odłożył czarną maskę wenecką na sekretarzyk i rozejrzał się po sypialni. Na kominku płonął niewielki ogień, tak jak wtedy, gdy spędzał tu wieczory w towarzystwie Alice. Niebo na zewnątrz spowijał mrok i choć nie zapalono świec w kandelabrze, płonęły świece na stole i w uchwytych na ścianie. Pokój wyglądał przytulnie, jakby Alice wciąż tu mieszkała. W powietrzu unosił się lekki zapach lawendy i woskowej politory.

Jutro miał zrezygnować z umowy najmu. Tym samym zniknie ostatni ślad jego życia z Alice. Nie miał pojęcia, dlaczego zatrzymał ten dom tak długo, dlaczego nie chciał się go pozbyć. Wciąż dręczyła go myśl o tym, jaki był głupi i jak niewiele brakowało, by odrzucił wszystko dla zimnej kurtyzany.

Zacisnął zęby. Ojciec na pewno przewracał się w grobie. Matka nigdy by mu tego nie wybaczyła. Zastanawiał się, czy sam potrafiłby sobie to wybaczyć. Spoglądając wstecz, nie mógł uwierzyć, że tak nedorzeczny pomysł w ogóle przyszedł mu do głowy. Jakieś szaleństwo ogarnęło jego umysł i serce. Razeby przysięgł sobie, że w tym krótkim czasie, który mu pozostał, nie pozwoli znów tak się zwieść.

Rozejrzał się po pokoju. Po jednej stronie znajdował się stolik do kart, gdzie grywali w blackjacka, po drugiej sofa, na której prowadzili gry o bardziej intymnym charakterze, oraz dywanik przed kominkiem, na którym się kochali. Poczł gorycz w ustach. Sięgnął po maskę i

przypomniawszy sobie, jak wiele razy, gdy tu przychodził, Alice chowała przed nim jakieś tajemnicze listy. Palce miała poplamione atramentem, a policzki zarumienione z zażenowania. Przy-mrużył oczy i znów poczuł ukłucie podejrzliwości. Zastanawiał się, do kogo pisywała tak często.

Zostawił maskę tam, gdzie leżała, i przeszukał sekretarzyk. W pojemniku na pióra leżało stare tanie pióro ze stalówką stępioną od częstego używania. Nie było ani śladu po kosztownym srebrnym piórze, które jej kupił i kazał wygrawerować. Zapewne zabrała je ze sobą, pomyślał kwaśno. Większość przegródek i szufladek była pusta. Znalazł kilka ogryzków ołówka, gumkę do wycierania i kawałek wosku do pieczętowania. W drugiej szufladce leżała sterta jego starych listów, które przekazywano mu z domu miejskiego i które lokaj przynosił mu każdego ranka. Czytał je tutaj i zostawiał u Alice, by je spaliła.

Zmarszczył brwi i wyciągnął te listy, zastanawiając się, po co je zatrzymała. Wyglądały tak samo jak wtedy, gdy je zostawiał, ale gdy obrócił kartkę, po drugiej stronie zauważył długie rzędy liter alfabetu. Rząd „a”, potem rząd „b” i tak dalej - całe strony zapisane były podobnymi rzędami liter kreślonych niezgrabną ręką, jakby pisało je małe dziecko. Niektóre litery były odwrócone z lewa na prawo albo napisane do góry nogami. Przerzucił kartki i naraz stanął jak wryty, gdy zobaczył stronę, na której wielokrotnie powtarzały się dwa słowa. Na następnych stronach było to samo - te same dwa słowa ćwiczone zmusznie, aż nauczyła się je pisać bezbłędnie: „Alice” i „Razeby”, a pomiędzy nimi rysunek serca.

Razeby poczuł ucisk w piersi. Na ostatniej kartce na samym dole sterty zobaczył naszkicowany piórem swój portret - prosty i schematyczny, ale udało jej się uchwycić podobieństwo. Na tym rysunku uśmiechał się tak, jak teraz już nigdy się nie uśmiechał.

Dobry Boże! Zrozumiał wreszcie, co robiła całymi dniami i dlaczego nie chciała, by to zobaczył. Zrozumiał także, dlaczego nigdy nie widział, by czytała gazetę albo by otrzymała jakiś list czy nawet podpisała cokolwiek. Alice - serce - Razeby. Nie wiedziała, jak napisać słowo „kocha”. „Alice kocha Razeby'ego”, a nie „Razeby kocha Alice”, tak jak on wygrawerował na srebrnej skuwce pióra.

Usłyszał znowu te słowa, które prześladowały go w koszmarach i sprawiały, że skręcał się z goryczy i gniewu: *Nigdy nie powiedziałam, że cię Kocham, nigdy nie użyłam tych słów.* To zdanie sformułowane było bardzo ostrożnie. Nie powiedziała tych słów, ale wypisywała je wielokrotnie, choć musiała zapłacić za to wielką cenę.

Poczuł na plecach zimny pot. Ogarnęło go okropne wrażenie, że to wszystko było nie tak.

*Alice kocha Razeby'ego.*

Złożył stertę listów, wsunął je do wewnętrznej kieszeni i sięgnął po maskę. Gdy wychodził z pokoju, długi płaszcz w szachownicę załopotał za nim jak wielkie czarne skrzydło.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Sala balowa była zatłoczona. Na balkonie nieduża orkiestra grała melodie inspirowane muzyką baroku. Muzyka zdawała się dochodzić ze ścian i łukowo sklepionego sufitu. Tłum był barwny, podobnie jak dwory przed pięćdziesięciu laty. Mężczyźni i kobiety ubrani byli w stroje w szachownice we wszystkich barwach tęczy, a twarze mieli ukryte pod czarnymi lub białymi maskami, podobnymi do tych, które nosili Alice i Hawick. Zdawało się, że maski sprzyjają atmosferze wyzwolenia, zmysłowości i lekkomyślności. Alice zdawała sobie sprawę, że jej czerwona maska wyróżnia się na tle innych. Hawick, podobnie jak większość mężczyzn, miał czarną.

Już myślała, że udało jej się uciec przed Miss Rouge i tamtym okresem życia, ale teraz, w śmiałej szkarłatnej sukni, gdy dłoń Hawicka zaborczo otaczała jej ramię, znów poczuła się tamtą osobą - ladacznicą, która musiała sprzedawać się temu, kto zapłacił najwięcej. Mogła to znieść tylko dzięki temu, że maska przykrywała jej twarz. Cieszyła się, że cały Londyn nie dowie się o jej poniżeniu.

Odsunęła od siebie tę myśl. Nie pozwalała sobie myśleć ani czuć. Kobieta przy boku Hawicka poruszała się, tańczyła i odpowiadała, gdy ktoś coś do niej powiedział, ale nie była to Alice, lecz pusta skorupa, Miss Rouge. Miss Rouge była w stanie przetrwać tę noc, Alice zaś nie potrafiłaby tego zrobić.

Wszyscy śmiali się, pili i tańczyli jak na bachanaliach. Dłoń Hawicka wsunęła się pod jej narzutkę, otoczyła ją w pasie i pogładziła po plecach.

- Zatańczmy, Alice. - Poczuła na policzku jego gorący oddech przesycony czerwonym winem i pozwoliła się poprowadzić na parkiet. Muzyka znów zaczęła grać.

Po ulicy roznosił się stuk mosiężnej kołatki. Drzwi otworzyły się i Razeby wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie. Bez słowa minął kamerdynera i stanął w holu domu Linwooda.

- Lord Razeby chce się zobaczyć z panną Sweetly.

Drzwi za nim zamknęły się. Policzki kamerdynera okryły się rumieńcem.

- Tu nie ma panny Sweetly, milordzie - powiedział stanowczo, lecz uprzejmie.

- Doskonale wiem, że tu jest. Proszę, przyprowadź ją i...

W drzwiach bawialni stanęła Venetia w jasnobieżowej sukni, spokojna i opanowana jak zwykle.

- Razeby - powiedziała gładkim, niskim głosem.

- Wiem, że ona tu jest, lady Linwood, i nie wyjdę, dopóki jej nie zobaczę.

Venetia skinęła głową kamerdynerowi i dopiero gdy zniknął, zwróciła się do Razeby'ego.

- Powinieneś być na balu maskowym. To twój wieczór kawalerski.

- Nigdzie nie pójde, dopóki nie porozmawiam z Alice.

Venetia lekko zmarszczyła brwi.

- Czy Linwood coś ci powiedział?

- O czym?

- Mniejsza o to - odrzekła z lekkim uśmiechem i po chwili dodała: - Alice tu nie ma.

- Nie próbuj mnie oszukiwać. Linwood powiedział, że zatrzymała się tutaj po powrocie do Londynu.

- Była tu, ale teraz już jej nie ma.

- A gdzie jest?

- A czego od niej chcesz?

- Przekonałem się, że nie była ze mną zupełnie szczerą.

Wydawało mu się, że zauważył jakiś dziwny błysk w oczach Venetii, ale gdy znów na niego spojrzała, jej twarz nie wyrażała niczego.

- Gdzie ona jest, Venetio?

- Wkrótce się dowiesz.

Razeby groźnie uniósł brwi.

- Co to ma znaczyć?

Venetia spokojnie patrzyła mu w oczy.

- Proszę, Venetio. Kocham ją.

Gospodyni odwróciła wzrok.

- Och, Alice - westchnęła cicho, przymykając oczy. Wzięła głęboki oddech i znów na niego spojrzała. - Ona cię kocha, Razeby, choć może to wyglądać inaczej. Wszystko, co zrobiła

i co robi, ma swoją przyczynę. Nie chciała tu zostać i przyjąć mojej pomocy, bo obawiała się, że to może zrujnować moją pozycję. Jej rodzina ma kłopoty. Są też inne skomplikowane powody, o których nic nie mogę powiedzieć. Gdybyś pojawił się w zeszłym tygodniu... - Zauważył troskę i niepokój na jej twarzy. - Przyszedłeś za późno, Razeby. - Zawahała się i w jej oczach błysnęło cierpienie. - Od tygodnia jest u Hawicka, w jego domu przy Sackville Street czterdzieści cztery.

- U Hawicka - powtórzył cichym, złowróżbnym tonem.

- Przykro mi.

Ale Razeby był już w połowie kamiennych schodów, które prowadziły od drzwi wejściowych na ulicę.

Alice poczuła ukradkowy dotyk dłoni Hawicka na biodrze, gdy obracał ją w tańcu.

- Dobrze wyglądasz w czerwieni, Alice. Ale mam nadzieję, że dziś wieczór zrzucę z ciebie ten strój - szepnął jej do ucha.

Zadrżała, ale na szczęście nie musiała odpowiadać, bo rozdzieliły ich kroki tańca. Spojrzała przez tłum w stronę drzwi, żałując, że nie może odwrócić się od tego, co na nią czekało, przepchnąć się między tańczącymi i wybiec na ulicę, jak najdalej od Hawicka i od tego koszmaru.

Na skraju parkietu stała grupa mężczyzn ubranych w czarno-białe szachownice, ale bez masek. Alice popatrzyła z przerażeniem na twarze, które знаła aż nazbyt dobrze: Devlin, Falingham, Bullford, Monteith i Linwood. Krew w jej żyłach zastygła, a oczy natychmiast zaczęły szukać szóstego członka tej grupy, obawiając się zarazem, że go znajdzie. Serce biło jej tak mocno, że słyszała dudnienie własnej krwi w uszach. Proszę, Boże, modliła się, nie pozwól, żeby on się tu pojawił. Nie zniosłaby tego, gdyby Razeby zobaczył ją z Hawickiem, w dodatku w tym stroju.

Bóg chyba wysłuchał jej prośb, bo Razeby'ego nie było.

Ciemne oczy Linwooda skierowały się w jej stronę. Oblała się rumieńcem wstydu, gdy zdała sobie sprawę, że wicehrabia ją rozpoznał. Zaraz jednak tańczący zasłonili jej widok i nie zobaczyła go więcej.

Patrzyła z tęsknotą na drzwi, ale nie mogła uciec od odpowiedzialności. Kroki tańca znów przywiodły ją do Hawicka.

- Panny Sweetly nie ma w domu. - Lokaj stojący przy drzwiach domu przy Sackville Street pod numerem czterdziestym czwartym był młody i jeszcze nieopierzony, ale dobrze wiedział, kto mu płaci. - Jego wysokości księcia Hawicka też nie ma.

- A dokąd się udali? - zapytał Razeby zwodniczo uprzejmym tonem.

- Nie mam prawa tego wyjawiać, sir.

- Oczywiście. - Razeby uśmiechnął się. - Dobrze jest mieć godną zaufania służbę. Przypuszczam, że twoja praca jest warta dla ciebie zbyt wiele, byś mi powiedział.

Młody człowiek skinął głową.

- A ile jest warta twoja posada? - dodał Razeby swobodnie, opierając się o framugę.

Lokaj poruszył się niespokojnie. Razeby z uśmiechem wyciągnął plik banknotów z kieszeni i zaczął je przerzucać.

- Tyle? - zapytał, odliczając kilka banknotów funtowych. Lokaj wpatrywał się w pieniądze jak zahipnotyzowany. - A może tyle? - Przerzucił palcami połowę pliku. - A może nawet trochę więcej? - Przerzucił wszystkie banknoty i uśmiechnął się do służącego. - Dwieście funtów. To mnóstwo pieniędzy za tak nieistotną odpowiedź. Londyn jest sporym miastem i mogę uzyskać tę informację z wielu źródeł.

- Jego wysokość zabrał pannę Sweetly na wielką maskaradę w Argyle Rooms.

Razeby uśmiechnął się i podał mu pieniądze. Lokaj rozejrzał się podejrzliwie dokoła i wsunął je do kieszeni. Markiz wrócił do czekającego powozu i założył na twarz czarną maskę.

W końcu znalazł się w sali balowej Argyle Rooms, ale nie miał pojęcia, jak uda mu się odnaleźć Alice i Hawicka w tłumie barwnych szachownic i masek. Większość mężczyzn wybrała czerń. Stroje kobiet były złote, srebrne, białe, żółte, niebieskie i zielone. W kamiennych murach sali rozbrzmiewała muzyka.

Razeby przepchnął się przez rozbawiony tłum obok lokajów, którzy czekali ze srebrnymi tacami pełnymi kieliszków z szampanem. Światło odbijało się od klejnotów na maskach kobiet, nagich szyjach i dekoltach. Była to jedna z rzadkich okazji, gdy dobre towarzystwo i półświatek mieszały się ze sobą. Ukryte tożsamości sprzyjały skandalom, intrygom i nieskrywanej zmysłowości.

Zauważył Linwooda i pozostałych przyjaciół. Ich wieczorowe stroje skryte były pod płaszczami we wzór szachownic, ale na twarzach nie mieli jeszcze masek. Uśmiechnął się ponuro, wiedząc, że zdjęli je specjalnie po to, by mógł ich znaleźć.



Muzyka wciąż grała. Kolejni tancerze wchodzili na parkiet. Razeby podszedł do Linwooda.

- Razeby - rzekł Linwood i na jego widok zawiązał maskę na twarzy.

Pozostali zrobili to samo.

- Alice jest tu z Hawickiem. Muszę ją znaleźć.

Oczy Linwooda zabłysły pod maską, czarne jak oczy diabła.

- To twój wieczór kawalerski. We wtorek żenisz się z panną Darrington.

- Doprawdy? - mruknął Razeby i zacisnął zęby. - Bez względu na to, co ma się stać we wtorek, muszę się dowiedzieć prawdy od Alice.

- Razeby. - Linwood ściszył głos i przysunął się bliżej. - Jest coś, o czym powinieneś się dowiedzieć, zanim ją zobaczysz. Przysiągłem milczenie, ale jesteś moim przyjacielem i prosiłem mnie, bym cię zawiadomił, gdyby kiedykolwiek doszło do mnie, że nie wszystko jest u niej w porządku.

Na widok intensywnego spojrzenia przyjaciela Razeby zeszywniał i z mocno bijącym sercem czekał na ciąg dalszy.

Linwood zawahał się przez chwilę, po czym powiedział:

- Ona nosi twoje dziecko.

- Boże drogi - szepnął Razeby i z determinacją zgrzytnął zębami. - Jak, do diabła, mam ją tu znaleźć?

Wzrok Linwooda powędrował w stronę postaci rytmicznie poruszających się na parkiecie.

- Chyba to będzie łatwiejsze, niż ci się wydaje.

Pośrodku parkietu tańczyła kobieta w płaszczu w szkarłatną szachownicę. Okrycie wirowało wokół jej nóg, odsłaniając obcisłą szkarłatną suknię. Jasne włosy, długie i proste, wbrew aktualnej modzie miała swobodnie opuszczone na ramiona. Jej twarz zasłaniała szkarłatna we-necka maska z otworami na oczy.

Miss Rouge. Cały świat mógł ją teraz podziwiać w tej postaci. Serce Razeby'ego przestało na chwilę bić. Wiedział, jaką odrazę wzbudzała w Alice Miss Rouge i jak nienawidziła szkarłatnego koloru. Stłumił emocje i zebrał myśli.

- Bądź ostrożny, Razeby - ostrzegł go Linwood.

Uśmiechnął się twardo.

- Dość już ostrożności. Muszę sobie znaleźć partnerkę do tańca. W końcu to mój wieczór kawalerski.

Gdy taniec się skończył, Hawick szybko pocałował Alice w usta na samym środku parkietu, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Inni mężczyźni również całowali swoje partnerki.

- Może odpoczniemy przez chwilę tam, w kącie? - szepnął, przysuwając usta tak blisko do jej ucha, że okryła się gęsią skórką.

Zapowiedziano następny taniec.

- Czy nie moglibyśmy potańczyć chwilę dłużej? Proszę cię, Anthony.

- To taniec, w którym zmienia się partnerów. Czy tak bardzo chciałabyś znaleźć nowego partnera, Alice? - Uśmiechnął się żartobliwie, ale jego oczy pozostały poważne,

- Zatańczę z każdym jeden obrót, a potem i tak wrócę do ciebie.

- Nie jestem pewien, czy mam ochotę czekać tak długo. - Wzrok Hawicka zatrzymał się na jej odkrytym dekolcie w rozchyleniu płaszcza. - Pragnę cię, Alice.

- Jesteś bardzo niecierpliwy - wymamrotała.

- Tylko gdy chodzi o ciebie. - Uśmiechnął się.

Oddała mu uśmiech, ale coraz bardziej zbierało jej się na mdłości.

Kobiety utworzyły duży krąg, a mężczyźni mniejszy, wewnętrzny. W czarnych płaszczach przypominali zamaskowane kruki. Każdy z nich stanął twarzą do swojej partnerki i muzyka znów zaczęła grać. Damy dygnęły, a dżentelmeni skłonili się przed nimi.

Hawick wziął Alice w objęcia i po kilku obrotach przekazał następnemu dżentelmenowi, a jej miejsce zajęła dama tańcząca obok. Przechodziła od jednego dżentelmena do drugiego. Wszyscy mieli na sobie takie same czarne płaszcze w szachownice na czarno-białych wieczorowych strojach. Każda twarz przysłonięta była taką samą ciemną maską. Nie rozmawiała z nimi ani nie zwracała na nich uwagi, czuła tylko ulgę, że nie ma przy sobie Hawicka. Muzyka przeszywała ją na wylot, każdy krok tańca oddalał ją od niego coraz bardziej.

Mężczyźni przekazywali ją jeden drugiemu. Pięciu mężczyzn, wszyscy wysocy, ciemni i zamaskowani. Podeszła do szóstego i naraz coś sprawiło, że podniosła na niego wzrok. Podobnie jak pozostali, twarz miał okrytą maską, ale na jej widok Alice poczuła, że brakuje jej tchu. Doskonale знаła te ciemne oczy, błyszczące w wycięciach maski. Pomimo przebrania rozpoznała go natychmiast i serce podeszło jej do gardła. Zmusiła się, by wykonać jeden krok, a potem następny. Wziął ją za rękę i nawet gdyby nie poznała go wcześniej, poznałaby go teraz;

całe jej ciało natychmiast zareagowało na dotyk. Przyciągnął ją bliżej i poczuła znajomy zapach.

Obróciła się i zauważyła, że wyprowadził ich oboje poza krąg, który natychmiast zamknął się za ich plecami. Przyjrzała się uważniej i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wcześniej tańczyła z pięcioma przyjaciółmi Razeby'ego.

- Alice, chyba nie sądziłaś, że tak łatwo uda ci się przede mną uciec - szepnął jej do ucha, prowadząc w stronę tłumu.

Próbowała się obrócić i wyrwać, ale trzymał ją mocno. Musiała iść tam, gdzie ją prowadził - do zatłoczonego holu. Lekko popchnął ją w stronę niszy w ścianie i zasłonił swoim ciałem, a potem rozwiązał sznurówki płaszcza. Kosztowny czerwony jedwab opadł na podłogę wokół jej stóp.

- Co ty robisz? Nie możesz przecież...

- Zdawało mi się, że nie lubisz czerwonego, Alice.

- Wiesz, że nie lubię. Ale...

Rozwiązał swój płaszcz i narzucił jej na ramiona, zasłaniając nieprzyzwoitą czerwoną suknię, którą Hawick kazał jej nałożyć. Na chwilę poddała się instynktom i wtuliła się w jego płaszcz, wdychając jego zapach, zaraz jednak odzyskała rozsądek.

Razeby przysunął się jeszcze bliżej, tak blisko, że jej twarz dotknęła wyłogów jego czarnego fraka.

- Co ty...

On jednak już rozwiązywał czerwoną maskę, która skrywała jej twarz. Rzucił ją na podłogę, jakby był to nic niewart śmieć. Wstrzymała oddech i podniosła głowę.

- Chcesz pokazać całemu Londynowi, kim jestem? Na litość boską, Razeby, błagam cię...

- Mówiłem ci już, Alice, że gdy chodzi o ciebie, nie znam miłosierdzia - odrzekł twardym głosem, ale zaraz zawiązał jej na twarzy zwykłą czarną maskę.

- Razeby. - Nie chciało jej to przejść przez gardło, ale wiedziała, że musi mu to powiedzieć, zanim mleko się rozleje. - Teraz jestem z Hawickiem.

- Doprawdy? Nie widzę tu Hawicka. - Uśmiechnął się, ale był to zimny, niebezpieczny uśmiech. - A poza tym chcę z tobą porozmawiać, Alice. - Przeszył ją dreszcz, gdy usłyszała jego cichy, zdeterminowany, przepełniony gniewem głos. - Może znajdziemy jakieś spokojniejsze miejsce?

Wziął ją pod ramię i poprowadził na schody. Tłum zamknął się za nimi, depcząc szkarłatny płaszcz i maskę.

Na górze zaprowadził ją do jednego z mrocznych prywatnych pokoi. Po jaskrawo oświetlonej sali balowej ten pokój wydawał się pograżony w zupełnych ciemnościach. Dopiero po chwili oczy Alice przyzwyczyły się do mroku i dostrzegła wpadające przez okno blade światło księżyca.

- Ty we wtorek żenisz się z panną Darrington, a ja jestem utrzymanką Hawicka. Cóż więcej możemy sobie powiedzieć? - Starła się, by jej głos brzmiał tak, jakby nic jej to wszystko nie obchodziło, ale było to niemożliwe. Cierpiała, patrząc mu w oczy, myśląc o tym, co mu zrobiła, i o dziecku, które nosiła, ale nie była w stanie odwrócić wzroku.

- W rzeczy samej, o czym? - odrzekł cicho. Jego oczy pod maską wydawały się jeszcze ciemniejsze od oczu Linwooda. - Może porozmawiamy o prawdzie, Alice?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - wyjąkała.

- Możemy zacząć od tego. - Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni fraka kilka złożonych arkuszy papieru. Wiedziała, co to takiego, zanim je jeszcze rozwinął. Spuściła wzrok i przygryzła usta, czując, jak zdradziecki rumieniec wypływa jej na policzki. - Powiedziałaś, że mnie nie kochasz, ale...

- To tylko taka bazgranina - wymamrotała, nie odważając się na niego spojrzeć.

- Nie sędzę, Alice.

- Muszę już iść. Hawick zauważy, że mnie nie ma.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Podeszedł bliżej, przyparł ją do ściany, pochwycił za obie ręce i przytrzymał za plecami. - Jest jeszcze jedna sprawa, o której nic mi nie wspomniałaś. - Trzymając jedną ręką oba jej przeguby, drugą lekko dotknął jej ust.

Oddech Alice przyspieszył. Razeby przesunął palcami po jej szyi.

- Proszę, Razeby - szepnęła. - Nie rób tego.

Ciemne oczy pod maską zalśniły niebezpiecznie.

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz dlaczego! - wykrzyknęła głosem nabrzmiałym emocjami.

Jego palce powędrowały na jej obojczyk i dekolci, niebezpiecznie blisko piersi.

- Z powodu tego?

Wstrzymała oddech, gdy wsunął palec pod gorset w miejscu, gdzie biło jej serce. Pod suknią nie miała halki ani żadnej bielizny. Jednym szybkim ruchem Razeby rozerwał jej gorset. Jego dłoń zsunęła się po żebrach na brzuch, gdzie się zatrzymała, płasko rozpostarta.

Przecież on nie może wiedzieć, pomyślała. Razeby jednak patrzył jej prosto w oczy.

- Czy z powodu tego, co znajduje się tutaj?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Pod jego oskarżycielskim spojrzeniem Alice przymknęła oczy.

- Venetia ci powiedziała - szepnęła.

- Nie. Trzymała usta zamknięte, w każdym razie w tej sprawie.

- W takim razie skąd wiesz? - Otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

- To nie ma znaczenia - odrzekł szorstko. - Ważne jest to, dlaczego, do diabła, nie przyszłaś do mnie? Alice, przecież nosisz nasze dziecko! Czy naprawdę sądziłaś, że odwrócę się do ciebie plecami?

- Nie rozumiesz.

- Masz rację. Nie rozumiem - parsknął. - Czy w ogóle miałaś zamiar mi powiedzieć? A może chciałaś podrzucić to dziecko Hawickowi? - Patrzył jej w oczy bezlitosnym, rozwścieczonym wzrokiem.

- Nie! - wykrzyknęła, przerażona tą sugestią. - Jak mogłeś sądzić, że byłabym do tego zdolna?

- Sam nie wiem.

Wstrzymała oddech. Te słowa były bolesne, ale wiedziała, że zasłużyła sobie na jego gniew. Po tym, w co kazała mu uwierzyć, nie mogła go winić, że myślał o niej źle.

- Hawick musiałby być zupełnym durniem, żeby uwierzyć, że to dziecko jest jego, skoro to już dwa miesiące, a ja nawet jeszcze z nim nie spałam.

- Nie spałaś z nim? Jak udało ci się tego uniknąć, skoro jesteś z nim od tygodnia?

Alice oparła się o ścianę.

- Użyłam najstarszej wymówki na świecie.

- Cóż za ironia!

W milczeniu odwróciła wzrok. Razeby zdjął rękę z jej brzucha; poczuła chłód powietrza na nagiej skórze. Ujął ją pod brodę i obrócił jej twarz, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

- Jak sądzisz, Alice, co Hawick by zrobił, gdyby odkrył, że nosisz moje dziecko? Zatrzymałby cię w roli swojej utrzymanki? Uznałby moje dziecko za swoje?

- Przestań! - wykrzyknęła. - Wyrzuciliby mnie i nie dałby więcej ani grosza.

- A jednak poszłaś do Hawicka zamiast przyjść do mnie - rzekł twardo.

- Nie poszłam do niego, to on przyszedł do mnie. Nic innego nie umiem, czym mogłabym zarabiać na życie.

- Jesteś aktorką.

- Teatry w lecie są zamknięte, a ja nie mam nawet grosza przy duszy. Czy sądzisz, że sprzedałabym się Hawickowi, gdybym mogła robić coś innego? Nie umiem czytać ani pisać, nie umiem prowadzić ksiąg ani wypisywać rachunków klientom. Nie umiem szyć, śpiewać ani tańczyć. Nikt mnie nie przyjmie do sklepu, na służbę ani do warsztatu. A nie mogę zniszczyć szans Venetii na szczęście w nowym życiu. Co innego mogłam zrobić?

- Mogłaś przyjść do mnie - powtórzył szorstko.

- Po tym, jak ze wszystkich sił próbowałam cię przekonać, że jestem zimną dziwką bez serca, która wykorzystwała cię dla pieniędzy i teraz poszła do następnego mężczyzny, który zaoferował więcej? - Patrzyła na niego z niedowierzaniem. - Nie mogłam do ciebie przyjść. Jaki mężczyzna pozwoliłby, by taka kobieta wychowywała jego dziecko?

- Sądziłaś, że zabiorę ci dziecko, by samemu je wychować? - W jego głosie pojawiło się znużenie.

Potarł czoło, jakby rozboleła go głowa, i odwrócił wzrok. Alice skinęła głową.

- A nie zrobiłbyś tego?

- Nigdy by do tego nie doszło.

- Dlaczego? Nie chcesz tego dziecka?

- Och, chcę go, oczywiście. Ale widzisz, Alice, chcę również ciebie.

- Nawet po tym, co... w co kazałam ci wierzyć? - wypaliła i z opóźnieniem uświadomiła sobie, do czego się przyznała.

Na twarz Razeby'ego wypłynął twardy uśmiech.

- Przyznajesz, że kłamałaś.

Przymknęła oczy i próbowała odwrócić głowę, ale on przytrzymał jej podbródek.

- Kochasz mnie.

Zacisnęła usta. Było już za późno na kłamstwa. Razeby wiedział za wiele, znał prawdę o niej, wiedział o dziecku. Przymknęła oczy, by powstrzymać łzy, ale bezskutecznie.

Jego oddech na jej policzku był jak pieszczota. Poczowała leciutki dotyk ust na swoich ustach, policzku i uchu.

- Odpowiedz mi, Alice.

Otworzyła oczy i spojrzała mu w twarz.

- Oczywiście, że cię kocham, Razeby. Zawsze cię kochałam. Gdyby nie to, dlaczego miałabym odmówić małżeństwa z tobą?

- Próbowałam mnie ocalić przede mną samym. W pierwszej chwili tak właśnie zrozumiałem twoją odmowę i powinienem się tego trzymać.

- Nie mogłam pozwolić, żebyś wyrzekł się posiadłości i tytułu, wszystkiego, na co tak ciężko pracowałeś, praw wynikających z twojego urodzenia i dziedzictwa. To jest twój obowiązek i twoje przeznaczenie. Ród Razebych potrzebuje cię. Żałowałbyś tego do końca życia.

- Przez ten krótki czas, który mi pozostał - mruknął pod nosem, a potem dodał głośniejszym, ostrzejszym tonem: - Miałaś rację, Alice. Popełniłbym błąd, odwracając się plecami do tytułu i obowiązku. Jeśli mężczyzna nie wypełnia swoich obowiązków, przestaje być mężczyzną. Nie ściągnę hańby na moje nazwisko ani na siebie samego.

Skinęła głową i uśmiechnęła się z aprobatą, choć serce ścisnęło jej się boleśnie.

- Przypuszczam więc, że powinienem podziękować ci za to, że złamałaś mi serce i przeciągnęłaś mnie przez piekło.

- Jeśli cię to pocieszy, to złamałam również swoje.

- Nie wątpię w to.

Patrzyli na siebie w blasku księżyca.

- Jest wiele rzeczy, o których musimy porozmawiać, Alice, ale nie tutaj. Zabieram cię do domu na Hart Street.

- Nie możemy tego zrobić.

Razeby uniósł brwi. Zadrżała na widok niebezpiecznego spojrzenia jego ciemnych oczu.

- Nie przyjmuję odmowy do wiadomości.

- A co z Hawickiem?

- Chcesz, żebym go zabił? - zapytał cicho.

- Nie! - wykrzyknęła, niepewna, czy mówi poważnie, czy tylko żartuje. - Mógłby cię zażartować, a ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujesz, to skandal.

- Nie martw się, załatwię tę sprawę z Hawickiem. - Znów pocałował ją lekko, jakby chciał przypieczętować obietnicę, i dopiero wtedy puścił jej przeguby.

Owinął ją mocniej płaszczem, zakrywając podartą suknię, wziął na ręce i zniósł po schodach do zatłoczonego holu, a potem wyszedł w noc.

Dom przy Hart Street wyglądał w każdym szczególe tak samo jak tego dnia, gdy go opuściła. Cała służba wciąż tu pracowała. W wazonie w holu stały kwiaty, a lampy były zapalone. Było tu przytulnie, ciepło i bezpiecznie, jakby nigdy stąd nie wyszła.

Razeby zaniósł ją prosto na górę, do sypialni. Zamknął za sobą drzwi kopniakiem i dopiero wtedy ją postawił. Na kominku płonął nieduży ogień. Ich cienie tańczyły po ścianach. Wydawało się, że wieki już minęły od dnia, gdy po raz ostatni byli tu razem.

- Zdejmij tę sukienkę. - Jego twarz stwardniała, gdy popatrzył na strzępy sukni wciąż spowijające jej ciało.

Zrzuciła z siebie szkarłatny jedwab. Spłynął na podłogę dokoła jej kostek jak krew.

- Nie mogłam mu powiedzieć o Miss Rouge. Nie rozumiał, kiedy powiedziałam, że nie lubię czerwonego koloru. - Wpatrywała się w suknię, przypominając sobie z przerażeniem wszystko, co ta suknia dla niej oznaczała, i zastanawiając się, czy udałoby jej się przebrnąć przez ten wieczór z Hawickiem, gdyby Razeby jej nie ocalił. Stała pośrodku sypialni naga.

Razeby wziął ją za rękę i poprowadził w stronę kominka. Podał jej zwinięty kłęb czerwonego jedwabiu, a ona wrzuciła go do ognia. Stali tak, ręka w rękę, patrząc, jak suknia płonie. Jedwab zwinął się, poczerniał i zamienił w popiół. Dopiero wtedy Alice zwróciła się do niego i spojrzała mu w twarz. Z jej oczu płynęły łzy, ale były to łzy miłości i ulgi.

- Nie wiem, dlaczego płaczę. Prawie nigdy w życiu nie płakałam, a teraz nie mogę przestać.

Uśmiechnął się i delikatnie scałował łzy z jej policzków. Nie mówiąc ani słowa, zrzucił z siebie ubranie i stanął przed nią nagi. To był jej mężczyzna, kochanek, ojciec dziecka, które w niej rosło, dziecka zrodzonego z miłości. Był wysoki, silny, przystojny i kochała go ponad wszystko.

Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego sercu, bijącym mocno i równo. Pochwycił jej palce i ucałował wnętrze dłoni. Żadne słowa nie były potrzebne.

Zaniósł ją na łóżko. Była to najbardziej wzruszająca chwila w całym jej życiu, stopienie serc i dusz, wyraz miłości, która przewyciężała wszelkie przeszkody. A potem, trzymając ją w ramionach, popatrzył jej głęboko w oczy. Przez długą chwilę patrzył na nią w milczeniu. W świetle kominka jego oczy wydawały się ciemne i poważne.

- Wiesz, że nie pozwolę ci odejść, Alice.



Uśmiechnęła się, ale w sercu czuła smutek.

- We wtorek żenisz się z panną Darrington.

- Jak mogę ożenić się z panną Darrington, kiedy kocham ciebie, a ty kochasz mnie i... -

Jego spojrzenie zatrzymało się na jej brzuchu. - I nosisz nasze dziecko.

Alice przełknęła.

- Czy chcesz mnie poprosić, żebym znów była twoją utrzymanką?

- Nie utrzymanką i nie, to nie jest prośba.

Otworzyła szeroko oczy, gdy zrozumiała, co on ma na myśli.

- Razeby, nie możemy wziąć ślubu.

- Nie możemy tego nie zrobić, Alice.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Czy jest coś, czego byś nie oddała, żeby uchronić dziecko, które nosisz, przed nędzą i niebezpieczeństwem? Czy jest coś, czego byś nie oddała, żeby ułatwić mu życie na tym świecie?

- Nie ma niczego takiego. Oddałabym wszystko.

- Ja też, Alice.

Ich serca biły w jednym rytmie, oddechy łączyły się ze sobą.

- Czy chciałabyś, żeby nasze dziecko nosiło piętno bękarta? Czy chcesz mu odebrać ochronę, jaką może mu dać moje nazwisko, pieniądze i pozycja? Chcesz zabrać naszemu synowi prawa wynikające z urodzenia, prawo, by stał się kolejnym Razeby i odziedziczył wszystko, co powinien odziedziczyć?

Jej serce nabrzmiało miłością. Patrzyła mu w oczy, wiedząc, że on ma rację.

- Nie - powiedziała cicho. - Nie chcę tego.

- To dziecko zmienia wszystko, Alice.

- Tak - szepnęła. - To prawda.

Patrzyli sobie w oczy z czułością. Razeby uśmiechnął się.

- Wiesz, że będziesz musiała za mnie wyjść?

Ona również się uśmiechnęła.

- Chyba tak.

Łzy znów popłynęły - łzy szczęścia i radości. Razeby otarł je delikatnie.

- Nie płacz, najdroższa. - W jego oczach zalśnił przewrotny błysk. - Jestem markizem, jestem bogaty, przystojny i świetny w łóżku. Tak mi przynajmniej mówiono. - Uśmiechnął się, gdy zauważył jej reakcję.

- Przestań się ze mną drażnić!

Roześmiali się razem, ale gdy spojrział w jej oczy, kpiący ton zniknął z jego głosu. Delikatnie pocałował ją w usta.

- Jesteś moją ukochaną, zostaniesz moją żoną i matką mojego dziecka, dlatego jest coś, o czym musisz wiedzieć, Alice. Coś, o czym zapewne powinienem był powiedzieć ci już dawno.

W jego oczach pojawił się cień. Poczuli, że nadchodzi coś złego, i serce jej się ścisnęło. Jeszcze raz pogładził ją po policzku, odsunął się i usiadł na skraju łóżka.

Jak można było powiedzieć coś takiego ukochanej kobiecie? Nie potrafił znaleźć słów. Nigdy w życiu z nikim o tym nie rozmawiał. Każde słowo, jakie przychodziło mu do głowy, wydawało się nieodpowiednie. Przesunął ręką po włosach i poczuł dreszcz lęku.

Alice chyba rozumiała jego trudności, bo usiadła obok niego na skraju łóżka i wzięła go za rękę.

- Zaczynaj od początku - powiedziała spokojnie.

Skinął głową.

- Miałem siedem lat, kiedy choroba zabrała mojego ojca. Wiedział, że umiera. Tego ostatniego dnia odesłał matkę i kazał mi usiąść przy sobie. Lekarze dawali mu mnóstwo laudanum, ale i tak cierpiał.

Alice nie pędzała go, nie zadawała żadnych pytań. Po prostu siedziała tu z nim, i to wystarczało.

- Powiedział mi, że mój dziadek zmarł, gdy miał trzydzieści lat. On również umierał w tym samym wieku. Mężczyźni z naszej rodziny mają słabe płuca i jest to coś w rodzaju klątwy, przed którą nie można uciec.

Przymknął oczy na to wspomnienie. Widział w wyobraźni swojego ojca, wychudzonego i wyniszczonego, w mrocznym pokoju. Znów słyszał wytężony oddech i wypowiedane z wysiłkiem słowa: *Ożeń się i splódź dziedzica, zanim skończysz trzydzieści lat, bo potem będzie za późno.*

Powtórzył teraz te słowa na głos.

*Zrób to dla przyszłości naszego nazwiska. Rozumiesz, James?*

W wyobraźni zobaczył chłopca, który skinął głową i odpowiedział: *Rozumiem, ojczu.*

- Trzymałem go za rękę i patrzyłem, jak umierał.

- Razeby - szepnęła Alice. - To wielki ciężar jak na siedmiolatka.

Przełknął i spojrzał jej w oczy.

- Alice, za cztery miesiące skończę trzydzieści lat.

Dopiero po chwili zrozumiała, co miał na myśli.

- Przez całe życie wierzyłeś, że umrzesz, gdy skończysz trzydzieści lat - powtórzyła powoli.

- Teraz, gdy powiedziałem to głośno, brzmi to niedorzecznie.

- Posłuchaj, miałeś wtedy siedem lat. To oczywiste, że chłopiec w tym wieku bierze sobie do serca słowa ojca i wierzy w nie, nawet jeśli ten ojciec był znieczulony laudanum.

Dopiero teraz popatrzył na to inaczej. Patrząc wstecz, zdał sobie sprawę, że zachowanie ojca stało się irracjonalne z powodu lęku i perspektywy bliskiej śmierci.

- Nosilem te słowa w sercu przez cały czas. One spowodowały, że stałem się hedonistą, szukałem podniecenia i przyjemności. Widzisz, miałem plan. Wyzaczyłem sobie, kiedy wypełnię ten ostatni obowiązek... I wtedy spotkałem ciebie. - Urwał na chwilę i splótł palce z jej palcami. - I nie chciałem z ciebie zrezygnować. Ty zmieniłaś wszystko. Zmieniłaś mnie. Zakochałem się.

Z uśmiechem podniosła jego rękę do ust i pocałowała.

- Dlatego nie prosiłem, żebyś za mnie wyszła. Zrobiłbym to w mgnieniu oka, ale obydwoje wiemy, że ci sami ludzie, którzy uwielbiają cię jako pannę Sweetly, zaczną tobą pogardzać, gdy staniesz się markizą Razeby. Nie mogłem cię narazić na takie okrucieństwo, wiedząc, że nie będzie mnie przy tobie i nie będę mógł cię chronić. Ale dziecko wszystko zmienia.

- Och, Razeby! - westchnęła ze smutnym uśmiechem.

Siedzieli w milczeniu. Alice wpatrywała się w niego uważnie.

- Twój ojciec był chorowitym człowiekiem.

- Lekarze mówili, że ma słabe płuca, tak samo jak wcześniej mój dziadek.

- Ale ty nie masz słabych płuc.

- Nie wiemy tego.

- Nie zapominaj, Razeby, że dobrze wiem, jak mocny masz oddech. W twoich płucach nie ma żadnej słabości. - Żartobliwie uniosła brwi.

Razeby uśmiechnął się.

- A ojciec Atholla, brat twojego ojca? Czy on też zmarł w wieku trzydziestu lat?

- Zmarł w zeszłym roku. Miał pięćdziesiąt siedem lat i przez ostatnie dwadzieścia lat codziennie wypijał butelkę porto.

- To znaczy, że nie miał słabych płuc.

- Nie.

Obydwoje znów się uśmiechnęli.

- Mój dziadek mówił, że długość życia mężczyzny jest równie niepewna, jak wiatr. - Uśmiechnęła się, ale w tym uśmiechu była gorycz. - Trzydzieści lat albo trzy, kto wie? Po co martwić się na zapas, Razeby? Życie samo w sobie jest cudem, a miłość jest jeszcze większym cudem.

- Może masz rację. Ty jesteś moim cudem, Alice. - Była jego światelkiem, które rozpraszało mrok.

- A ty jesteś moim cudem. Chodź tu, głupi mężczyzno.

- Podniosła się i stanęła przed nim. Oparła dłoń na jego karku i przyciągnęła jego usta do swoich. - Trzeba było powiedzieć mi o tym zmartwieniu już dawno.

- Trzeba było - przyznał.

- I co ja mam z tobą zrobić, Razeby?

- Mogę ci zaproponować kilka rzeczy. - Uśmiechnął się.

- Może później - odpowiedziała równie żartobliwym tonem.

Otoczył ją ramionami i znów położył na łóżku. Wiedział, że Alice ma rację. Wszystko będzie dobrze - dzięki niej i dzięki miłości.

Powóz zawiózł Razeby'ego na ulicę St. James's do mieszkania Linwooda. Była północ, gdy zastukał do drzwi. Linwood niedawno wrócił z balu. Czarno-biały płaszcz wciąż leżał przerzucony przez oparcie sofy, na stoliku leżała czarna wenecka maska, a obok stała szklanka do połowy napełniona brandy. Venetii nie było, ale drzwi do sypialni były zamknięte.

- Wybacz, że przychodzę tak późno. - Razeby usiadł na krześle naprzeciwko Linwooda i przyjął szklaneczkę brandy. - Przyszedłem z Hart Street.

- Rozmawiałeś z Alice?

- Tak. Dziękuję, Linwood, za to, że mi powiedziałeś, i za wszystko, co zrobiłeś dzisiaj dla mnie. Ale muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę i nie jest to nic błędnego.

- Słucham - powiedział Linwood.

- Gdy twój ojciec zdobył poparcie arcybiskupa Canterbury dla twojego małżeństwa z Venetią...

Linwood uśmiechnął się.

W poniedziałkowy rano Alice obudziła się sama. Przez okno do sypialni wpadał promień słońca. Poczła falę ciepła na myśl, że jest tutaj i jest bezpieczna.

Pokojówka już rozpała ogień w kominku. Sypialnia była ciepła i przytulna. Brakowało tylko Razeby'ego.

Zamierzała już wstać, gdy ktoś zastukał do drzwi i pokojówka wniosła do środka tacę z lekkim śniadaniem. Na tacy były bułeczki, grzanki, masło, dżem, miód, filiżanka z czekoladą i druga z kawą.

- To na rozkaz pana - wyjaśniła pokojówka, stawiając tacę na stoliku przy łóżku. - Wróć za pół godziny, żeby pomóc pani przy toalecie.

Alice popatrzyła na szmaragdową jedwabną suknię, która czekała na nią na parawanie - suknię, która tyle znaczyła dla niej i dla Razeby'ego. Tak wiele rzeczy zdarzyło jej się, gdy miała tę suknię na sobie, a tego dnia miała ją nałożyć na ślub.

Ubrała się starannie. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi i cichy szmer głosów w holu na dole i wiedziała, że Razeby przyjechał. Przyszedł na górę i pocałował ją w odkryte ramię, a potem stanął oparty o słupek łóżka, przyglądając się, gdy upinała włosy w prosty sposób, który bardzo lubił.

- Jak panna Darrington przyjęła tę wiadomość? - zapytała Alice jego odbicia w lustrze.

- Rozplakała się.

Alice obróciła się na pięcie i spojrzała mu w twarz.

- Och! Czuję się przez to okropnie.

- Niepotrzebnie. To były łyzy wielkiej ulgi.

- Myślałam, że ona chce za ciebie wyjść. - Alice popatrzyła na niego zagadkowo.

- Ja też tak myślałem, ale zdaje się, że to jej rodzice pragnęli tego małżeństwa. Wygląda na to, że serce panny Darrington, podobnie jak moje, zajęte jest kim innym.

- Och! - westchnęła Alice.

- No właśnie. - Razeby uśmiechnął się i z podziwem powiódł po niej wzrokiem. - Wyglądasz pięknie, Alice, ale czegoś tu brakuje.

- Czyżbym o czymś zapomniała?

- O tym. - Wyciągnął z kieszeni obciążone czarną skórą pudełeczko. W środku znajdował się przepiękny pierścionek ze szmaragdów i diamentów.

- Będzie pasował do sukni - wyjaśnił Razeby i wsunął pierścionek na jej serdeczny palec.

Dotknęła pierścionka z uczuciem, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go z wdzięcznością.

- Och, Razeby - szepnęła. - Ukochany.

W pół godziny później Alice weszła do bawialni prowadzona przez ojca Linwooda, hrabiego Misbourne. Cały pokój udekorowany był najpiękniejszymi kwiatami lata. Słońce wpadało do środka przez okno, wypełniając pomieszczenie złocistym światłem.

Na kilku rzędach krzeseł siedzieli ich przyjaciele w najlepszych strojach: Monteith, Devlin, Bullford, Fallingham i Sara, Arlesford i Hunter z żonami, Ellen, Tilly i Venetia. Razeby, mając u boku Linwooda, stał pośrodku pokoju obok księdza w czarnej sutannie. Gdy usłyszał jej kroki, popatrzył na nią z miłością.

Hrabia Misbourne podprowadził ją do narzeczonego. Wsunęła prawą dłoń w jego dłoń i wobec Boga, księdza i przyjaciół wzięła ślub z mężczyzną, którego kochała.

TLR

# EPILOG

## *Razeby House, Yorkshire, dwa lata później*

Alice, lady Razeby, stała na drewnianym mostku i patrzyła na rzekę. Woda była tu płytka i tak przejrzysta, że słońce przeświecające między liśćmi drzew rzucało złote refleksy na żwir na dnie i wypoczywające na nim nakrapiane pstrągi. Były to duże, okazałe ryby. Gdyby Razeby je zobaczył, złapałby je w sieć. Alice jednak, choć lubiła smak świeżego pstrąga, wolała, by pozostały na wolności.

Lekki wietrzyk kołysał pobliskimi drzewami, niosąc ze sobą słodki zapach polnych kwiatów i ciche brzęczenie pszczół. W koronach drzew świergotały wróble, a gdzieś dalej gruchał gołąb.

Pośród tego sielankowego krajobrazu Alice wyjęła z kieszeni kawałek papieru i przebiegła wzrokiem napisane na kartce słowa. Papier był postrzępiony na brzegach, pomięty i zniszczony, wielokrotnie składany i rozkładany, atrament wyblakł już nieco z czasem, ale Alice znała każdą literę na pamięć. Przesuwała palcem wzdłuż linijek, powtarzając słowa listu miłosnego, który Razeby napisał do niej przed laty. Teraz już umiała czytać i pisać; Razeby okazał się cierpliwym nauczycielem. Nadal jednak przychodziło jej to z trudem i wiedziała, że już nigdy nie stanie się biegła w tej umiejętności. Razeby jednak nauczył ją również, że nie powinna się tego wstydzić, bo w żaden sposób nie świadczy to o jej inteligencji. Uśmiechnęła się na myśl o człowieku, którego kochała niemal od pierwszego spotkania.

Spokój tej chwili przerwał dźwięk dochodzących z oddali głosów, wśród których najwyraźniej słychać było głos kobiety śpiewającej staroświecką piosenkę dla dzieci. Alice uśmiechnęła się, gdy usłyszała kroki zbliżające się po leśnej ścieżce. Złożyła list i wsunęła go do kieszeni.

- Mama! - wykrzyknął ze śmiechem cienki głosik.

Zwróciła się w stronę dziecka, które siedziało na ramieniu Razeby'ego. Był to chłopiec. Włosy miał jasnobrażowe, pośrednie między jej jasnymi a czarnymi męża. Jego oczy miały ciepły brązowy kolor, taki sam jak u jego wysokiego, przystojnego ojca.

- James junior złapał swojego pierwszego pstrąga - obwieściła starsza lady Razeby, pokazując jej tłustą rybę zaczepioną na lince, którą miała okręconą wokół przegubu. Na początku

szczerze nie cierpiała Alice, ale z chwilą narodzin Jamesa juniora teściowa z piekła rodem zmieniła się w czułą babcię. - Mój wnuk jest bardzo rozwinięty jak na swój wiek.

Alice wybuchnęła śmiechem. Razeby pochylił się i zdjął chłopca z ramion. James junior zarzucił ubłocone ręce na szyję matki. Pocałowała go w miękki policzek.

- Tak, to bystry chłopak.

- Tak jak mama - stwierdził Razeby.

Objął ją wpół i przyciągnął do siebie.

Jego matka znów zaczęła śpiewać tę samą starą piosenkę, którą kiedyś Alice śpiewała jej własna matka. Teraz mieszkała z najmłodszym bratem Alice i jej siostrami w dużym domu na skraju wioski.

Razeby przyłączył się do śpiewu i po chwili Alice również to uczyniła. James junior zaklaskał w ręce i na jego pulchne policzki wypłynął uśmiech.

Serce Alice nabrzmiało szczęściem.

